



TANYA VALKO

# ARABSKA ŽONA

**Tanya Valko**

**Arabska żona**

---

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Igorowi  
za całokształt

## Prolog

Stoję na pokładzie kontenerowca, trzymając się metalowej barierki. Cała dygoczę. Serce chce mi wyskoczyć z piersi, czuję je w skroniach, uszach, a nawet w mięśniach na całym ciele. Jeszcze chwila, a zacznę szczekać zębami, choć jest piękna orientalna zima i temperatura na pewno nie niższa niż dwanaście stopni. Malutka Daria obejmuje mnie mocno za nogi, wtulając twarz w fałdy obszernego starego płaszcza. W końcu udało się uciec z piekła.

– Mami – chudzina szepcze żałośnie, ściskając mnie jeszcze mocniej.

Podnosi główkę i spogląda na mnie zapuchniętymi od płaczu oczkami.

Małe usta drżą i wyginają się w podkówkę. Chwytam jej zimne paluszki w swoje dłonie i usiłuję ogrzać oraz przelać spokój, którego samej mi brakuje, w jej roztrzęsione i trzepoczące jak ptak małe serduszko.

– Już dobrze, córuniu, teraz wszystko będzie dobrze – mówię, nie do końca będąc o tym przekonana.

Wyteżam wzrok, usiłując wypatrzeć coś na oddalającym się lądzie.

Wieczorna mgielka opada na wybrzeże i spowija minarety i kopuły meczetów różowym szalem. Płaskie dachy domów odbijają czerwone promienie słońca. Doskonale wiem, że za minutę, może dwie, ogromna bordowa kula zanurzy się w morzu i wszystko pokryje czarny jak sadza mrok. To już koniec, jestem bezpieczna.

Nieoczekiwanie ogarnia mnie straszliwa boleść, a rozpacz wyciska łzy ciutko spływające po zapadniętych policzkach. Wiem, że powinnam się cieszyć, bo w końcu jestem wolna. O to walczyłam, o to drapałam pazurami,

---

narażając własne życie, lecz nie wyszło zupełnie tak, jak chciałam. Teraz, gdy jest już po wszystkim, boję się tylko jednego – że nigdy więcej jej nie zobaczę. Najgorsze jest to, że jeszcze będę musiała tutaj wrócić. Nagle zrywa się wiatr od lądu, niosąc ze sobą odurzającą woń jaśminu, zapach rozgrzanych murów i pyłu unoszącego się w powietrzu. Zamykam oczy i poddaję się uspokajającemu kołysaniu statku, który unosi mnie w nieznana, ale na pewno lepszą przyszłość.

## Emir z Arabii

## Urodziny

W końcu mam te upragnione osiemnaście lat i nikt, ale to nikt, nawet moja despotyczna mamuska nie zmusi mnie do powrotu do domu o dziesiątej wieczorem. Nie może mi już zabronić wyjścia na dyskotekę czy do pubu. Och, pamiętam ostatniego sylwestra! Jak zawsze tragedia. Możliwość zabawy z kuzynkami w domu ciotki pod okiem dorosłych. „Dobrze się bawicie, dziewczynki? Tylko nie rozrabiajcie za bardzo! A co tutaj robi to wino? Kto je przyniósł?”. Boże! Coroczny koszmar.

Mama nazywa mnie księżniczką, kwiatuszkiem, koteczkiem i swoim ukochanym skarbem. Twierdzi, że nie pozwoli mnie skrzywdzić żadnemu facetowi. Ale czy mnie musi spotkać to samo co ją? Mój ojciec złamał jej serce i zrujnował życie, co wcale nie oznacza, że wszyscy mężczyźni są podli. Miała pecha. A poza tym głupio postępowała, dawała się oszukiwać, pozwalała

na wszystko. Ja sobie to zupełnie inaczej urządzę. Będę księżniczką i wybrany przeze mnie królewicz będzie mnie musiał przez cały czas zdobywać i adorować, bez wytchnienia, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będzie przynosił kwiaty, obsypywał mnie prezentami, będzie szarmancki, elegancki, cudowny i będzie mnie kooooochał na zabój.

Prawdę powiedziawszy, jeszcze nie trafiłam na moją drugą połowę. To nie takie proste, wiem o tym. I nigdzie mi się nie spieszy. Przecież mam dopiero osiemnaście lat.

Urodziny świętuję w najlepszym pubie w mieście – może coś się wydarzy?! Jedno jest pewne – będę tańczyć do rana, pić najlepsze wino i palić papierosy, choć nie robię tego często i w zasadzie nie lubię, ale w końcu jestem dorosła!

Ktoś by powiedział: pub jak pub. Ale jak mi się tutaj podoba! Dotąd nie chodziłam po takich miejscach. Pulsujące światła i lasery śmigające po ścianach oślepiają i powodują kolorowy zawrót głowy. Muzyka gra tak głośno, że nie tylko nie da się rozmawiać, ale nawet nie słyszę własnych myśli ani bicia serca. W środku dudni mi jedynie techno: łup, łup, łup. To jest to! Ja i moje dwie najlepsze psiapsioly z klasy z chłopakami patrzymy na siebie porozumiewawczo – ale czad! Drogę do baru torujemy sobie łokciami. Stoimy na palcach i chwytamy, co dają. W końcu mamy wszystko, czego nam trzeba, i rzucamy się na ostatni wolny stolik. Krzyczymy, aby się usłyszeć, lecz nic z tego nie wychodzi i w końcu po paru łykach pokazujemy sobie na migi, że chyba dobrze by było wyjść na parkiet. Szaleństwo, po paru minutach spływam potem. W sumie nie lubię takich tłumów – wszyscy się o siebie objają, a taniec polega na gibaniu się w miejscu. Po chwili zaczynam przepychać się w stronę naszego stolika. Oczywiście obsiadła go już inna grupa, po piwie nie ma śladu, a butelka wina wyparowała. Bezradnie rozglądam się dookoła. Moje towarzystwo świetnie się bawi we własnym gronie, a ja czuję się jak piąte koło u wozu. Zresztą jak zawsze.

Do jasnej cholery, to są w końcu moje urodziny i głupio byłoby zmyć się na samym początku imprezy. Muszę wytrzymać przynajmniej do dwunastej. Ciężko wzdycham i zaczynam podpierać ściany. Nachodzą mnie czarne

myśli. Ze mną zawsze tak jest – dążę do czegoś, często po trupach, a kiedy już mam to w garści, okazuje się, że jest do bani. Bramkarze wpuszczają grupy wrzeszczącej młodzieży, która chce tylko zabawy, tańca, alkoholu, seksu, prochów i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Aż się boję, bo dotąd nie spotykałam się z takimi ludźmi. W zasadzie z nikim się nie zadawałam, większość czasu spędzając z mamą, a jak koleżanki, to u nas w domu albo w cukierni w pobliżu szkoły. W co ja się wpakowałam?!

– Mała, chcesz działaczkę? Coś widzę spięta jesteś. – Wyżelowany brunet chwytła mnie za ramię.

– Spadaj! – obruszam się. – Czy ja wyglądam na ćpunkę?!

– Tu nikt nie jest ćpunem, a wszyscy biorą. To może jakiś proszeczek na rozluźnienie, co, lodowa królewno?

Obracam się na pięcie i wpadam między tańczących. Z dwojga złego tutaj jest bezpieczniej. Nie mam pojęcia, gdzie podziała się grupa zaproszonych przeze mnie kumpli. Rozglądam się, stojąc na palcach, ale nikogo nie widzę. Po prostu mnie olali – jak miło. W tym cholernym pubie jest duszno, parno i śmierdzi papierosami. Tak marzyłam o tym wyjściu, a teraz chcę stąd po prostu uciec.

W końcu zbliża się dwunasta. Jeszcze tylko wypiję przy barze szklanek zimnej wody i zmykam. Klejącą się ręką wycieram pot z czoła. Mogliby utworzyć jakieś okno. Chcę wziąć prysznic, zmyć z siebie cały ten gnój. Też mi urodziny! Dobrze przynajmniej, że napaleni samcy przestali ślinić się na mój widok. Zamroczeni od gorzały i prochów nie zwracają już na nic uwagi albo wybrali sobie łatwiejszy towar. A jest w czym przebierać. Dosłownie do wyboru do koloru, włącznie z upodobaniami. Dziewczyny mają rajstopy, tak zwane burdelówki, koniecznie w czarnym kolorze, a faceci obcisłe siatkowe T-shirty. Na ramionach, plecach, tyłkach lub nogach mają mniejsze lub większe dziary. Wyglądają jak papugi ze zwariowanej ptaszarni. Spadam stąd. Nagle czuję na sobie czyjś wzrok. Nie... Dość wrażeń jak na jeden wieczór!

W końcu go zauważam. Siedzi w kącie przy barze, częściowo zasłonięty przez sterty wiszących kieliszków i kufla na piwo. Nieśmiało uśmiecha się do mnie. Czy to możliwe, żeby ktoś w tej tancbudzie nie był nachalny i chamski?! Jest jakiś inny. Nie wiem, na czym to polega, ale coś mnie zatrzymuje i



każe zostać jeszcze chwilkę. Taki beznadziejny wieczór, może przynajmniej końcówka będzie sympatyczna.

– Jedno czerwone, proszę – szybko zamawiam wino u barmana, bo przecież nie mogę tak stać i się na niego gapić. Zapalam papierosa, jakby nie dość było tutaj dymu, ale nie wiem, co zrobić z rękami.

Mężczyzna przy barze ma dziwne oczy. Nawet nie można powiedzieć, że czarne – są roziskrzzone, jak płonące węgle w piecu. To jakiś Włoch albo Latynos?

Wstaje. Czyżby chciał wyjść?! Jednak nie. Idzie w moim kierunku. Nie mogę oddychać.

– Cieść! – przystojny mężczyzna, mówiący z dziwnym akcentem, usiłuje przekrzyczeć muzykę. Miałam rację, to cudzoziemiec!

– *Hi!* – odpowiadam zakłopotana, czerwieniąc się po same uszy i spuszczać wzrok. Angielskiego, wprawdzie niezbyt pilnie, ale uczę się w końcu od dziecka.

– Nie nuziś się? – pyta.

– No... tak trochę. W sumie to już się zmywam.

– A sama jest?

Oj sama, sama, mówię w duszy i wzdycham żałośnie.

– Zgubiłam towarzystwo – odpowiadam półgębkiem. – Kumple... tam, gdzie... Uśmiecha się. Nie od ucha do ucha, tylko tak jakoś elegancko.

Wszystko w nim jest jak spod igły, jakby z innej bajki, a dochodzi przecież północ, jesteśmy w zadymionym, obskurnym pubie, wokół rozwrzeszczane grupy oszołomów skaczących po parkiecie.

– Mogę odprowadzić? – pyta cicho po chwili. – Oj, zapomniałem. Mam na imię Ahmed. Ahmed Salimi.

– A ja myślałam, że jesteś Włochem – wzdycham trochę zawiedziona.

– Niestety, nie – mówi z przekąsem. – Tylko Arabem i tylko Libijczykiem.

– Nie chciałam cię obrazić – odpowiadam szybko. – Ja po prostu inaczej sobie wyobrażałam Araba. Wiesz, tak jak w książkach, telewizji. Nigdy tam nie byłam...

– *Z Baśni tysiąca i jednej nocy* i szkolnych podręczników o średniowiecznych podbojach? Obrazek szalonego jeźdźca na koniu z turbanem na głowie i

kindzałem w dłoni? Trochę się zmieniło od tego czasu – słyszę urazę w jego głosie. – A może jakiś bardziej współczesny wizerunek?

– Ja nie interesuję się polityką – próbuję go uspokoić. – To wszystko takie gadanie dla sensacji. Mnie to w ogóle nie obchodzi. – Zapanowuje nieprzyjemne milczenie. – A czy Beduini w białych sukienkach nadal jeżdżą po pustyni na wielbłądach? Czy już wymarli? – próbuję powiedzieć coś zabawnego dla rozładowania atmosfery.

– Moje dziecko – mówi z bardzo poważną miną, nachylając się i szepcząc mi prosto do ucha. – U nas beduini mają mercedesy i namioty wielkości willi, a do ich masztów montują anteny satelitarne.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Ściemniasz – wybucham nerwowym, niepohamowanym śmiechem.

On, nadal poważny, taksuje mnie wzrokiem. W kącikach jego oczu widzę jakieś błyski, lecz nie potrafię ich rozszyfrować. Trochę się boję. Chyba odrobinę przesadziłam. A jeśli on jest...

Ahmed śmieje się na całe gardło.

– Ale tak naprawdę jest – mówi. – Co kraj, to obyczaj.

– Ja jestem Dorota, ale mówią na mnie Dot – przedstawiam się, oddychając z ulgą.

Podajemy sobie dłonie. Jaką on ma delikatną skórę. Paniczyk z namiotu, jeżdżący białym mercedesem, albo lepiej srebrnym, srebrny metalik.

– Teraz, jak już się znamy, możesz mnie odprowadzić – łaskawie pozwalam. – Prawdę powiedziawszy, nie podoba mi się ten lokal. – Zaciskając wargi i marszcząc nos, robię głupią minę i ze śmiechem wybiegam na świeże powietrze.

Droga do domu jest wyjątkowo długa. Mój blok znajduje się dwie przecznice od pubu, ale my idziemy na „wydłużone skróty”. Jest cudownie. Odprowadzanie trwa do białego rana. Mamy sobie tyle do powiedzenia, że jedno drugiego nie chce dopuścić do głosu. Przekrzykujemy się, szturcujemy łokciami i zachowujemy jak para wariatów. A co najdziwniejsze, wydaje mi się, jakbym go znała od zawsze. On coś zaczyna mówić, ja kończę, i na odwrót. Dwa różne kraje, dwie różne kultury, a jednak jesteśmy tacy

podobni. Najważniejsze, że nie ma żadnego obłapiania i buziaków. Ahmed nawet nie próbuje i sędzę, że jest to oznaka szacunku. Tak trzymać! Nad ranem padam ze zmęczenia. Już tak przyzwyczałam się do jego śmiesznej polskiej wymowy, że sama mówię mu na pożegnanie: „Cieść Ahmed”.

## Love, love, love

Jesteśmy umówieni na telefon. Nie mogę się doczekać i boję się, że nie zadzwoni. Cały czas waruję w przedpokoju, gdzie stoi przestarzały aparat i udaję, że mam tutaj coś pilnego do zrobienia. W końcu, aby nie wzbudzać podejrzeń, zabieram się za porządki w pawlaczu.

– Dociu, dzisiaj niedziela – napomina mnie mama. – Nie wolno sprzątać.

– Ale w tygodniu nigdy nie ma czasu – kłamię jak z nut. – Chcę coś znaleźć, przy okazji poukładam resztę rupieci.

– Rób, co chcesz, ale mówię ci, że to grzech – upiera się przy swoim.

– Od kiedy jesteś taka religijna? – pytam kąśliwie.

Dzwoni telefon i dopadam go pierwsza.

– To ja, Ahmed – słyszę jego głos i nogi mi miękną.

Mamuśka oczywiście stoi tuż obok i patrzy ze zdziwieniem. Wygląda, jakby z ciekawości chciała mi wyrwać słuchawkę. Ona nie lubi tracić kontroli, szczególnie nade mną, musi wszystko wiedzieć.

– To do mnie, mamó – mówię ostro i odwracam się do niej plecami. Nadal czuję jej obecność, jakby wmurowało ją w podłogę. – Dasz mi porozmawiać, czy będziesz podsłuchiwać?! – staję się nieprzyjemna.

– Ładnie, ładnie! – rozzłoszczona podnosi głos. – Raz poszła do jaskini rozpusty i już ma tajemnice. Seks i prochy, co wybrałaś? Może jakiś dealer proponuje ci działkę?! – podniesionym tonem zagłusza słowa Ahmeda.

– Przepraszam, ktoś nie daje mi rozmawiać. Nic nie słyszę – tłumaczę mu. – Zaczekaj chwileczkę. – Biorę głębszy oddech. – Dasz mi w końcu, do cholery, zamienić dwa słowa, czy nie?! – wrzeszczę, zasłaniając słuchawkę ręką. Matka obrażona obraca się na pięcie i wychodzi. – Przepraszam, drobne kłopoty – zupełnie innym tonem zwracam się do mojego miłego rozmówcy.

– Słyszę – śmieje się rozbawiony. – Nie przejmuj się, u nas w rodzinie też tak czasami na siebie krzyczymy, co wcale nie oznacza, że się nie Kochamy.

Uff! Jak on dobrze wszystko rozumie. Siadam na podłodze w kącie przedpokoju, zamykam drzwi i zaczynamy rozmowę.

– Może po południu pójdziemy na kawę? – proponuje. – Będziemy mogli spokojnie pogadać. Dzisiaj wieczorem muszę już jechać.

– Gdzie? Dlaczego? – Ledwo go poznałam, a już chce zniknąć z mojego życia. Nie zgadzam się!

– Studiuję w Poznaniu. W zasadzie robię doktorat – smutno odpowiada. – Przyjechałem tylko na weekend odwiedzić kolegę z liceum, rodaka. Mieszka niedaleko ciebie, bardzo sympatyczny gość. Ma żonę Polkę, dwójkę ślicznych, lecz rozwrzeszczanych dzieci i psa.

– Poważnie?! To co w takim razie robiłeś wczoraj wieczorem w pubie?

– Mieli zlot rodzinny, o którym dowiedzieli się dopiero w piątek. U teściowej, więc odmowa nie wchodziła w grę – mówi i nie mam powodu mu nie wierzyć. – Chcieli mnie ze sobą zabrać, ale bez przesady. Nie znam tam nikogo, na pewno wódka łała się strumieniami, do jedzenia góry świniny, więc nie za bardzo odpowiadałaby mi taka sytuacja. Poszedłem do kina, a kiedy wróciłem, ich jeszcze nie było. Uciekł mi ostatni pociąg, a jedyny otwarty o tej porze lokal w waszym miasteczku to pub, w którym się poznałem. Oto cała historia.

– Zeznajesz jak na spowiedzi – śmieję się skrępowana faktem, że mi się tłumaczy.

– Nie wiem, jak to się robi, ale szczerze opowiadam, jak było.

– Przyjdź pod mój blok o czwartej, to pójdziemy na kawę i pyszne ciacho – decyduję.

Nie pozostaje nam nic innego, jak widywać się w weekendy. Jeszcze niecały rok został mi do obrony pracy doktorskiej – prawie tyle co mnie do matury. Uzgodniliśmy, że będziemy się wzajemnie mobilizować i ciężko pracować, żeby osiągnąć jak najlepsze wyniki. Może w końcu zacznę się uczyć, bo do tej pory bywało różnie.

Ahmed jest informatykiem, mieszka w Polsce od czterech lat i dlatego tak dobrze zna nasz język. Trochę dziwnie mówi, ale to tylko akcent i zmiękczenia tam, gdzie ich nie ma, słów zna chyba więcej ode mnie. Mówi, że uczył się słownika na pamięć, ale dla niego to betka, bo od dziecka wkuwał Koran, więc ma wprawę. Nawet przy polskim bezrobociu nie narzeka na brak pracy. Razem z dwoma kolegami z roku założyli firmę i robią jakieś oprogramowania dla małych lub trochę większych firm. Chyba nieźle im idzie, bo okazało się, że w Poznaniu wynajmuje kawalerkę, ma samochód i sam przyznaje, że żyje mu się wygodnie.

Przez cały tydzień nasz jedyny kontakt ogranicza się do rozmów telefonicznych. Mama podsłuchuje po drugiej stronie drzwi. Nie mam komórki, bo nas na to nie stać, więc muszę godzinami wisieć na starym aparacie, przez który ledwo co słyszać.

- Nie mogę się doczekać piątku – słyszę jego głos w słuchawce.
- Ja też – odpowiadam półgębkiem. – Będziesz jak zwykle?
- Tym razem jest szansa, że urwę się trochę wcześniej, bo mój promotor się rozchorował. Niech tam, dopuszczę się dezercji.
- To znaczy? – Stres kiepsko wpływa na moje szare komórki.
- Pójdę na uczelnię, pokręcę się trochę, pokażę jak największej liczbie osób i... – zawiesza głos – pobiegnę na pociąg. Wagary.
- To świetnie.
- Jakby cię ktoś posłuchał, doszedłby do wniosku, że jesteś milczkiem lub prawie niemową – podsumowuje niezbyt zadowolony.
- Mówiłam ci, jaką mam sytuację – jeszcze bardziej ściszam głos. – Dość krępującą – szepczę.
- Postaram się ją rozwiązać – obiecuję.

Czekam na dworcu i zniecierpliwiona drepczę w miejscu. W końcu w oknie wagonu widzę jego uśmiechniętą twarz. Coraz ciężiej jest mi wytrzymać cały długi, beznadziejnie nudny tydzień. Chciałabym go widywać codziennie, ale wiem, że to niemożliwe. Przynajmniej do czasu matury.

- Ciesć, jak się masz? – Na przywitanie delikatnie całuje mnie w czoło.
- Świetnie, choć dość samotnie.

– Teraz samotnie?

– Nie, przez cały tydzień – tłumaczę mu jak rozkapryszona dziewczynka.

– Ucz się, to nie będziesz miała czasu na rozmyślanie. Czas szybciej zleci.

Biorę go pod ramię i idziemy do centrum. Parę osób ogląda się za nami, ale zauważyłam, że tak to już jest. W małych miasteczkach robią wielkie oczy na każdego obcego, tym bardziej śniadego. Dla nich to sensacja. Boję się, żeby nie wzięli mnie na języki, bo oczywiście jeszcze nic nie powiedziałam mamie. – Zabieram cię na kolację do mojego kolegi, tego u którego zazwyczaj się zatrzymuję. – Ahmed ustala plan działań. – On i jego żona chcieliby cię w końcu poznać. Może się z nią zaprzyjaźnisz... choć nie byłbym tego pewien. Wydaje mi się, że jesteście troszkę różne – mówię tajemniczo.

– Zobaczymy. – Cieszę się na wieczór poza domem, choć wiem, że będą kłopoty z mamą.

Kierujemy się w stronę eleganckiego nowego osiedla czteropiętrowych bloków z ochroną i kamerami.

– Dobrze im się powodzi – stwierdzam, nie mogąc oderwać oczu od świeżych tynków, balkonów pełnych kwiatów i przyszyżonych trawniczków. „Czemu na moim osiedlu nie może tak być?” – zastanawiam się w duchu.

– Ali jest dobrym lekarzem. Studiował w Niemczech, a do Polski przyjechał na specjalizację. – Widząc moją zazdrość, Ahmed usiłuje usprawiedliwić kolegę.

– Że też wybrał akurat Polskę – dziwię się.

– Poznał Wiolettę, która przyjechała latem do sezonowej pracy. Dalej poszło szybko: *love*, ślub, dziecko albo w odwrotnej kolejności. *Doesn't matter!*

– śmieje się zadowolony ze swojego dowcipu. – Na koniec doszli do wniosku, że z niedużymi pieniędzmi, które mają, łatwiej im będzie urządzić się tutaj, a nie gdzieś na zgniłym Zachodzie. A wszystko przez to, że ona nie chciała pojechać do niego, głupia... – Z pogardą wygina wargi.

Wchodzimy do budynku. Czysta, szeroka klatka schodowa. U mnie w bloku każda ściana wymazana jest graffiti i czuć woń moczu pomieszanego ze smrodem wymiocin.

- Ładnie tutaj – mówię szeptem, jak w kościele. – Mogłabym tu mieszkać.
- Blok zawsze pozostanie tylko blokiem. Nie ma to jak dom.
- Marzenie ściętej głowy – śmieję się.

Drzwi otwiera nam uśmiechnięty łysiejący Arab, ubrany na sportowo, lecz bez butów czy pantofli.

- *Salam alejkum* – mówi na przywitanie i wpuszcza nas do środka.
- Ze zdziwieniem patrzę na Ahmeda.

- To znaczy dzień dobry, a ściślej: pokój z tobą – tłumaczy.
- Muszę się nauczyć, ładnie brzmi.

Po chwili przedpokój zapełniają krzyczące dzieci, skaczący pies, a na koniec, jak gwiazda, wkracza Wioletta. Ma chyba około trzydziestki, lecz mocny makijaż dodaje jej lat. Ubrana jest w kuse mini, krótki moherowy sweterek odsłaniający dolną część brzucha oraz czarne burdelówki. Na stopy wsunęła szpilki na metalowym wysokim obcasie. Włosy ma w totalnym nieładzie, nieumiejętnie sklezione pianką lub żelem. Ja, młodsza o co najmniej dziesięć lat, prezentuję się jak jej matka. Popielata prosta wiskozowa sukienka do pół łydki z małym dekoltem pod szyją i długimi rękawami może pasuje do moich blond włosów, skromnie spiętych w mały kok, lecz teraz widzę, że jest zbyt staroświecka i za elegancka na tę okazję.

– Cześć, cześć piękna. – Kobieta zwraca się do mnie protekcyjnie i udając, że mnie całuje, cmoka powietrze. – Już nie mogliśmy się doczekać, żeby cię poznać. – Lustruje mnie od stóp do głów. – Ależ ty młoda jesteś, skończyłaś już osiemnaście czy Ahmed zabiera się za nieletnie?

- Daj spokój – przerywa jej mąż. – Wchodźcie dalej, zapraszamy.

Przechodzimy do nowocześnie umeblowanego salonu, w którym detale świadczą o pochodzeniu właścicieli. Na jednej ścianie wisi kilimek z jeleniami na rykowisku, zaraz obok w pozłacanej plastikowej ramce reprodukcja Matki Boskiej Częstochowskiej, na segmencie zaś stoi arabska fajka wodna i tabliczki z napisami w dziwnym, pełnym zawijasów piśmie, a obok



mnóstwo skórzanych wielbłądów, wypchanych osiołków i glinianych figurek przedstawiających Arabów w ludowych strojach.

– Proszę. – Ali wskazuje miejsce na kanapie, na które błyskawicznie wskakuje pies. – A poszedł mi stąd! – krzyczy na niego i dorzuca jeszcze jakieś słowa, których nie rozumiem.

– Nie szkodzi, ja lubię zwierzęta – śmieję się i klepię przymilnego kudłacza.

– U nas wieprzowiny się nie jada – ni z tego, ni z owego informuje mnie Wioletta. – Mam nadzieję, że obejdiesz się w jeden wieczór bez wiejskiej kielbasy? – wyczuwam złośliwość w jej głosie.

– Ja również bardzo rzadko jem takie rzeczy. Są ciężkostrawne i mi nie służą – staram się mówić jak najbardziej elegancko i odpowiednio dobrać słowa.

– Ty w ogóle chyba mało co jadasz – kontynuuje Wioletta. – Wychudzona jesteś. Cóż, jak ja byłam nastolatką, to też mogłam żyć tylko miłością. – Obraca się na pięcie i wymownie wzdycha.

Staje w drzwiach do kuchni i pali papierosa, wydmuchując przy tym kłęby dymu. Chyba się jednak nie polubimy.

– Wioletta, przyhamuj, co cię znowu ugryzło? – Ali zwraca się do niej podniesionym, ale zarazem błagalnym tonem. Na pierwszy rzut oka widać, kto rządzi w tym domu. – Popatrz, jaki zbieg okoliczności – mówi do mnie ciepło gospodarz. – Ahmed przyjechał w odwiedziny do mnie, a poznał taką piękną dziewczynę. Nasz paniczek znalazł sobie królową. Zawsze był wybredny.

– To gdzie się poznaliście? – Wioletta włącza się do rozmowy.

– Mówiłem wam, w pubie. – Ahmed po raz pierwszy się odzywa. Po jego minie widzę, że nie jest zadowolony.

– To jedyny godny uwagi lokal w tej dziurze. Kiedyś mogłam tam przesiadywać godzinami. – Kobieta rozmarza się i wzdycha z tęsknotą. – Ty oczywiście masz czas i możliwości, żeby się bawić – zwraca się do mnie – ale ja jestem już ugotowana – dom, dzieci, i na domiar złego ten cholerny pies.

– Byłam tam po raz pierwszy w życiu – tłumaczę się jak mała dziewczynka. – Ja nie chodzę po takich miejscach.

– No tak, ty jeszcze jesteś na etapie, że cieszysz się, idąc do cukierni czy McDonalda. – Uśmiecha się kpiąco i z politowaniem kiwa głową.

– To się raczej nie zmieni – odpowiadam.

Mężczyźni wymieniają ponure spojrzenia. Ali zapala papierosa, a Ahmed pije zimną wodę szklanka za szklanką. Nagle, jak na komendę, wstają i wychodzą z salonu. Słysząc ich przytłumione głosy, jakieś dziwne cmokanie językiem, a po chwili stłumiony śmiech. Co im tak wesoło?! Po krótkiej chwili wracają i już odprężeni zajmują swoje miejsca.

– Nakrywamy do stołu, czas coś zjeść – radośnie odzywa się pan domu, klepiąc się rękami po udach.

– To rusz dupę, co ci stoi na przeszkodzie? – Wioletta ordynarnie zwraca się do męża. – Może przyrosła ci do kanapy, bo ciągle na niej przesiadujesz? Dalej!

Tego dla mnie już za wiele. Wściekła, porozumiewawczo spoglądam na Ahmeda. Albo natychmiast wyjdziemy, albo będzie karczemna awantura, na dokładkę chce mi się płakać. Jak zawsze rozumiemy się bez słowa, więc obydwoje wstajemy, przechodzimy przez korytarz i opuszczamy ten „gościnnie” dom.

– Ahmed, Dorota! – słyszymy nawoływania Alego. Rozbrzmiewają echem na całej klatce schodowej. – Wracajcie, przepraszam!

– *Illa liqa!*

– Ahmed zatrzymuje się na moment i krzyczy, podnosząc głowę do góry. Patrzą na niego zdziwiona, lecz nawet nie chcę wiedzieć, co to znaczy.

– Moja koleżanka z klasy urządzi sylwestra. – Znów rozmawiamy przez telefon, z tą jednak różnicą, że leżę na łóżku u siebie w pokoju, bo mam już komórkę, którą Ahmed kupił mi na Mikołaja.

– I co sugerujesz? – mówi niezadowolony.

– Nie miałbyś ochoty się ze mną wybrać? – pytam, zdziwiona jego postawą.

– Żeby było jak u Alego? Tym razem twoi koledzy mogą mnie otłuc, że zabieram im taką laskę.

Nie wiem, czy to komplement, ale nie cieszy mnie jego ton. Nasze stosunki oziębły nieco po wizycie u Alego i Wioletty. Widujemy się rzadziej, bo teraz Ahmed nie ma gdzie się zatrzymać i za każdym razem musi wynajmować pokój w hotelu. Prywatne kwatery odpadają, bo warunki są tragiczne, poza tym mieszkańcy naszej miejscowości nie chcą wynajmować pokoju nawet najspokojniejszemu Arabowi. Znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

– Może przyjedziesz do mnie do Poznania – odzywa się po dłuższej chwili. – Duże miasto i ludzie trochę bardziej otwarci. Uczelnia organizuje bal sylwestrowy, będzie elegancko, bez bijatyk i docinek.

– Chciałabym, ale jak to powiedzieć mamie? Boję się, że nie pójdzie z nią łatwo.

– Dlaczego?

– Trzyma mnie krótko. Nie mogę sobie jeździć, gdzie chcę i z kim chcę. Nieważne, że jestem już pełnoletnia.

– Może byś mnie przedstawiła? – pyta nieśmiało. – Jeśli się nie wstydzisz.

– Dlaczego mam się wstydzić? – Serce bije mi z podniecenia i radości. – Nie jesteś garbaty ani kulawy...

– Jestem Arabem, a to dla was oznacza kogoś jeszcze gorszego – mówi chłodno.

– Nie dajmy się zwariować.

– Jeśli, jak mówisz, twoja mama jest tradycjonalistką, możesz mieć ostrą przeprawę nawet z zaproszeniem mnie do domu.

Oczywiście nie mylił się.

– W końcu łaskawie zechciałaś mnie poinformować, że kogoś masz! – zaczyna matka podniesionym głosem. – Całe miasto już mówi, że szlajasz się z jakimś kolorowym!

– Nie przesadzasz, mamo? Czy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, tylko plotkować na mój temat? – Postanawiam rozegrać to rozsądnie, bo zdaję sobie sprawę, że pójdzie na noże z moją matką nic nie da. Muszę zachować spokój i nie dać się sprowokować.

– Kogo ty chcesz mi do domu przyprowadzić, Cygana? – wbija pierwszą szpilę.

– Ahmed jest Arabem...

– Co?! – Nie zdążyłam skończyć zdania, a matka wrzasnęła jak oparzona. – Araba, brudasa, terrorystę! – kontynuuje, chwytając się teatralnie za głowę.

– Nie sądziłam, że jesteś rasistką, od tego już tylko krok do faszyzmu.

– Ty smarkulo, będziesz mnie od hitlerowców wyzywać?! – Zaczerwieniona ze złości uderza mnie w policzek. Nie byłam na to przygotowana.

– Nie chcesz go poznać, to nie! – krzyczę ze łzami w oczach. – Ale ja nadal będę się z nim spotykać. – Odwracam się do niej plecami i usiłuję się opanować.

– Zabraniam ci albo precz z mojego domu!

– Wyrzucasz mnie?!

– Albo, albo, masz wybór!

– Chciałabym tylko ci uzmysłowić, że jest to teraz zarówno twoje, jak i moje mieszkanie. Kupił je ojciec i zostawił nie tylko dla ciebie. Jak ci coś nie pasuje, to możesz się wyprowadzić. Ja już, Bogu dzięki, jestem pełnoletnia. Podaj mnie do sądu albo wezwij komornika.

Obracam się i prawie biegnę do siebie. Nie chcę dać jej tej satysfakcji, żeby widziała, że płaczę. Jestem w szoku. Nie spodziewałam się po mojej matce takiego zachowania. Ahmed miał rację.

– Przyjeżdżam na sylwestra do ciebie. W zasadzie mogę parę dni wcześniej, bo przecież mam wolne – informuję go trzęsącym się głosem przez telefon.

– Źle poszło – słysząc mnie, nie potrzebuje wyjaśnień.

– Jak przewidywałeś.

– To może ja przyjadę w ten weekend i zrobimy twojej mamie niespodziankę – mówi z lekkim rozbawieniem. – Spróbuję podbić ją moim urokiem osobistym. – Śmiejemy się, choć czujemy, że nie będzie łatwo.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zaczynam się wahać.

– Nic się nie martw. Wiem, jak postępować z twardymi, upartymi starszymi paniami. W końcu też mam matkę.

Ahmed siedzi na wytartej kanapie w maleńkim salonie, w rękach mocno ściska wielki bukiet czerwonych róż, a pudło z czekoladkami położył sobie na kolanach. Widzę, jak bardzo jest spięty, choć udaje wyluzowanego.

– Myślisz, że za chwilę przyjdzie? – pyta po raz kolejny.

– Już za minutkę, już za momencik... Msza kończy się o pierwszej, droga trwa maksymalnie piętnaście minut...

Zanim kończę mówić, słyszymy zgrzyt klucza w zamku. Głęboki oddech. Sama nie wiem, czego mogę się spodziewać. Ostatnio matka mnie zaskakuje. Dopóki byłam dzieckiem, wszystko układało się jak w bajce, bardzo się kochałyśmy. Lecz im stawałam się starsza, tym matka była bardziej oziębła, nerwowa i kąśliwa. Zupełnie tego nie rozumiem. Jeśli się boi, że ją opuszczę, wyfrunę z naszego idealnego gniazdka, to czemu robi wszystko, abym chciała to uczynić jak najprędzej?

– Witam panią. – Ahmed wstaje i całuje moją zdziwioną matkę w rękę. – To wielki zaszczyt dla mnie poznać mamę Doroty – mówi, wręczając jej kwiaty i czekoladki.

– Toście mnie zaskoczyli – przyznaje, z trudem zamykając otwarte usta. Siadamy. Patrzymy na siebie wyczekująco. Niedobrze.

– To ja podam ciasto, mam nadzieję, że się udało. – Zrywam się na równe nogi, nie mogąc znieść milczenia. – Kawa czy herbata, a może cola?

– Poproszę kawę. – Ahmed uśmiecha się niepewnie.

– Dla mnie może być to samo – burczy mama, patrząc chłodno na mojego śniadego chłopaka i próbując wynaleźć najmniejsze niedociągnięcie w jego wyglądzie. Nie ma szans, bo on jest naprawdę przystojny. Wysoki i szczupły, kędzierzawe włosy ma dobrze przystrzyżone, twarz ogoloną na gładko, włoski garnitur jak spod igły, koszula perfekcyjnie wyprasowana, a krawat idealnie dobrany do całości.

– To co pan robi u nas w Polsce? Poluje na młode dziewczyny, bałamuci je i zostawia? – Mama zaczyna miłą konwersację.

Trzęsącymi się rękami nakładam biszkopt z galaretką, rozlewam kawę i biegnę pomóc mojemu chłopakowi.

– Pani bardzo dobrze wychowała córkę. – Ahmed nie odpowiada na pytanie bezpośrednio. – Może być pani dumna, Dorota nikomu nie da się zbałamucić.

– To co pan tutaj robi? Na co pan liczy? – nie poddaje się.

– Myślę poważnie o pani córce i szanuję zarówno ją, jak i panią – mówi spokojnym głosem. Już się nie denerwuje.

– A ileż czasu się spotykacie, że może panu coś „na poważnie” przyjść do głowy?!

– Już ponad trzy miesiące, prawda, Dociu? – zwraca się do mnie, a ja kiwam głową.

Matka patrzy na mnie z wyrzutem i mogę wyczytać z jej oczu: „I nic mi nie powiedziałaś?”.

– Dopiero trzy miesiące, co to jest! – śmieje się ironicznie.

– Dobry początek, szanowna pani. – Ahmed mówi już stanowczym i chłodnym głosem.

– Ona nie ma nawet matury, co pan sobie wyobraża?! – podnosi głos.

– Mamo, on spotyka się ze mną i chce tylko pójść w moim towarzystwie na sylwestra, a nie, do jasnej cholery, od razu się żenić! – nie wytrzymuję, bo robi mi się strasznie głupio. – Rzeczywiście chodzimy ze sobą dopiero trzy miesiące i nie czas ani miejsce snuć jakiegoś dalekosiężnego planu na przyszłość. Ahmed chciał powiedzieć, że nie ma zamiaru mnie wykorzystać ani nic takiego.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Matka z ironią wygina wargi w dół i patrzy na nas niechętnie. – Może zechcielibyście opuścić mój pokój, bo chciałabym trochę odpocząć.

– Koniec audiencji – szepczę i biorę Ahmeda pod rękę.

Wprowadzam go do mojego małego pokoiku. Praktycznie można siedzieć na łóżku i jednocześnie pisać przy biurku, tyle właśnie jest miejsca między tymi dwoma meblami, ledwo mieści się taboret. Wystroju dopełnia mała szafa na ubrania, ale też mam tylko parę rzeczy na krzyż: dzinsy, kilka podkoszulków, dwa sprane swetry, niemodną wyjściową sukienkę oraz galowy komplecik na szkolne akademie i egzamin maturalny. Siadamy na mocno wysłużonej kanapie, która pamięta jeszcze czasy mojego dzieciństwa.

– Jak ty tutaj, dziewczyno, możesz się pomieścić? – Ahmed obejmuje mnie ramieniem, rozglądając się jednocześnie dookoła. – Nie ma czym oddychać.

Wstaje, ściąga marynarkę, krawat i rozpina koszulę pod szyją.

– Wystarczy tego striptizu – śmieję się, bo okrutnie mi się podoba, szczególnie z tymi rumieńcami na twarzy.

– Uf, gorąco tutaj. – Jego oczy płoną dziwnym blaskiem. – Otworzę okno, dobrze?

Za chwilę siada na brzegu łóżka i czule chowa moje dłonie w swoich.

– Wiesz, że bardzo cię szanuję? – zaczyna. – U nas, jak facet myśli poważnie o dziewczynie, to nawet nie powinien jej pocałować. Ale to trochę staroświeckie zasady, niezbyt przestrzegane w mojej rodzinie. Jesteśmy dość nowoczesni na miarę kraju, w którym żyjemy. Choć tutaj i tak wydawalibyśmy się zaściankowi i jak z poprzedniej epoki.

– Do czego zmierzasz? – Ta rozmowa z mamą źle na niego wpłynęła.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że coś do ciebie czuję, bardzo głębokiego, nie chwilowego.

– Ja też – szepczę, siadając blisko i przytulając twarz do jego szyi. Czuję jego przyspieszony puls.

– Nigdy wcześniej do nikogo...

– Ja też – przerywam mu.

Patrzmy sobie głęboko w oczy, z trudem łapiąc oddech. Po raz pierwszy od momentu poznania całujemy się, najpierw nieśmiało i delikatnie, później namiętnie, z dziką pasją. Nagle tracimy równowagę i wpadamy na środek łóżka. Oboje mocno uderzamy głowami w ścianę.

– Ojjj... – krzyczymy, masując obolałe miejsca, i wybuchamy śmiechem.

– Tyle by było na dziś w temacie seksu. – Prawie płaczę z bólu i rozbawienia.

– Musimy kupić ci wieczorową suknię na bal sylwestrowy.

– Wiesz, nie za bardzo mam fundusze – wyznaję skrzępowana.

– Ty tylko wybierz i przymierz, a ja zajmę się resztą.

– Ja tak nie mogę, zrozum mnie – tłumaczę. – To tak, jakbyś był moim sponsorem, jakbym ci się sprzedawała.

– Ale przecież tak nie jest – oburza się. – Co sprzedajesz? Towarzystwo, uśmiechy?

– Mama potraktuje to jednoznacznie – jęczę zrozpaczona, bo tak bardzo chciałabym mieć nową sukienkę. – Nie powinnam...

– Co my z tym fantem zrobimy? – zastanawia się, drapiąc po dużym nosie.

– Ha, już wiem! Kupimy sukienkę, ale ty jej nie dostaniesz. Przebierzesz się u mnie przed wyjściem na bal, a po imprezie zostanie w moim mieszkaniu. Albo ją kiedyś odkupisz, jak się dorobisz, albo weźmiesz, gdy jakoś sformalizujemy nasz związek.

– Ty spryciarzu – wykrzykuję szczęśliwa i czochram go po czarnych włosach.

– No to na sklepy – zadowolony niczym mały chłopiec rusza biegiem, ciągnąc mnie za rękę.

Jak ja lubię świąteczną atmosferę. Nie tylko tę w domu, przy choince i pachnącym drożdżowym cieście, ale też cały zaczarowany świat, który otacza nas w tych dniach. Śnieg uporczywie prószy, trzyma lekki mróz, a na śliskich chodnikach można złamać nogę, lecz kto by się tym przejmował. Dookoła kolorowe lampki mrugają z choinek za oknami, w witrynach sklepów i na podwórkach. Zewsząd dobiegają dźwięki kołęd. Od dziecka chciałam, aby święta trwały wiecznie. Kierujemy się na przepięknie ozdobiony rynecek.

– Widziałem ładne kreacje w jednym z butików. – Ahmed przerywa moje rozmyślenia. – Sądzę, że coś tam dla siebie znajdziesz.

Znam te sklepy – najdroższe w całym mieście. Nigdy nie kupiłam tam ani jednej rzeczy, nawet chusteczki do nosa.

– Jesteś pewien? Tam jest dość drogo – próbuję pohamować jego zapędy. – Możemy obejrzeć coś w markecie.

– Zaufaj mi, ubrania należy kupować w sklepach, w których nie sprzedaje się kielbasy.

W butiku wszystko jest piękne. Błądzą jak dziecko we mgle i boję się cegokolwiek dotknąć, żeby nie zniszczyć czy nie pobrudzić.



– Ahmed, czyś ty oszalał?! – Odsłaniam metkę przy jednej ze zwykłych czarnych sukienek. – To już przesada! – szepczę oburzona. – Moja mama dostanie niższą emeryturę po ponad trzydziestu latach pracy! Kogo w naszej małej biednej miścinie na to stać?!

– Ciebie – uśmiecha się.

– Chodźmy, póki jeszcze nikt się nami nie zainteresował, proszę. – Ciągnę go do wyjścia.

– Można panią prosić? – Ahmed podnosi rękę i wzywa sprzedawczynię.

Przepadło. – Czy mogłaby pani coś doradzić tej młodej damie, bo jakoś na nic nie może się zdecydować.

– Oczywiście, ale na jaką to ma być okazję?

– Na najbliższą, na sylwestra – śmieje się Ahmed, patrząc na nią powłóczytym wzrokiem i taksując od stóp do głów. Po co on ją tak czaruje?! Dziewczyna biegiem zaczyna znosić błyszczące kreacje. Materiały albo są posypane brokatem, albo wyszywane cekinami, wszystkie w odblaskowych kolorach: różowym, pomarańczowym, nawet seledynowym.

– Ona chyba z mety określiła mój status. – Robię się wściekła. – Kpi sobie ze mnie? – mówię teatralnym szeptem i ekspedientka zamiera w pół kroku.

– To są najmodniejsze wzory i kolory, tak się chodzi, droga pani – tłumaczy. – Może nie u nas i nie na co dzień, ale...

– Potrzebuję kreacji na bal sylwestrowy na uniwersytecie – cedzę wyrazy przez zęby, żeby dokładnie zrozumiała. – Czy pani sądzi, że żona profesora mogłaby coś takiego założyć?! – podnoszę głos.

Ahmed rozkłada ręce, uśmiecha się pod nosem i obserwuje całą sytuację z boku.

– Od razu tak trzeba było – płaczącym głosem usprawiedliwia się sprzedawczyni.

– Czy coś się stało? – Podchodzi do nas starsza elegancka kobieta. – Czy jesteście państwo niezadowoleni z obsługi? Może ja będę mogła w czymś pomóc? – Wymownie patrzy na swoją pracownicę, a ta dosłownie maleje w oczach.

– Ja zaproponowałam pani najmodniejsze kreacje...

– Mylna ocena osoby albo profesji – mówię ostro, chcąc ją całkiem upokorzyć. – Idę z mężem na bal uniwersytecki, a ta pani proponuje mi ciuchy jak do burdelu – nie wytrzymuję.

– Bardzo przepraszam, to po prostu jej własny spaczony gust – usprawiedliwia się właścicielka, lustrując mnie przy tym ostrym wzrokiem. – Przy pani czystej i nienagannej urodzie oraz perfekcyjnej sylwetce wskazana jest tylko wysublimowana elegancja.

Bierze mnie protekcyjnie pod rękę i prowadzi do przymierzalni.

– Teraz zajmie się panią profesjonalistka – obiecuje z błyskiem w oku. – Czy do kreacji dopasowujemy dodatki: buty, torebkę, biżuterię? – Pytanie retoryczne. Nie mogę do nowej sukni ubrać moich starych, rozczłapanych czółenek, a najmniejsza torebka z mojej kolekcji jest wielkości chlebaka.

Po chwili zostają zasypana tiulami, krepami, jedwabiem i satyną. Szefowa nie daje mi jednak nic przymierzyć. To rzuca okiem na sukienkę, to na mnie. W końcu wybiera jedną.

– Ta i żadna inna – mówi pewnym głosem i oczywiście ma rację.

Nie jest to wulgarnie kuse mini, lecz elegancka suknia do pół łydki, jednak z bocznym rozcięciem aż do uda. Plecy i dekolt są zasłonięte, ale tylko cieniutkim przezroczystym tiulem. Z tego samego materiału uszyto długie wąskie rękawy. Całość jest delikatnie stebnowana srebrną nicią.

– Teraz wyglądasz jak żona profesora. – Ahmed kpi z moich kłamstw. – Muszę chyba nim zostać, tylko że wtedy nigdy nie będzie mnie stać na taką kreację. – Wybucho śmiechem.

– Cicho, przestań – usiłuję go pohamować.

– Ale z ciebie niegrzeczna awanturnica, lecz podobało mi się. Z klasą. – Całuje mnie szarmancko w rękę. – Chciałbym, żebyś się ubierała w takich sklepach. Jesteś tego warta. – Poważnieje.

– Za dużo oglądasz reklam – śmieję się i ze zdziwieniem oglądam swoje odbicie w lustrze. Spogląda na mnie zupełnie inna osoba.

Wychodząc, z dumą i satysfakcją oglądam się za siebie i widzę pogardliwy wzrok i zgryźliwy uśmiezek jeszcze przed chwilą uroczej właścicielki butiku.

– Ahmed – szepczę, kuląc się w sobie ze wstydu. – Ta baba i tak uważa mnie za kurwę. Ona się tylko tak zgrywała, żeby wyciągnąć kasę.

– Ależ ty jesteś dziecko. Oczywiście, że cię nie szanuje. W jej oczach więcej byś była warta, gdybyś przyszła tutaj z zapijaczonym artystą lub członkiem mafii wołomińskiej w dresie.

– Ale była taka miła... – nie mogę uwierzyć.

– Kochanie, pieniądze czynią cuda – zawiesz głós. – Ale nie mogą spowodować, żeby cię ktoś pokochał lub szanował. Dorośnij. Takie życie.

Pierwszy raz jestem na takim balu. Czuję się jak przeniesiona w kadr amerykańskiego serialu o Carringtonach bądź jakichś innych bogaczach czy ludziach z wyższych sfer. Panie hrabio, powóz zajechał... Biedne brzydkie kaczątko lub usmolony Kopciuszek wchodzi na salony i urzeka wszystkich swoją prostotą i naiwnością. Księżę się w niej zakochuje, a potem żyją długo i szczęśliwie.

Marmurowa posadzka, długie stoły nakryte białymi obrusami i zastawione porcelaną, papierowe lampiony dające delikatne światło, na parkiecie zaś migające lampy disco – wszystko to zapiera mi dech w piersiach. Po północy niestety całość zaczyna szarzeć i wracać do rzeczywistości.

– Już robi się późno. – Ahmed nachyla się do mojego ucha i przekrzykuje muzykę i wzmagający się gwar. – Zaraz wszyscy powpadają pod stoły i nie będzie już tak przyjemnie.

– Ale się popili – szczerze się dziwię. – Takie wykształcone i eleganckie towarzystwo.

– To chyba u was taka tradycja narodowa – uśmiecha się półgębkiem.

– To wcale nie jest śmieszne – mówię rozzłoszczona. – Raczej żenujące.

– Dla mnie również, więc może chodźmy już, żeby sympatycznie zakończyć wieczór – namawia mnie. – Mam jeszcze szampana w lodówce.

– A ja chciałam, żeby ten bal trwał wiecznie. – Rozżalona, nie słyszę jego ostatnich słów. – Że co? – Z opóźnieniem, jednak do mnie docierają. – To jakaś zuchwała propozycja czy prowokacja? – Kokieteryjnie spoglądam mu w oczy.

– To oferta na kontynuację zaczarowanego wieczoru w nieco odmiennej atmosferze – mówi ze ściśniętym gardłem.

Czuję ogarniające mnie podniecenie i widzę ogień w jego oczach.

– Na co jeszcze czekamy? – Chwytam go za rękę i prawie biegiem przepychamy się do wyjścia.

Mieszkanie jest piękne – duży salon, wygodna sypialnia z garderobą, nowoczesna kuchnia i jasna przestronna łazienka z trójkątną wanną. W salonie na małym stolyczku stoi choinka z czerwono-złotymi dekoracjami. Lampki delikatnie mrugają, dając ciepłe, przyćmione światło.

– Czyżbyś zaczął obchodzić nasze chrześcijańskie święta? – żartuję.

– Chcę je spędzać z tobą – mówi cicho, zabierając ode mnie płaszcz. – Są takie uroczyste i piękne.

– Wasze na pewno też.

– Nie tak kolorowe i pełne muzyki. Choć na urodziny proroka także świątecznie przybieramy drzewka i świecimy lampki. To taka nasza islamska wigilia.

– Poważnie? Nie wiedziałam – dziwię się.

– W ten sposób obchodzimy to święto od niedawna. Chyba nie chcieliśmy być gorsi od was – śmieje się i sadza mnie na skórzanej wygodnej sofie.

– Dobrze, że stamtąd wyszliśmy. Mimo nieciekawej końcówki cały bal był cudowny. Dziękuję ci.

– Teraz tylko takie chwile będą w twoim życiu.

Idzie do kuchni i przynosi oszronioną butelkę szampana. Z kredensu wyciąga kryształowe błyszczące kieliszki.

– Za ten nowy wspaniały rok. Oby spełniły się twoje najskrytsze marzenia.

– Pochyla się w moją stronę z napelnionym szkłem.

– Właśnie się spełniają – szepczę i daję mu do pocałowania rozchylone usta.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że tego chcę i że ten mężczyzna jest właśnie tym jednym jedynym, wymarzonym księciem z bajki.

Ahmed bierze mnie na ręce i zanosi do sypialni. Przytłumione światło rzuca blask na wielkie łożo. Powoli ściąga ze mnie piękną wieczorową suknię, tak jakby nie chciał jej uszkodzić lub pragnął przedłużyć tę chwilę w

nieskończoność. Znowu brakuje mi tchu i kręci mi się w głowie. Płonę z namiętności i najchętniej rzuciłabym się na niego w dzikim szale. On zaś delikatnie całuje moją szyję i podąża w pieszczotach w dół. Zostawia na mnie stanik i majtki i jak na zwolnionych obrotach zdejmuje marynarkę i zaczyna rozpinąć koszulę. Za chwilę zwariuję albo eksploduję! Gwałtownie siadam i targam ją na boki. Guziki przyskają na wszystkie strony.

– Tygrysyco! – chrapliwie dyszy. – Aż się ciebie boję.

Ciężko pada na mnie i mocno, aż do bólu, ścisza moje delikatne dziewczęce piersi. Jęczę z rozkoszy i przejeżdżam paznokciami po jego plecach. Jak przez mgłę słyszę jego zdławiony krzyk. W dzikim szale zrywamy z siebie pozostałe ubranie. Nasze nagie ciała ocierają się i splatają, chłonimy siebie nawzajem. Czuję jego drżące, lecz mocne palce w moim gorącym, wilgotnym dołku. Nagle coś wielkiego i twardego rozrywa mi krocze. Instynktownie spinam się w sobie i wydaję nieartykułowany, przenikliwy dźwięk, ni to pisk, ni skowyt.

– Docia! – Ahmed zamiera. – Ty jesteś dziewicą?! – mówi zszokowany i zakłopotany.

– A jak myślałeś? Sądziłeś, że masz do czynienia z jedną z pubowych panienek? – gardłowo szepczę, gryząc z namiętności palce.

– Ale... To trzeba celebrować – tłumaczy zaniepokojony, podnosząc się na łokciu i próbując odsunąć ode mnie.

– Ahmed, właśnie to robimy. Jestem gotowa i bardzo tego pragnę. – Zarzucam mu ramiona na szyję, przyciągam do siebie i mocno chwytam zębami jego ucho.

– Kocham cię, moja blond królewno – czule szepcze.

Zaciskam oczy i wtulam się w jego szyję. Próbuje mnie uciszyć, kładąc spoconą dłoń na ustach. Jak to boli! Moje koleżanki opowiadały, że to nic takiego, nic nie czuły, żadnej krwi i cierpienia. Ja to zawsze mam pecha. Łzy spływają mi ciurkiem z kącików oczu. Ahmed wychodzi ze mnie, zostawiając ból i ogień w moim wnętrzu. Cała się trzęsę. Przytula mnie jak porcelanową lalkę i delikatnie obcałowuje całą twarz, włosy i palce dłoni, jeden po drugim.

– Przepraszam, czuję się jak rzeźnik – usprawiedliwia się i widzę przerażenie i skruchę w jego oczach.

– Nie sądziłam, że to takie mało przyjemne – pochlipuję. – To ja przepraszam, ze mną tak już jest. Same kłopoty.

– Dociu, właśnie tego pragnę, na zawsze.

Ostrożnie mnie podnosi i kieruje się do łazienki. Napuszcza do wanny ciepłą wodę, wlewa relaksujący olejek i kładzie mnie wśród aromatycznej piany. Kąpię się w trójkątnej wannie. Powoli napięcie i ból mijają, zaczynam głębiej oddychać, czuję odprężenie ogarniające całe ciało. Ahmed zapala kolorowe wonne świece i ustawia dookoła. W sypialni włącza płytę z łagodną muzyką i wraca, niosąc kieliszki napełnione szampanem.

– Wypijmy za nas – wznosi toast.

Siada na podłodze i opiera łokieć o brzeg wanny. Patrzy na mnie zaskoczonym wzrokiem i jest bardzo poważny.

– Chodź tutaj do mnie. – Przesuwam się, robiąc mu miejsce.

Obejmujemy się i pijemy pysznego szampana. Ociekający wodą wracamy do sypialni. Tym razem kochamy się długo i powoli, aż stajemy się jednym ciałem i jedną duszą. Dopiero teraz czuję, jak potężne uczucie przepelnia moje serce. Nie jest to już zwierzęca, dzika namiętność, lecz głęboka miłość, taka na całe życie.

– Moja i tylko moja, na wieki, najukochańsza Docia – o świcie cichutko wyznaje mój mężczyzna i zapada w głęboki sen.

– Tak, moja pannico, postępować nie będziemy – tymi słowy matka wita mnie w nowym roku. – Jak ty wyglądasz?! – krzyczy.

– Mamo, bawiliśmy się do białego rana, jestem niewyspana. Teraz chciałabym trochę odpocząć. – Kieruję się do mojej norki.

– Ja wiem, z kim spędziłaś całą noc, ale spójrz na swoją twarz! Jak ty jutro pójdziesz do szkoły?!

Do tej pory nie miałam czasu nawet zerknąć w lusterko, bo spóźniłabym się na ostatni pociąg. Nie wiem, jak wyglądam, ale mam to gdzieś. Moja dusza i ciało nadal są gdzie indziej. Wlokę się do łazienki, omijając rozjuszoną matkę. Staję przed lustrem. Rzeczywiście kiepski widok. Wargi

mam napuchnięte jak Angelina Jolie, wory pod oczami mogłyby świadczyć o nadmiernym spożyciu napojów wysokoprocentowych, a na domiar złego na mojej szyi maluje się cała sieć czerwonych „malinek”. Ciężko to będzie zatuszować, ale teraz nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Idę spać.

– Czy można przyprowadzić na studniówkę kogoś spoza szkoły? – pytam nauczycielkę na lekcji wychowawczej.

– Tak, oczywiście, w końcu to wasze święto, wasz bal.

Wszystkie dziewczyny w klasie piszczą z radości, podskakują w ławkach i klaszczą w dłonie.

– Wiecie, co jest surowo zabronione? – Belferka zadaje retoryczne pytanie, kiwając ostrzegawczo palcem. – Pamiętajcie, żadnego przynoszenia alkoholu. Jeśli ktoś złamie zakaz, butelka zostanie zarekwirowana, a może nawet dojść do tego, że zaproszona przez was osoba nie zostanie wpuszczona do szkoły. To są środki ostrożności, które podejmujemy z myślą o was, żebyście się dobrze bawili.

– Ale głupia cipa – słyszę wypowiedź Joli, która siedzi za mną. – Już dawno mamy ustalone, że gorzałę wnosimy w pudłach z żarciem. A potem szukaj wiatru w polu – śmieje się.

– To niebezpiecznie, po co ryzykować? – szepczę przerażona ich pomysłem.

– Ty, księżniczko, nie odzywaj się, bo co ty możesz wiedzieć o życiu i dobrej zabawie – kpią ze mnie. – Idź do swojej mamuni i zamknij się w domu do końca życia.

Już nic nie mówię. Zaprosiłam Ahmeda na bal, ale ani ja, ani on nie jesteśmy do końca przekonani, czy to dobry pomysł. Wolalabym pojechać do Poznania i spędzić weekend u niego. Ale jakby sprawa wyszła na jaw, mama na pewno wyrzuciłaby mnie z domu.

Ahmed przywozi moją piękną wieczorową suknię. Mama jeszcze o niczym nie wie, ale nawet mnie nie zapytała, w czym i z kim idę. Zapewne myśli, że

ubiorę stary szkolny strój, spraną białą bluzkę i granatową przykusą spódniczkę, i że jak zawsze będę podierać ściany.

Przed szkołą spotykamy się z Goską i Ulą, moimi jedynymi koleżankami, oraz ich chłopakami. Dziewczyny są w szoku. Ahmed prezentuje się imponująco – w czarnym długim kaszmirowym płaszczu wygląda jak amant filmowy.

– Gdzieś ty go dopadła? Skąd taki gość u nas w miasteczku? – szepczą.

Chłopcy nie okazują zbytniego zadowolenia i podziwu, ale witają się uprzejmie.

Przy wejściu zebrał się mały tłumek. Wszyscy są pobieżnie sprawdzani przez dwie surowe nauczycielki. Gdy podchodzimy, zaprzyjaźnione pary przechodzą bezproblemowo, my zaś zostajemy zatrzymani.

– Co to jest, Dorota? – pyta nauczycielka matematyki.

– Nie rozumiem. Wychowawczyni powiedziała, że można przyprowadzić kogoś z zewnątrz – nerwowo tłumaczę.

– Ale to nie kolega z innej szkoły – zauważa rozzłoszczona belferka.

– Ponoć nie ma granicy wiekowej gości. Jeszcze nie jest na emeryturze – odburkuję.

– Ty mi tutaj nie pyskuj, gówniario!

Tłumek za nami zaczyna się denerwować. Wszyscy marzną i chcieliby już znaleźć się w środku.

– Co się tutaj dzieje? – Nagle jak spod ziemi wyrasta dyrektor szkoły.

– Ta mała z czwartej A przyprowadziła sobie tego gościa. – Z pogardą wskazuje Ahmeda.

– Cóż, pan jest cudzoziemcem. – Dyrektor mówi grzecznie, ale spogląda spod oka. – Nie wiem, czy będzie możliwe...

– Mieszkam w waszym kraju, mam kartę stałego pobytu. – Ahmed w końcu włącza się do rozmowy. – Jestem na studiach doktoranckich w Poznaniu. Czy to stanowi jakiś problem?

– Proszę dać tę kartę. – Dyrektor zrezygnowany patrzy na koleżanki. – Otrzyma ją pan przy wyjściu.

– Wchodźcie już! – krzyczą oczekujący za nami uczniowie. – Ile można!



– Z drogi, z drogi, żarcie idzie! – Pojawiają się ogolone lby, moi koledzy ze szkoły. W kartonach wnoszą oczywiście hektolitry wódki i nikt nie ma zamiaru ich sprawdzać.

– Co masz w torbie? – W ostatniej chwili nauczycielka chwyta moją reklamówkę i prawie mi ją wrywa.

– Buty na zmianę – tłumaczę, zaciskając zęby.

W końcu przechodzimy. Nieciekawie się zaczyna.

– Nie powinienem był przychodzić – szepcze Ahmed, blady z wściekłości.

– Miałabym tutaj być sama? Chyba żartujesz? Też bym chciała siedzieć w domu, twoim, w Poznaniu – uśmiecham się kokieteryjnie i biorę go mocno pod rękę. Czuję na sobie wzrok obserwujących nas ludzi. Wszyscy się gapią, a po chwili zaczynają szeptać. Moja matka jest oburzona. Taksuje wzrokiem przede wszystkim moją sukienkę. Bierze mnie za ramię i odciąga od Ahmeda.

– Takiego wstydu to nasza rodzina nigdy jeszcze nie przeżyła. Że też mnie to musiało spotkać. – Wbijają mi paznokcie w ciało i prawie miażdży rękę.

– Fakt, że ojciec zostawił cię z małym dzieckiem, odchodząc z dwadzieścia lat młodszą siksą, nie był wystarczającym wstydem? – Wyrrywam się z jej uścisku i przyłączam do mojego chłopaka i grupy znajomych.

– Długo już tutaj jesteście? – pyta Ahmeda ciekawska Gośka.

– Cztery lata. Najpierw uczyłem się języka, a potem studia. W czerwcu mam obronę – zeznaje jak na przesłuchaniu.

– To niedługo wyjeżdżasz? – stwierdza jakby z ulgą.

– To nie jest powiedziane, jeszcze nie wiem. – Ahmed wymownie na mnie patrzy. Rumienię się.

– A gdzie się poznaliście? – teraz Ula zaczyna inwigilację.

– Pamiętacie moje urodziny? Jak olaliście mnie i zniknęliście w tłumie? – pytam z przekąsem.

– To tam, w pubie? – dziwią się. – W takim razie jeszcze powinnaś nam podziękować, a nie wściekać się. Dzięki nam wyrwałaś sobie gościa. W końcu.

– Dobra, dobra. Zmieńmy może temat. Głodna jestem, kiedy będzie można coś przekąsić?

– Kto to wie – wzdychają. – Jeszcze czekają nas przemówienia, polonez, a później, jak już ludzie zaczną mdleć z głodu, łaskawie pozwolą nam coś zjeść.

– Nuuudy – jęczymy zgodnie.

Przebrnęliśmy przez część oficjalną i w końcu można zacząć się bawić. Rodzice i pedagodzy zaszywiają się w pokoju nauczycielskim, dając nam trochę swobody. Młodzież nie tyle rzuca się na jedzenie, ile na alkohol. Jest go oczywiście pełno.

– Mówiłaś, że nie wolno? – zaskoczony Ahmed wskazuje głową młodych ludzi pijących wódkę z plastikowych kubków.

– Czy nie widzisz, że są mocno spragnieni, muszą się napić – kpiąco się uśmiecham.

– Ale przecież zaraz będą pijani w sztok. I łamią zakaz, to się może dla nich źle skończyć.

– Tak to już u nas jest. Bez wody nie ma zabawy.

– Wy Polacy! – Ahmed z niedowierzaniem kręci głową. – Wóda i łamanie przepisów! Czy wiesz, że jesteście z tego znani na całym świecie? To taka wasza wizytówka.

– Czy chcesz kogoś tutaj obrazić? – pytam wściekła. – Mnie się to również nie podoba. A czy wiesz, z czego znani są Arabowie? Na całym szerokim świecie? – docinam mu.

– Lepiej zmieńmy temat – mówi chłodno, unikając mojego wzroku. – Kiedy będzie można już wyjść? Źle się tutaj czuję.

– Chodź, znajdziemy płaszcz i zmywamy się. – Robię niezadowoloną, obrażoną minę.

Ani nie potańczyliśmy, ani nie pogadaliśmy z ludźmi, ani nic nie zjedliśmy. Co to za bal?!

– Nie chcę robić ci przykrości. – Ahmed zawraca mnie w pół drogi. – Idziemy potańczyć.

Na środku sali gimnastycznej, na dzisiejszy wieczór przerobionej na taneczną, podskakują jakieś tyse oszołomy. Oni chyba zaczęli pić już dużo wcześniej, bo ledwo trzymają się na nogach.

– Ojej! – mówimy jednocześnie, patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem.

– Co wam tak wesoło? – Podchodzi do nas grupa potężnie zbudowanych chłopaków. Znam ich jedynie z widzenia, są z sąsiedniej klasy. Wszyscy w szkole się ich boją, włącznie z nauczycielami.

– Jesteśmy w końcu na imprezie – odpowiada Ahmed, spinając się w sobie.

– To musimy za to wypić – mówi jeden z nich, wyciągając flaszkę najpodlejszej wódki. Chłopak wygląda strasznie, jak Bruce Banner po transformacji w Hulka; mięśnie wyhodowane zapewne na sterydach rozsadzają mu marynarkę, twarz ma pokancerowaną, nad jedną brwią długi, nierówny szew, oczy zapuchnięte i nieprzytomne. Strach dosłownie mnie paraliżuje.

– Dziękuję, ja wódki nie piję – próbuje się wykręcić słabym głosem Ahmed.

– Może nie chcesz z nami? Co?! – groźnie podnosi głos mięśniak. – Nie jesteście wystarczająco dobrzy dla jaśnie pana brudasa.

– Słuchajcie, dajcie mu spokój – interweniuję. – On jest muzułmaninem, a tacy alkoholu nie piją – tłumaczę.

Trzymając się za ręce, zaczynamy się wycofywać. W końcu za plecami mamy już tylko ścianę.

– Ty, puszczałska, nie bądź taka mądra! – Jeden z nich, ten najgorszy, bierze mnie pod brodę i podnosi ją do góry. – Nieraz widziałem Arabusa uchlanego jak meserszmit. Takie fałszywe gnoje, udają wstrzeźliwość, a po cichu gołą wóde, ile wlezie. Może potem bomby łatwiej się podkłada? – Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Co tam się dzieje? – słyszę głos nauczycielki i oddycham z ulgą.

– Pani profesor! – krzyczę w jej stronę. – Proszę tutaj przyjść!

– O co chodzi? – pyta niezadowolona, stając pomiędzy nami i taksując wzrokiem Ahmeda. – Chcielibyśmy pójść na górę coś zjeść – kłamię, bo boję się odwetu. – Czy można już zaczynać? – pytam jak idiotka, bo przecież stoły stoją na środku korytarza i idąc tutaj, musiałam je minąć. Były obłązione przez wygłodniałych balowiczów.

– Chyba całkiem już jesteś pijana. – Nauczycielka obraca się na pięcie i prawie wybiega z sali, a my za nią. Uff, uratowani! Grupa osiłków śmieje się głośno.

– Ty, blondyna, jeszcze się spotkamy! – krzyczy w naszym kierunku ich lider, na pożegnanie machając ręką.

Wpadamy na pierwsze piętro i wtapiamy się w tłum przy stołach.

– Zjedzmy coś zatem. – Pobladły Ahmed mocno trzyma mnie za spoconą z nerwów rękę. – A potem zaraz się zmywamy. Nie chcę tutaj zostawać ani chwili dłużej, tym razem naprawdę już mam dość.

– To może od razu chodźmy na kolację do restauracji? – proponuję.

– Bez przesady! Będziemy wyrzucać pieniądze, jak tutaj jest takie pyszne domowe jedzenie? Nonsens.

Bierzemy talerze i nakładamy sobie z górką. Jestem przewodnikiem Ahmeda i mówię mu, gdzie jest wieprzowina, a co może bezpiecznie zjeść.

– Hej, jak się bawicie? – Podchodzi do nas grupka dziewcząt i chłopców z mojej klasy.

– Dzięki, w porzo – odpowiadam z pełnymi ustami.

– A macie co pić?

– Tak, pepsy i soków jest w bród.

– Nie żartuj sobie, dalej chcesz być dzieckiem, nawet na studniówce? – kpią ze mnie.

– Ale mnie to odpowiada – zaczynam się jeżyć.

– Może twojemu orientalnemu panu marzy się coś innego? – Jeden z kolegów wyciąga flaszkę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Bardzo dziękuję, ja nie piję – ponownie tłumaczy się Ahmed.

– Abstynent czy zaszyty? – Znów zaczynają się kpinki.

– Chłopaki, naprawdę dzięki, chcielibyśmy w spokoju zjeść – staram się ich spławić, bo zaczynają mi działać na nerwy.

Robi się jakieś zamieszanie, lecz cały widok zasłania nam otaczająca nas grupka.

– Potrzymaj na chwilę. – Koleżanka z klasy, ławka pod oknem, wciska Ahmedowi do ręki plastikowy kubek wypełniony cuchnącą alkoholową miksturą.

W tym momencie wszyscy obracają się do nas plecami i rozstępują na boki, my zaś stoimy oko w oko z dyrektorem szkoły i nauczycielką od matematyki. Są tam także moja matka i wychowawczyni.

– Co pan tutaj sobie sączy? – pyta dyrektor z niezdrowymi wypiekami na twarzy.

– To nie moje, jakaś dziewczyna dała mi do potrzymania – tłumaczy mocno zaniepokojony Ahmed.

– W takim razie niech pan mi to odda. – Dyrektor wrywa mu kubek z ręki i wacha zawartość. – Wie pan, że pańskie tłumaczenie jest żalosne? Nie może! Ha! – wykrzykuje, a dookoła nas zaczyna się gromadzić tłum ciekawskich nastolatków.

– Ale tak jest, nie muszę zmyślać! – Ahmed oponuje zdecydowanym głosem.

– Łamie pan przepisy i teraz jeszcze na dokładkę głupio kłamie. – Dyrektor toczy wzrokiem po zebranych. – Cóż, taka zakłamana nacja – stwierdza na koniec.

– Co pan ma na myśli? – Ahmed odkłada na stół swój talerz z jedzeniem.

– To, co wszyscy wiemy. Przyszedł pan tutaj, żeby deprawować naszą polską młodzież.

– Chyba pan żartuje, tutaj wszyscy są pijani! – Ahmed nie wytrzyma i podnosi głos. – To sodoma i gomora! Nie można zepsuć czegoś, co jest zepsute.

– Dość tego! – Dyrektor wymachuje rękami, jakby chciał go uderzyć. – Nie jest pan tutaj mile widziany. Zrozumiano?!

– Nie będzie mnie pan obrażał! Nie pozwolę na to. – Ahmed robi się dosłownie popielaty i zanosi się na coś bardzo niedobrego.

– I co pan zrobi?! Może wezwiemy policję? Od razu cię deportują na rodzime piaski, nie będą się patyczkować.

– Niech pan wzywa, tylko proszę powiedzieć, żeby przywieźli ze sobą alkomat. Najpierw ja dmuchnę, a potem pan.

– Coooo?

– Wtedy się okaże, kto deprawuje młodzież. No już, na co pan czeka? – Ahmed uśmiecha się z przekąsem.

– Wynocha mi stąd! – Dyrektor charczy ze złości i wygląda, jakby miał zaraz eksplodować. Wręcza Ahmedowi jego kartę pobytu i popycha go w kierunku drzwi. – A ty, dziewczyno, albo sobie zmień chłopaka, albo szkołę – zwraca się do mnie na pożegnanie.

Wybiegamy, nie oglądając się za siebie. Na zewnątrz pospiesznie zakładamy płaszcze, trzęsąc się nie tyle z mrozu, ile z oburzenia. Nie odzywamy się ani słowem, chce mi się płakać. Ahmed, nie patrząc na mnie, kieruje się prosto do mojego bloku. Panuje przenikliwe zimno, chodnik pokrywa cienka warstwa lodu, a powietrze jest nasycone wilgocią. Na ścieżce jest ciemno – jak zwykle większość ulicznych lamp została rozbita przez osiedlowych chuliganów. Po plecach przebiega mi dreszcz. Z zaułka napływają przytłumione rozbawione głosy. Jakaś grupa zbliża się w naszym kierunku, już mogę rozpoznać pojedyncze sylwetki i z przerażeniem odkrywam, że jest ich czterech lub pięciu i że to te same typki, które zaczepiały nas na sali gimnastycznej. Że też jeszcze są w stanie utrzymać się na nogach!

– Hej, lala! – zainteresowali się nami, lecz staramy się ich zignorować. Trudno ich będzie ominąć, bo ustawiają się w poprzek wąskiej osiedlowej dróżki. – Mówi się do ciebie, zdiro!

– Jednak znów się spotykamy. – Największy z nich staje przede mną. – Patrzcie państwo, jaki zbieg okoliczności. – Pochyla się do przodu i chwyta za brzuch, niby ubawiony sytuacją, a jego koledzy wtórują mu obrzydliwym wulgarnym śmiechem.

Omijam go wzrokiem i usiłuję wykonać krok w stronę oszronionego trawnika, lecz w tej chwili czuję ucisk w dole brzucha. Napastnik potężną łapą chwyta mnie za krocze.

– Może inni też by chcieli skorzystać?! – wybucha zdławionym wulgarnym rechotem, a cała reszta wyje z uciechy. – Co, tylko obrzezanemu dajesz?

– Kolego, proszę nas zostawić, nic ci nie zrobiliśmy. – Ahmed błady jak trup grzecznie zwraca się do bandziora, usiłując jednocześnie go ode mnie odciągnąć.

– A co niby wy moglibyście mi zrobić? – Oprawca puszcza mnie i dla odmiany chwyta Ahmeda za poły płaszcza. – Wy możecie nas jedynie w

dupę pocałować. – Ostrzegawczy chichot dobywa się z gardel napastującej nas grupy. Zacieśniają krąg i widzę, że nie ma dla nas ucieczki. Czuję smród przetrawionego alkoholu i tanich papierosów.

– Przecież jesteśmy z tej samej szkoły, koledzy, co wyprawiacie – prawie jęczę. – Puście nas, chcemy wrócić do domu. – Jestem bliska płaczu.

– Do domu... Ha! Żeby się gzić z tym Arabem?! Może my ci pokażemy, jak to się naprawdę robi? A on sobie popatrzy i czegoś się nauczy.

– Dość tego, bo wezwę policję. – Ahmed nie wytrzymuje i sięga do kieszeni po komórkę.

– Ja ci dam policję! – Zbir niespodziewanie wyprowadza prawy sierpowy i Ahmed leży jak długi na poszczerbionych chodnikowych płytach.

– Nie zadzieraj ze mną, ty gówniarzu! – Błyskawicznie zrywa się na nogi, zrzuca płaszcz i wykonuje kop w brzuch przeciwnika. Ten zaskoczony przyjmuje cios jak worek kartofli, jednak już po chwili prostuje się, przez chwilę niepewnie chwieje się na nogach i toczy dookoła takim wzrokiem, że wszyscy, włącznie z jego kolesiami, wstrzymują oddech.

– Nie wiesz, z kim zadzierasz – syczy. – Nie masz pojęcia, brudasie.

Ahmed, uginając kolana, staje w lekkim rozkroku. Słyszę dudnienie mojego serca i sapanie podekscytowanych mężczyzn, otaczających nas coraz ciaśniej. Kątem oka zauważam błysk w dłoni wielkiego rozjuszonego bydlaka, potem jak na zwolnionych obrotach widzę zamach ręką zataczającą szeroki łuk w stronę Ahmeda, który odskakuje, jednak nie dość daleko. Pada z charkotem na ziemię. Teraz już dokładnie widzę nóż w rękach oprawcy. Nikt nie wydaje najmniejszego dźwięku, wszyscy zamarli, jakby zatrzymani w kadrze.

– Aaaa!!! – Rzucam się na kolana i macham rękami, bo nie mam pojęcia, co robić. Krew strumieniami wypływa z szyi mojego ukochanego, oczy wychodzą mu z orbit, a brodę usiłuje jak najmocniej docisnąć do klatki piersiowej i oburącz zatamować krwawienie. Ściągam szal i kładę na jego ręce, tak jakbym nie chciała widzieć krwi przeciekającej mu między palcami.

– Ty łachudro! – Rzucam się na wielkiego chłopca, który jakby zaskoczony swoim czynem, stoi z rozdziawioną gębą i ociekającym krwią nożem. – Ty morderco! – drę się wniebogłosey i okładam go pięściami po opuchniętej od

alkoholu twarzy. – Pójdiesz siedzieć i nie wyjdiesz! Pomocy! – krzyczę, obracając się w kierunku czarnych okien. Gdzieniedzie widzę odchylającą się firankę, co daje mi nadzieję na ratunek.

– Sama się prosiłaś, suko! – Uderza mnie swoją wielką dłonią i łąduje niedaleko Ahmeda, który dogorywa, zwinięty w kłębek. Chwytam się za piekący policzek, a ból rozsadza mi głowę, którą uderzyłam o chodnik. Po chwili widzę nad sobą wielki cień, który zasłania słabe światło sączące się z odległej latarni.

– No i co, księżniczko? – dyszy mi prosto w twarz. – Za chwilę będziesz pierdoloną księżniczką. – Ze strachu nie jestem w stanie złapać tchu. –

Róbcie zapisy, który będzie następny – zwraca się do pozostałych.

– Dawaj, dawaj, bo nam wszystkim tu z tego mrozu poodpadają.

Chwyta mnie wielkimi łapskami i ciągnie w swoim kierunku. Wiję się jak piskorz, lecz jestem całkowicie bezbronna. Rozerwany płaszcz zwisa po obu stronach mojego szczupłego, trzęsącego się ciała. Przed napastnikiem chroni mnie jedynie cieniutka sukienka. Odpycham go rękami, biję i drapię po twarzy, wydając przy tym szaleńcze dźwięki.

– Taka z ciebie kocica. – Jeszcze bardziej podniecony chwyta za sukienkę i rozdziera ją wzdłuż rozcięcia aż do samej góry.

– Ty skurwysynu! – wpadam w szal, bo zniszczył najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek miałam.

Zwijam się w kłębek i kopię go gdzie popadnie ostrymi obcasami. Oczywiście nic to nie daje i napastnik, chwytając mnie za nogi, obraca na brzuch. Trzaskają rozrywane rajstopy i majtki i wiem, że za chwilę będzie po mnie. Twarz mam przygniecioną do lodowatej ziemi i skierowaną w kierunku Ahmeda. Patrzy na mnie półprzymkniętymi oczami, wygląda, jakby już nie żył. Teraz jest mi wszystko jedno, nie próbuję się nawet bronić. Nagle widzę, jak mój chłopak zagryza dolną wargę i ostatkiem sił stara się przesunąć w moją stronę.

– Ratunku! – drę się na całe gardło. Teraz nie ma mowy, żeby mnie nie usłyszano. – Pomocy, ludzie, mordują! Ratunku! – Może jeszcze nie wszystko stracone, może jeszcze uda się przeżyć.



Wielkie łapy oprawcy chwytają moją głowę i walą nią o betonowe płyty. Czuję smak krwi w ustach i nie rozumiem, czemu nie dociera do mnie ból.

– Stary, nie przeginaj, daj spokój. – Kumple łapią napalonego zbira za ramiona i ciągną za sobą. – Przemo, spadamy, nie pójdziemy siedzieć za jakąś byle kurwę i brudasa. – W panice przyspieszają kroku, bo całkiem niedaleko słychać policyjne syreny i karetkę.

– Ja tę szmatę jeszcze zaliczę! – głośno odgraża się bandzior.

– Dot – jak przez mgłę słyszę słaby szept Ahmeda. – Nie mów policji, że go znasz, że to twój kolega ze... – przerywa, spazmatycznie łapiąc oddech.

– Daj spokój. – Podczołguję się i delikatnie opieram twarz o jego zakrwawione ramię. – Teraz nie myśl o tym. – Strzępami płaszcza zasłaniam gołe nogi i pośladki. – Złapią zbója i nie wyjdzie z pierdla...

– Mówię nie! – charczy, ostatkiem sił próbując podnieść się na łokciu. – Dostanie dwa lata w zawieszeniu, posiedzi może pół roku i wyjdzie. Ani się obejrzy, jak znów będzie wolny. Rozumiesz!?

– Nie, nie rozumiem – przyznaję przerażona, układając go z powrotem na zamrzniętej ziemi. Tuż za naszymi plecami słychać podniesione głosy funkcjonariuszy.

– Nie szkodzi. Ja to chcę załatwić po swojemu – resztką sił kontynuuje Ahmed. – Nie mów...

Dwóch pielęgniarzy kładzie go na noszach, następnie, nie oglądając się za siebie, biegiem zacierają do karetki. Błyskawicznie zapala się kogut i pogotowie z wyciem odjeżdża. Zostaję sama.

– Co to było, kto to był?! – podniesionym głosem pyta gliniarz, nie dając nawet czasu, aby mnie opatrzone. – Czy poznała pani kogoś? – naciska.

– Nie... To jacyś obcy, nie od nas – kłamię jak z nut i padam zemdlna na ziemię.

Nie wiem, czy mija dzień, czy tydzień. Czuję tylko przeszywający ból głowy i nieznane mi wcześniej osłabienie, jakby uszło ze mnie całe powietrze. Wciąż wracają do mnie obrazy tamtej nocy. Gdy otwieram oczy, widzę zatroskaną twarz mamy, fragmenty szpitalnych sprzętów, białe kitle i znów wszystko zasnuwa mgła.

– Co z nim? – brzmią pierwsze słowa, które jestem w stanie wyartykułować.

– Dobrze, dobrze – uspokaja mnie mama. – Odpoczywaj, nabieraj sił. Nie zwracaj sobie teraz głowy głupotami.

Co ona mówi?! To najważniejsza sprawa w moim życiu, najukochańszy człowiek, a ona wszystko tak bagatelizuje. A może on nie żyje, a matka nieudolnie próbuje to przede mną ukryć? Wykorzystując moment, że na chwilę wychodzi, obolała zwlekam się ze szpitalnego łóżka i krok za krokiem, trzymając się ściany, przechodzę na oddział intensywnej terapii. Nikt mnie nie zatrzymuje, bo przecież widać, że jestem pacjentką. Trudno by było mnie teraz rozpoznać – głowa zabandażowana, opuchnięta twarz z czarnymi wybroczynami pod oczami i podrapanym, posiniaczonym nosem.

– Przepraszam panią – zwracam się do pielęgniarki w recepcji oddziału. – Nie wiem kiedy, ale przywieziono tutaj mojego chłopaka, Ahmeda Salimi, Araba... – Z trudem łapię powietrze, spodziewając się najgorszego.

– A... to ten z poderżniętym gardłem? – wesolutko pyta. – Gdzieżeście się włóczyli, że was takie zbiry dopadły?! – pyta zaciekawiona, bo to przecież sensacja na miarę naszej miejsciny, w końcu coś się dzieje.

– Wracaliśmy do domu – tłumaczę, ledwo trzymając się na nogach. – Innej drogi nie było. – Białymi palcami chwytam się brzegu kontuaru. – To co z nim? – Czuję, że już dłużej nie wytrzymam tej niepewności. – Chcę go tylko zobaczyć.

– Ciężko będzie – beztrasko odpowiada, patrząc na mnie rozbawiona. – Zaraz na drugi dzień przyjechał po niego kolega, ponoć doktor, i tyle go widzieli. Ordynator nie chciał wypisać, bo był w kiepskim stanie, ale co zrobić. Zaareztować się nie dało, bo ponoć niewinny, na własną odpowiedzialność wyszedł i papiery podpisał, tak że my mamy czyste ręce. Jak chce zdychać pod płótem, to już jego sprawa... Choć ten jego kumpel to ponoć w prywatnej klinice robi...

O czym ona mówi? Jedno jest pewne – to Ali wyciągnął swojego ziomka z opresji, może dzięki temu przeżyje. A myślałam, że po naszej wspólnej wizycie i gwałtownym jej zakończeniu już nigdy nie będą chcieli się spotkać. Męska solidarność.

– Taka fajna dziewczucha, żeby się z bambusem zadawała – słyszę za plecami słowa pielęgniarki. – Cóż to, mało super chłopaków chodzi po ulicach?! Ma, na co zasługuje.

W miarę możliwości przyspieszam kroku. Muszę się stąd wyrwać i zacząć działać. Dość już tego leżakowania.

Kontakt z Alim jest niemożliwy, nie znam numeru jego telefonu, a Wi-oletta tak mnie nie znosi, że nie ma zamiaru otworzyć drzwi ani udzielić mi żadnej informacji.

Cały długi tydzień telefon Ahmeda milczy. Nie daje znaku życia, a ja nie chcę się narzucać, bo może źle się czuje lub nie jest w stanie mówić. Po samotnym weekendzie nie wytrzymuję i dzwonię. Raz, drugi, trzeci. Nie podnosi słuchawki, nie chce ze mną rozmawiać. Zaczynam się mocno niepokoić. Mijają trzy tygodnie i nadal cisza. Czy on jeszcze żyje? A może wrócił do siebie, do kochającej rodziny? Co ze mną będzie? Na domiar złego od jakiegoś czasu dziwnie się czuję, a od dwóch miesięcy nie mam okresu. W styczniu myślałam, że go przeoczyłam, bo nigdy zbyt dokładnie tego nie kontrolowałam. Przez cały luty czekałam z biciem serca. Teraz, na początku marca, zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak i doskonale wiem co. Podczas tego pierwszego razu, w sylwestra, ani ja, ani Ahmed nie zabezpieczyliśmy się. Nie muszę nawet robić testów ciążowych – widzę zmiany zachodzące w moim organizmie. Wciąż nie mogę się skontaktować z moim ukochanym. W końcu, choć bardzo tego nie lubię, decyduję się nagrać na pocztę głosową.

– Ahmed, kochanie, czemu nie chcesz ze mną rozmawiać? Przecież wiesz, że to nie moja wina. Tęsknię za tobą, zadzwoń. – Pierwszy raz.

– Ahmed, skarbie, co jest grane? Niepokoję się, czy jeszcze żyjesz? Nic nie wiem, co się z tobą dzieje. – Drugi raz.

– Ahmed, już mnie nie kochasz? Dlaczego sprawiasz mi taką przykrość i zadajesz ból? – Trzeci raz.

– Dzióbku, kochany mój! Daj głos! – Kolejny raz.

– Ahmed, proszę cię, zadzwoń – żałośnie jęczę.

– Musimy się spotkać i na poważnie porozmawiać – mówię ostro, zdesperowana. – Proszę, nie unikaj mnie!

– Ahmed, musimy się zobaczyć – płaczę. – Mówiłeś, że jesteśmy sobie przeznaczeni i będziemy ze sobą na zawsze – przechodzę w szloch i kończy się czas na sekretarce.

– Co ci szkodzi spotkać się ze mną? Powiedz mi – nagrywam się po chwili. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia – mocno akcentuję ostatnie słowa.

– Dorota, ty jesteś jednak skończoną kretynką. – Mama niespodziewanie wparowuje do łazienki, kiedy z komórką w ręce siedzę w wannie.

Lustruje mnie od stóp do głów, szczególną uwagę zwracając na mój brzuch i piersi. Niestety, woda ledwie zakrywa dno i jestem goła jak święty turecki. Splatam ręce wzdłuż talii, lecz nic nie ukryje się przed wzrokiem zaniepokojonej matki.

– O co tym razem chodzi? – udaję głupią.

– Mogłabyś chociaż na chwilę przestać się zgrywać – mówi podenerwowana. – Jestem twoją matką i znam cię. Nie tylko charakter, ciało również.

– Więc?

– To, że nie rzygasz i nie mdlejesz, jeszcze o niczym nie świadczy! Jesteś w ciąży, do cholery, i może byś się w końcu do tego przyznała.

– Pfu – jedyna odpowiedź, na jaką mnie stać.

– To jest dość poważna sprawa! – Patrzy mi głęboko w oczy. – Wprawdzie krytykowałam mój nieudany związek z twoim ojcem i późniejszy rozwód, ale ja przynajmniej miałam męża. Wierz mi, dużo lepiej być rozwódką niż panną z dzieckiem, zwłaszcza w takim miasteczku jak nasze.

– Tak? – pytam bezczelnie.

– Wprawdzie ślub z Arabem to wstyd, ale trudno – niezmordowanie kontynuuje. – Zawsze będzie ktoś, kto zapłaci alimenty, a oni ponoć mają hola na punkcie dzieci.

– No i? – Oczekuję na dalsze dyrektywy.

– No i niech się teraz z tobą ten obrzezany chuj ożeni! – wykrzykuje, zupełnie już się nie kontrolując. – A w ogóle to on jeszcze żyje? Co się z nim dzieje? A może już cię zostawił? – zasypuje mnie pytaniami.

Zaczynam się szaleńczo śmiać, lecz po chwili śmiech przechodzi w szloch. Płaczę tak, że słyszą to zapewne sąsiedzi w bloku obok. Z ust ścieka mi ślina,

kapie z nosa. Walę głową o brzeg żeliwnej wanny i nie czuję bólu. Ten w moim sercu jest o wiele silniejszy.

– Córeczko kochana. – Serce matki kraje się na ten widok. Podkłada rękę pod moje potłuczone czoło i obejmuje mnie delikatnie za ramiona. – Dziecko moje – szepcze i łzy napływają jej do oczu.

– Mamusiuuuu! – ryczę jak zarzynane zwierzę, nie mogąc niczego innego z siebie wykrztusić. To zresztą wcale niepotrzebne, wszystko już jest jasne.

– A niech go szlag trafi, parszywca jednego! – wykrzykuje po chwili. – Taki piękny kwiatusek mi zerwał, wyhodowany, wychuchany, wypieszczony... – Kładzie brodę na mojej głowie i zamyśla się. – Nie przejmuj się kochanie, wszystko będzie dobrze – mówi po chwili bardzo poważnie. – Nie takie rzeczy się przerabiało, bywały gorsze. – Nie wiem, co ma na myśli, lecz dla mnie nie ma nic straszniejszego od obecnej sytuacji.

– Co zrobimy, mamó? – Patrzę jej w oczy z ufnością.

– Skrobanka odpada? – zadaje głupie pytanie.

Kręcę przecząco głową. Jestem temu przeciwna nie tyle ze względów religijnych, ile etyczno-egoistycznych. Czyż można kogokolwiek zabić, nie mówiąc już o części siebie i człowieka, którego się kochało? Jeśli jego już nie ma, to niech przynajmniej zostanie przy mnie jego maleńka cząsteczka.

– Damy radę, kotku, damy radę. – Wzdycha smutno i delikatnie całuje mnie w policzek.

W tej chwili dzwoni komórka. Sięgam po nią trzęsącymi się rękami i ze zdenerwowania nie mogę przycisnąć odpowiedniego klawisza. Na kolorowym wyświetlaczu widzę zdjęcie Ahmeda.

– To on – szepczę w panice do matki.

– To odbieraj, dziewucho, odbieraj, na litość boską!

– Tak, słucham – mówię cicho.

– To ja, chyba wiesz kto – słyszę jego poważny, słaby głos.

– Mhm – odpowiadam obrażona. Mama pokazuje zabawne gesty, które mają oznaczać, abym go udusiła albo chwytiała na męża, i dyskretnie wychodzi z łazienki.

– Dzwonię, jak prosiłaś – mówi oziębłe zachrypniętym głosem. Nie podoba mi się jego ton, ale nie jestem w dobrej sytuacji, aby pokazywać pazurki.

– Wcześniej nie musiałam prosić – stwierdzam smutno. – Co się zmieniło? To w twoim stylu tak odchodzić bez słowa? Czy myślisz, że ja się nie niepokoiłam, nie modliłam, nie bałam o ciebie? Nawet nie wiedziałam, czy jeszcze żyjesz! – wyrzucam z siebie cały żal.

– Tak będzie lepiej – oznajmia chłodno. – Dla ciebie oczywiście.

– Nie rozumiem, dlaczego? Mógłbyś mi wyjaśnić?

– Nie chcę cię więcej narażać. Gdyby nie ja, nigdy by do tego nie doszło.

– Daj spokój! – oburzam się. – To banda prymitywów, oszołomów i rasistów. Takich pełno na całym świecie. Znaleźliśmy się tylko w złym miejscu i o złej porze, każdemu może się zdarzyć.

– Przeżyłaś już coś takiego?

– Oczywiście że nie! Ale zdarzyło mi się mnóstwo nieprzyjemnych i głupich historii, choć muszę przyznać, że nie tak śmiertelnie niebezpiecznych. Ci ludzie nie są warci, żeby o nich rozmawiać, a co dopiero, żeby się nimi przejmować. Już powinni siedzieć, lecz nie rozumiem, czemu ty...

– Nie chcę, żebyś przeze mnie miała kłopoty – przerywa mi w pół słowa. – Nie chcę, żebyś zmieniała szkołę i żeby przyłgnęła do ciebie opinia arabskiej kurwy.

– Mnie to zwisa! – podnoszę głos, bo zaczyna mnie denerwować. – Mam to gdzieś, co o mnie mówią, a do zmiany szkoły nie mogą mnie zmusić. Maturę zrobię, bez obaw.

– Plotki w małym miasteczku mogą poważnie uprzykrzyć życie. Będą cię wytykać palcami, szydzić. Nie chcę, żebyś stała się człowiekiem drugiej kategorii, do jakiej ja się, niestety, według niektórych, zaliczam. Możesz być najuczciwsza pod słońcem, ale ze względu na kolor skóry, miejsce urodzenia czy koligacje od razu zostajesz skreślona.

– Mam to gdzieś – mówię zdecydowanym tonem. – Przedtem nazywali mnie księżniczką i wyśmiewali, a teraz dali mi nową ksywkę. I co z tego? Nic.

– Jaką?

– Narzeczona brudasa. W sumie nie tak tragiczne – śmieję się niepewnie.

– Rzeczywiście mogło być gorzej. Ale mnie, Dociu, ostatni wypadek przeraził nie na żarty. Wiem, że zawsze można wdepnąć w gówno, ale człowiek myślący unika takich sytuacji. Przede wszystkim boję się o ciebie.

– To świetnie, bo takiego cię kocham – mówię, oddychając z ulgą, ponieważ dawny Ahmed powrócił i Bogu niech będą dzięki. – Spotkamy się w końcu czy nie? – kuję żelazo, póki gorące. – Przy tobie nic nie jest straszne i niczego się nie boję. Wchodzę w to – znów żartuję, aby nie sprowadzić rozmowy na zbyt poważne tory.

– A co takiego ciekawego masz mi do powiedzenia? – pyta.

– Nawet nie licz, że załatwisz sprawę przez telefon – obrażam się. – Nie masz ochoty mnie zobaczyć?

– Oczywiście że tak, ale jak na razie mam dość twojej miłośnicy.

– Trudno ci się dziwić. Ja też nigdzie nie wychodzę po zmroku, a przez moje osiedle nawet o dwunastej w południe przebiegam z duszą na ramieniu.

– Sama widzisz – słyszę gniew w jego głosie. – Przyjedź do mnie w ten weekend.

– W porządku, Poznań to piękne miasto – szybko się zgadzam, aby nie zmienił zdania. – Będę w piątek po południu. Jeszcze się zdzwonimy, tylko z łaski swojej odbieraj telefony – dogryzam mu na koniec.

Wychodzę z łazienki owinięta tylko w ręcznik i z piskiem radości rzucam się мамie na szyję.

– Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze. – Mocno mnie tuli.

– Myślisz?

– Ja to wiem, głuptasku. – Czule gładzi mnie po policzku. – Kto by zostawił taką piękną księżniczkę? Jeszcze mu będziesz grała na nosie!

– Już nic nie chcę, niech tylko ze mną będzie – wzdycham, kładąc jej głowę na ramieniu.

– Wiesz, co w lokalnych wiadomościach mówili? – nieoczekiwanie mama zmienia temat. – W naszym małym jeziorcu pod miastem znaleźli zmasakrowane zwłoki jakiegoś młodocianego zbira. – Wstrzymuję oddech. – Miał poderżnięte gardło od ucha do ucha. Co też się na tym świecie wyprawia?

Wyczekująco patrzę na matkę.

– A może to jeden z tych, co was zaatakowali? Czekaj, podawali jak się nazywał... Przemysław jakiś tam.

– Ja już chcę o tym zapomnieć, to na pewno porachunki band – mówię, lecz w pamięci odżywa mi imię Przemo.

– Tak, tak, masz rację, po co to rozgrzebywać. Zostawmy to boskiej sprawiedliwości.

Czuję dreszcz przebiegający mi po plecach. Może to i sprawiedliwość, ale daleka od boskiej.



## Wesele po polsku

W piątek zrywam się z dwóch ostatnich lekcji, bo nie mogę się doczekać spotkania. Boję się reakcji Ahmeda na wiadomość o ciąży i jak najszybciej chcę to mieć za sobą.

– Jesteś w domu? – dzwonię z dworca.

– A ty już jedziesz? – pyta zaskoczony.

– Nie, już jestem na miejscu.

– Ale ja kończę o piątej. Czemu nie zadzwoniłaś, że będziesz tak wcześniej? – tłumaczy się zakłopotany.

– To nic. Pojadę na uczelnię, znajdę jakąś miłą kafejkę i zaczekam tam na ciebie. Zadzwonię i powiem, gdzie jestem, okej?

– Świetnie, może uda mi się wcześniej wyrwać. Stęskniłem się – szepcze na koniec namiętym głosem.

– Ja też.

Jakie fajne jest studenckie życie. Kiedy siedzę przy kawie wśród młodych rożgadanych ludzi, robi mi się przykro, bo zdaję sobie sprawę, że zaprzepącałam swoją szansę na dalszą edukację i osiągnięcie czegoś w życiu. Teraz powinnam się modlić, aby zdać maturę. Ale wszystko sobie skomplikowałam! Obejmuję głowę rękami i poddam się niewesołym rozmyśleniom.

– Co taka zadumana? – Ahmed pojawia się znienacka, obejmuje mnie i całuje we włosy.

– A, takie życie... – wzdycham smutno.

Uważnie patrzę na jego zmizerowaną twarz i usiłuję coś z niej wyczytać. Niby to samo spojrzenie, ta sama mimika, lecz wyczuwam jakąś obcość, niewidoczny mur. I ten szal na szyi, nieudolnie zasłaniający rozległą świeżą bliznę.

– Ej, co z tobą? – niepokoi się. – Chwilę cię nie widziałem, a już się zmieniłaś. – Pochyla się nade mną i patrzy głęboko w oczy z uwagą i napięciem.

– Ładna mi chwila – mówię rozzalona. – Miesiąc to kawał czasu.

– Dobrze, że znów jesteśmy razem. – Bierze mnie za rękę. – Chodźmy do domu. Wspólnie przygotowujemy uroczystą kolację. Co ty na to?

– Nawet lepiej, że najpierw spotkaliśmy się tutaj – stwierdzam chłodno, odsuwając się od niego. – Musimy poważnie porozmawiać.

– Jak chcesz. O co chodzi? – pyta urażonym tonem.

– W zasadzie nie wiem, jaki jest twój stosunek do mnie i czy masz jakieś plany na przyszłość związane z moją osobą – zaczynam.

– No to mamy gadkę na serio – usiłuje żartować.

– Nie kpij sobie ze mnie! – Nie wytrzymuję napięcia i łzy zbierają mi się w kącikach oczu.

– Docia, co się dzieje? Nie owijaj w bawełnę, tylko powiedz, co ci leży na sercu. Wiesz, co do ciebie czuję, bo nie raz ci to powtarzałem i nic się nie zmieniło.

– Tak?! Nic się nie stało, tylko że ty kopnęłaś mnie w tyłek i musiałam cię błagać o przynajmniej jedno spotkanie – pochlipuję cicho. Głupio mi się robi, bo młodzi ludzie zaczynają zwracać na nas uwagę.

– Wiesz, jaka była tego przyczyna – szepcze rozzłoszczony. – Chciałem cię chronić, myślałem o tobie, a nie o moim złamanym sercu.

– Ale mnie zraniłeś. Co za kretyńska postawa! – wybucham. – Dla twojego dobra obcinam ci głowę, robię dziurę w brzuchu, wyrrywam serce. Ale to wszystko z myślą o tobie – parodiuję jego słowa.

– Nie drzyj się, bo wszyscy na nas patrzą. Musisz robić scenę?! – denerwuje się. – Jeśli to ma być taka rozmowa, to ja nie chcę brać w niej udziału.

– Tak, teraz najlepiej wycofać się rakiem. Wykorzystać niewinną dziewczynę, a potem porzucić. – Serce łomocze mi ze strachu, że on za chwilę wstanie, wyjdzie i tyle go będą widziała.

– Słucham? – Ahmed mówi oficjalnym tonem, powoli zbierając się do odejścia.

– Jestem w ciąży – wypalam. – I nie usunę jej. – Chowam twarz w dłoniach. – A teraz możesz już iść.

Przy sąsiednich stolikach zapada cisza. Więc jednak podsłuchiwali. Ahmed ciężko opada na krzesło i patrzy na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

– Przecież się tego spodziewałem – dobrotliwie stwierdza. – Jestem na to przygotowany, lecz nie byłem pewien, czy ty również.

– I dlatego mnie zostawiłeś? – Nic z tego nie rozumiem.

– Dałem ci możliwość wyboru. Po ostatnim, dramatycznym zajściu to ty mogłaś chcieć się wycofać krabem.

– Rakiem – poprawiam go i słyszę śmieszki za swoimi plecami.

– Obojętnie. Nie dałaś mi szansy na uroczyste oświadczenia, więc teraz – podnosi głos na całą kawiarnię – biorę studencką brać na świadków, że chciałem się z tobą ożenić od pierwszego wejrzenia.

Cały lokal, włącznie ze mną, wybucha śmiechem.

– Na szczęście! – drą się młodzi ludzie, wznosząc w górę kieliszki z tanim winem. – Stary, tak trzymać! Pij, chłopie, piwko, które nawarzyłeś – słyszę jakiś męski głos.

– Z miłą chęcią, nie mam ochoty się od tego wymigać. – Ahmed z wypiekami na twarzy odwraca się w ich kierunku.

Trzymając się za ręce, wybiegamy na deszcz.

– Widzisz – mówię – nie wszyscy są negatywnie nastawieni do Arabów.

– Spróbowałbym się wykręcać albo powiedzieć ci coś nieprzyjemnego! Już widzę ich reakcję!

– To dlatego...

– Tak! Dlatego że cię kocham i żyć bez ciebie nie mogę. – Bierze mnie w ramiona i na środku ulicy całuje aż do utraty tchu.

Jeszcze tego samego wieczoru jedziemy do mojego domu. Ahmeda nie widać zza bukietu szkarłatnych róż, lecz mama i tak wie, kto tam się znajduje.

– Docia, mogłaś uprzedzić! – wykrzykuje z piskiem, wbiegając w samej halce do łazienki. – Przygotowałam się – mówi zza drzwi.

– Nie trzeba było, wszystko jest w porządku – zapewnia Ahmed.

– Właśnie porządku nie ma, bo dopiero jutro mamy sprzątanie – tłumaczy się już ubrana mama, odbierając kwiaty przeznaczone dla niej. Widzę zadowolenie i rozbawienie w jej oczach. – Pan tutaj siada i włączy sobie telewizję, a my z Docią przygotowujemy coś do jedzenia.

Wychodzimy do kuchni, trzymając się pod ręce. Jak nieszczęście potrafi zbliżyć ludzi! Myślałam, że już tak bardzo oddaliłyśmy się od siebie, że nie ma możliwości na naprawę naszych stosunków. Wiem, że mama chciałaby mieć mnie na wyłączność, ale teraz w końcu zaczęła myśleć o mojej przyszłości i szczęściu. Jestem jej za to niezmiernie wdzięczna i uszczęśliwiona całuję ją w policzek.

– Zadowolona? – pyta, ledwo przekraczamy próg kuchni. – No i co, i co?  
– Jak widzisz – odpowiadam ze śmiechem. – Ponoć od dawna już myślałam, żeby się oświadczyć, tylko ten incydent trochę ostudził jego zamiary. Wiesz, omalże nie wykrwawił się na śmierć, cud, że przeżył.

– Niepotrzebnie się tak z nim afiszowałaś, niepotrzebnie zabrałaś go do szkoły. – Matka kiwa głową na boki. – Wiesz, tutaj ludzie nie są tacy nowoczesni.

– Teraz już wiem.

Nie będę przypominała jej własnej reakcji, bo nic mi to nie da. Teraz musimy trzymać się razem, a nie żreć między sobą.

– Czym chata bogata. – Matka zaprasza do stołu. – Tak jak już wspomniłam, zupełnie jestem nieprzygotowana na przyjęcie gości.

– Ale ja już nie jestem gościem. – Ahmed uśmiecha się od ucha do ucha. – Jestem swój.

Wyciąga piękne etui, wstaje i wykonuje lekki ukłon w moim kierunku.

– Dorota, jak już ci mówiłem, planowałem oświadczyć się wcześniej, ale pewne... hmm... głupie zajścia namieszały mi w głowie i... pomieszały szyki – z wypiekami na twarzy płacze się i wymachuje rękami. – Jeśli pomimo wszystko chcesz być moją żoną, to będę zaszczycony i bardzo szczęśliwy.

Otwiera pudełko i wyjmuje piękny błyszczący pierścionek.

– Mam nadzieję, że pani pozwoli – zwraca się do matki.

– A jakże – odpowiada, ledwo chwytnąjąc powietrze.

Ma łzy w oczach. Oddaje swoją księżniczkę obcemu mężczyźnie, cudzoziemcowi i zapewne tysiące tragicznych scenariuszy krąży jej po głowie. Mnie w tym momencie nic nie może zepsuć humoru, jestem najszcześniejszą kobietą pod słońcem. Wieczór przebiega w rodzinnej i pogodnej atmosferze, nie wdajemy się w skomplikowane szczegóły, odkładając dokładne planowanie na później. Przecież sam ślub także nie może się odbyć natychmiast. Choć powinien. Musimy przesunąć go na termin zaraz po maturze, abym w ogóle została do niej dopuszczona. Dwa miesiące wytrzymamy, a i Ahmed będzie miał dość czasu na ściągnięcie wszystkich niezbędnych papierów. Nie mamy pojęcia, co będzie potrzebne, ale obawiamy się, że czeka nas sporo papierkowej roboty.

Po raz pierwszy Ahmed oficjalnie zostaje u nas na noc. Ma spać na podłodze w moim maleńkim pokoiku, ale kto da temu wiarę. Jest cudnie.

– Ty się teraz tym w ogóle nie interesuj. – Mama i Ahmed zgodnie mnie przekonują. – Masz przed sobą najważniejszy egzamin w życiu i postaraj się go jakoś zdać. Na poprawkę nie będzie czasu.

Jak mam się uczyć, kiedy już niedługo ma się spełnić mój sen? Ślub! Wesele! Jak mam się nie angażować w ich organizację? Przecież to moje święto, mój najszcześniejszy dzień w życiu.

– Nad czym tak debatujecie? – Wieczorem już nie wytrzymuję i po całym dniu kucia wchodzę do saloniku.

– Nauczona? – sprawdza Ahmed.

– Może chcesz mnie odpytać? – Uśmiecham się złośliwie.

– W porządku, w niedzielę od rana powtarzamy materiał. Już niewiele czasu ci zostało.

– Tak, a brzuch coraz większy. Zaczynają dziwnie na mnie patrzeć, nie pomogą szerokie ciuchy. Mam wrażenie, że wszyscy już wiedzą – wyrażam swoje obawy.

– Jeśli nawet, to nie ma takiego paragrafu w kodeksie ucznia, że dziewczyna w ciąży nie może podchodzić do matury. Wszystko sprawdziłam – uspokaja mnie mama.

– Będzie dobrze – przyłącza się Ahmed, sadzając mnie sobie na kolanach.

– Gorzej jest z dokumentami, które muszę ściągnąć. Te wasze urzędy powariowały. Od wszystkich innych cudzoziemców żądają jedynie aktu urodzenia i oświadczenia, że nie jest się już w związku małżeńskim, a ludzi z moich regionów sprawdza się włącznie z rozmiarem butów, kapelusza i pensja – wszyscy wybuchamy śmiechem.

– Myślisz, że nie zdążysz tego wszystkiego załatwić? – znów się denerwuję i czuję w gardle dławiącą gulę. Jak łatwo teraz można wyprowadzić mnie z równowagi. – Może twoja ambasada coś by pomogła?

– Nie żartuj! Oni są tutaj od pasienia brzuchów na polskim tłustym żarciu, zarabiania nieziemskiej kasy i chłania wody na dyplomatycznych przyjęciach – stwierdza z niesmakiem. – Czy wiesz, że mówi się, iż nasz ambasador jest alkoholikiem?! – Ahmed jest oburzony. – Jesteśmy muzułmanami i nie powinniśmy pić alkoholu... przynajmniej nie mocnego i nie codziennie. U nas w kraju panuje prohibicja!

– Dlatego tak używają sobie na obczyźnie – wtrąca się mama.

– Racja, najbardziej smakuje zakazany owoc. – Ahmed wzdycha.

– To co będzie, co będzie?! – wpadam w panikę.

– Tylko spokój może nas uratować. – Ahmed mocno mnie przytrzymuje. – Mamy jeszcze całutki miesiąc i...

– To co, musisz tam pojechać i sam łązić po urzędach i wyciągać dokumenty? – Boję się, że jak wyjedzie, to może już nie wrócić. – Nigdzie cię teraz nie puszczę! – krzyczę płacząco.

– A od czego ma się rodzinę, hę? – Głaszcze mnie po głowie i chytrze się uśmiecha.

– Mało mi o nich opowiadasz – mówię, z zaskoczeniem odkrywając ten fakt. – W zasadzie nic nie wiem o twojej mamie, tacie, rodzeństwie...

– Są wspaniali, lecz zupełnie różni od ludzi w waszym kraju. – Ahmed zamyśla się. – Są bardziej żywiołowi, otwarci i życzliwi. Tam nie musisz prosić o pomoc, dla nas, Arabów, to zaszczyt móc przysłużyć się drugiej osobie. Robimy to w imię Allaha.

– A u nas tylko podkładanie nogi i zawiść – smutno stwierdza mama.

– Może nie zawsze, ale przeważnie – podsumowuje Ahmed. – To smutne, ale na pocieszenie powiem wam, że tak jest we wszystkich skomercjalizowanych krajach na świecie. W gonitwie za karierą, forszą i pozycją ludzie zapomnieli o starych dobrych zwyczajach.

– Ciekawa jestem tej twojej ojczyzny, mlekiem i miodem płynącej – mówię.

– Przecież tam pojedziemy, bez obaw.

– Nie tak szybko, najpierw musimy przebrnąć przez formalności ślubne, a jak widzisz, nie jest to takie proste, jak by się mogło wydawać – hamują jego zapędy, bo oprócz ciekawości odczuwam strach przed arabskimi krajami.

Tyle się słyszy...

– Moja siostra Malika pracuje w ministerstwie, i to nie jako sprzątaczką. – Ahmed jest w świetnym humorze.

– Ooo – wyrażamy z mamą miłe zaskoczenie.

– Już z nią rozmawiałem. W ciągu tygodnia będę miał wszystkie niezbędne dokumenty. Możemy rezerwować termin ślubu i kupować suknię.

Krzyczymy jak dzieci i klaszczemy w ręce.

– To czemu nas tak straszysz?! – Rzucam się na niego i przygniatam zaokrąglonym brzuszkiem.

– To ja idę do kuchni pomyśleć o kolacji. – Mama dyplomatycznie się wycofuje, lecz słyszę rozbawienie i zadowolenie w jej głosie.

Dotykam ust Ahmeda językiem i namiętnie przygryzam jego pełne wargi. Nie wiem czemu, ale teraz zamiast myśleć o macierzyństwie, stałam się niewyobrażalnie perwersyjna i ciągle myślę tylko o seksie. Biedny Ahmed na początku wciąż tylko powtarzał, że zaszkodzimy dzidziusiowi, aż w końcu zabrałam go ze sobą do ginekologa.

– Miłość, w tym również cielesna, jest najlepszym lekarstwem na stres i jeśli tylko nie ma przeciwwskazań, a tutaj takich nie widzę, kochajcie się tak często, jak tylko możecie. – Lekarz wydał diagnozę, do której stosujemy się od tego czasu z obopólnym zapalem.

– Nie możemy kupować ani szyć sukni ślubnej w naszym miasteczku – wydaje werdykt mama. – Będiesz musiała się rozebrać i wtedy niczego już

nie ukryjesz. Zaraz wezmą cię na języki, informacja dotrze do szkoły i nie wiadomo, co tam wymyślą, żeby uprzykrzyć ci życie.

– To co zrobimy? – Odrywam się od podręczników.

– Trzeba pojechać do Poznania i tam coś wybrać. Moglibyśmy też kupić gotowe zaproszenia.

– Świetny pomysł – przyznaję. – Kiedy?

– W najbliższy weekend.

– Zadzwońię do Ahmeda i uzgodnię to z nim. – Obracam się z powrotem w stronę biurka.

– Niech jeszcze przygotuje listę swoich gości, to ja za jednym zamachem wypiszę wszystko.

– Dzięki, mamo, jesteś cudowna, ale o weselu ja na razie w ogóle nie chcę myśleć. Zresztą kogo tu zaprosić?

– Znajdzie się co najmniej ze dwadzieścia osób. – Widzę, że jest szczęśliwa i podekscytowana. – Twojego ojca należałoby zawiadomić.

– Jak uważasz, on dla mnie nie istnieje.

– Jednak formalności musi stać się zadość. Byleby nie przyjechał z tą swoją młodocianą lafiryndą – wzdycha smutno. – Ale chyba nie będzie tak beczelny, choć w zasadzie wszystkiego można się po nim spodziewać..

Sobota to idealny dzień na zakupy. Widocznie wszyscy tak uważają, bo na miasto wyległy tłumy. Potrzebuję trochę odpoczynku i przerwy w nauce. Nie jestem już w stanie przyswoić nawet najprostszej regułki, nie mówiąc o rozwiązaniu najbanalniejszego matematycznego zadania. Dobrze, że Ahmed to umysł ścisły i mi pomaga.

– Słuchajcie – mówi na wstępie – przeprowadziłem wywiad u moich koleżanek na uczelni, pogrzebałem w lokalnych gazetach i znalazłem parę ciekawych punktów z modą ślubną. Powinno nam pójść jak z płotka, a potem, drogie panie, zapraszam do restauracji na obiad – przedstawia atrakcyjny plan na dzisiejszy dzień.

Salon, przed którym stajemy, jest wielki i ekskluzywny. Patrzę na mamę, na jej rozczłapane buty, sfilcowany sweterek i wytartą spódnicę. Wszystko, co ja mam na sobie, jest przykuse i za ciasne, jak z młodszej siostry. Zerkam



niepewnie na Ahmeda. On wygląda świetnie i widać, że ubiera się w eleganckich sklepach. Lekki wiosenny garnitur w delikatne prążki, wyprasowana koszula, dopasowany krawat i błyszczące skórzane buty. Razi trochę jedynie nieodłączny od pewnego czasu jedwabny szal na szyi.

– My chyba tam nie pasujemy. – W panice chwytam go pod ramię.

– Co ty mówisz! – oburza się i widzę, że tak łatwo nie da się stąd odciągnąć.

– Będzie drogo, strasznie drogo – kontynuuję na bezdechu.

– W końcu raz w życiu bierze się ślub. Czyż nie tak, mamó? – próbuje znaleźć wsparcie u mojej matki, lecz ona stoi zapatrzona w wystawione na witrynie kreacje.

– Że jak? Co?

– Moje miłe panie, wchodzimy. – Otwiera przed nami na oścież wielkie szklane drzwi.

W tym momencie klamka zapada. Wiem, że nie wyjdziemy stąd z pustymi rękami. Na początku sprzedawczynie traktują nas chłodno i lustrują nienawistnym wzrokiem. Zawracamy im tylko głowę, bo przecież biedota naszego pokroju nie może u nich nic kupić. Jedynie poogląda, podotyka i pomarzy. Taki stosunek do klienta zawsze wyprowadza mnie z równowagi. Zaczynam wybierać rzeczy, nie patrząc na cenę.

– Polecamy taki delikatny gorsecik. – Jedyna w tym sklepie miła młoda dziewczyna przynosi gumowe majtki z podniesionym pasem. – Będiesz się czuła bardziej komfortowo ze spłaszczonym brzuchem. Przez pół godziny można wytrzymać.

– Hej, patrzcie! – impulsywnie krzyczę w stronę Ahmeda i mamy. – Jak znalazł na maturę!

Dopiero teraz gryzę się w język, ale jak zawsze za późno. Sprzedawczynie śmieją się w kułak, a mama zalewa bordowym rumieńcem.

– Oj Dociu, Dociu – jęczy zawstydzona.

Wszystko kupujemy w jednym miejscu. Począwszy od sukni i garnituru, a skończywszy na zaproszeniach i dekoracjach na stół. Po dwóch godzinach wytaczamy się, objuczeni paczkami. Wrzucamy je do samochodu Ahmeda i w świetnych humorach ruszamy w miasto. Mój narzeczony jest naprawdę

cudowny. Wie, że mamy nie stać na żadną elegancką kreację, więc zaciąga nas do butik i funduje jej szykowny kostium. Do tego oczywiście buty i torebkę.

– Nie trzeba było, Ahmed, naprawdę nie trzeba. – Mama czuje się niezręcznie, ale widzę, że jest zadowolona.

Jestem taka szczęśliwa...

– Hmeda, Hmeda! – słyszymy wołanie tuż za plecami.

Ahmed wzdraga się, lecz idzie dalej, nie zwalniając kroku.

– Hmeda, do cholery, kumpli nie poznajesz?! – Śniady elegancik zabiega nam w końcu drogę. – No co ty? Kupę czasu, gdzie się podziewałeś? –

Klepie Ahmeda po plecach i rzuca mu się w ramiona.

– *Ahlan, ahlan wa sahlan.*

– W końcu wymieniają grzeczności i zarzucają się pytaniami.

– A co to za piękna blondyna jest z tobą? – Nieznany mi osobnik zwraca się w końcu w moją stronę.

– To moja narzeczona – tłumaczy Ahmed, dziwnie wbijając wzrok w chodnik.

– *Tanija*, Hmeda, ty to masz fart! – Mężczyzna zaśmiewa się i klepie z uciechy po udach.

– Nie Tania, tylko Dorota – tłumaczę, mocno już zaniepokojona.

W tym momencie wybuchają niepohamowanym śmiechem, choć ja nie widzę w tej sytuacji nic zabawnego.

– To takie słówko po arabsku, nie imię dziewczyny – tłumaczy mi Ahmed.

– Poznaj Mahdiego, po przyjeździe do Polski trzymaliśmy się razem, dawne czasy...

– Nie takie dawne – prostuje tamten, jednocześnie całując mnie w dłoń.

– Ale co to znaczy? – pytam wcale nie uspokojona.

– A... co mianowicie? – Ahmed nie ma ochoty bawić się w tłumacza. – To zależy od połączenia z innym wyrazem... Wiesz, arabski jest dość skomplikowany.

– Musimy się spotkać i powspominać. – Mahdi klepie go po plecach. – A może teraz gdzieś wpadniemy?

– Sorry, mamy inne plany – wymiguje się Ahmed. – *Marra tanija* – mówi na koniec.

Milcząc, udajemy się do eleganckiej restauracji w centrum, ale dobry nastrój przysł i jakieś złe myśli zaczynają krążyć mi po głowie.

– Co znaczy po arabsku *marra* – pytam przy wyśmienitym drugim daniu, które jednakowoż staje mi w gardle.

– Ma wiele znaczeń, ale przeważnie tłumaczy się jako raz.

– To *marra tanija*? – indaguję, próbując uspić jego czujność.

– Aaa... Ty spryciuło, chcesz się uczyć – mówi zadowolony. – Następnym razem, *marra tanija* znaczy następnym razem.

– Więc *tanija* to następny lub następna? – Patrę na niego z pogardą, a on dopiero teraz się orientuje, o co tak naprawdę mi chodzi. Pięknie go podeszłam.

– Dociu... – Pokornie pochyla się w moją stronę.

Mama sznuruje usta i boleśnie kopie mnie pod stołem, co zapewne ma oznaczać: „Daj spokój, idiotko”!

– Cóż. – Macham ręką, zadowolona ze swojego dochodzenia. – Przecież nie będziemy żyć przeszłością, było – minęło, nieprawdaż?

– Proszę mamę. – Ahmed jest bardzo poważny i stanowczy. – Do tego nie dam się namówić, nie ma mowy.

– Ależ... – nie rezygnuje mama.

– To nie podlega dyskusji. W tej kwestii proszę nie liczyć na żadne ustępstwa.

– Parę flaszeczek to nie grzech!

– Mamo – interweniuję, bo widzę, że nie dojdą do porozumienia. – To nasze wesele i bardzo cię proszę, zrezygnuj z tego pomysłu. Ahmed sobie tego nie życzy, ja go w pełni popieram i tak będzie.

– Toż to polskie wesele! – wykrzykuje matka. – Wstyd przed ludźmi! To taka tradycja, a ty przecież mówiłeś, że u was tradycja to świętość – łapie się ostatniej deski ratunku, uderzając w jego czuły punkt.

– Droga pani mammo. – Ahmed unosi brwi, nie mogąc się nadziwić jej sprytowi. – Jeśli u was panuje zwyczaj zalewania się na weselach w trupa, to ja, z łaski swojej, pozwolisz, nie będę tego akceptował.

– Ale...

– Kupię dobre białe i czerwone wino, będzie szampan, ale żadnej wódki.

Upieram się przy tym i nie odpuszczę.

Matka wychodzi do kuchni i tłucze garnkami. Chce zmanifestować swoje niezadowolenie, ale przede wszystkim chyba rozładować wściekłość. Coś nie zostało zrobione po jej myśli, z czymś się nie zgadzamy, a to już dla niej jest nie do pomyślenia. Wiem, że nie należy dać się zwieść jej pobłażliwości, łagodności i wspaniałomyślności okazywanym w ostatnim czasie. Znam dobrze jej charakter. Zawsze musi postawić na swoim, nie wolno z nią dyskutować, należy wykonywać. Należało mnie wydać za mąż, już obojętnie za kogo, i dlatego matka schowała pazurki i perfekcyjnie do tego doprowadziła. Teraz jeszcze tylko musi przelknąć nasze fanaberie, naszą samowolę, ale jak kłamka zapadnie, to... aż się boję.

Przed ceremonią ślubną denerwuję się bardziej niż przed egzaminem maturalnym. Ten przeszedł gładko i bezstresowo, bo nie zależało mi na ocenach. Nie wybieram się na wyższą uczelnię czy do policealnego studium i należało jedynie go zdać, co mi się zresztą udało. Chciałam mieć to z głowy, a ślub i wesele pragnę na długo zachować w pamięci. Muszą być perfekcyjne.

Mamy piękną słoneczną pogodę – lato w tym roku przyszło w maju. Rano temperatura wynosi ponad dwadzieścia pięć stopni i rośnie. Niebo jest czyste i błękitne i nie ma szans na najmniejszy nawet podmuch wiatru. Od rana w dniu uroczystości mama chodzi nadęta i niezadowolona. Sądzi, że Ahmed w końcu zmięknie, ale on całkowicie lekceważy jej zachowanie. Zajmuje się mną i naszymi przyjaciółmi, którzy wcześniej przychodzą do mieszkania mamy, aby pomóc nam w ostatnich przygotowaniach. Nie wiem jakim cudem, ale uzbierało się ponad dwadzieścia zaproszonych osób, więc będzie to największe przyjęcie, jakie do tej pory z mamą wydawałyśmy. Nagle słyszymy dzwonek do drzwi. Patrzymy po sobie, bo nikogo więcej się nie spodziewamy. Małe lokum już pęka w szwach i ledwo można się minąć, przechodząc z salonu do mojego pokoju czy kuchni lub łazienki.

– Nie przeszkadzam? – słyhać głos zza uchylonych przez Ahmeda drzwi.

Wysoki mężczyzna w średnim wieku, w ciemnym garniturze z białym goździkiem w klapie przestępuje niepewnie z nogi na nogę.

– Pan do kogo? – pyta zdziwiony Ahmed, rozglądając się dookoła, lecz nikt nie ma zamiaru go oświecić, bo wszyscy są zajęci.

– Do Doroty – nieśmiało mówi przybysz.

– Narzeczony? – żartuje, bo dziwnie niepokoi go ta sytuacja.

– Myślę, że to ty jesteś jej wybrankiem, ja zaś tylko ojcem – smutno się uśmiecha.

– Przepraszam, proszę wejść. – Ahmed gestem zaprasza do środka. – Tak właśnie mi się wydawało, że skądś pana znam, tylko nie mogłem się zorientować skąd. Jest do pana podobna.

– Nie wiem. Dawno się nie widzieliśmy.

– Co ty tutaj robisz? – Wściekle patrzę na człowieka, który zostawił moją mamę, a mnie porzucił jak biedne małe szczenię.

– Dociu! – Ahmed szepcze z naganą w głosie.

– Akurat dzisiaj cię tutaj przyniosło, żeby zepsuć najważniejszy dzień w moim życiu?! Nie dość ci było?! – Stoję w białej tiulowej sukni i drę się jak kwaciarka na straganie.

– Ja go zaprosiłam. – Matka przepycha się i staje między nami. – Mówiłaś, że się zgadzasz.

– Wspominałaś o poinformowaniu, a to różnica. Dobrze już... – Macham na to ręką, bo patrzy na mnie z wyrzutem. – Nie pamiętam, może się uczyłam albo myślałam o czymś innym – pokornieję.

– Lepiej zwracaj uwagę na to, co mówisz – docina mi. – Wejdz – ciepłym tonem zwraca się do mojego ojca. – Uznałam za stosowne, abyś przyjechał na jej ślub.

– Dziękuję, bardzo ci dziękuję, ale może ja poczekam pod urzędem, bo zdaje się, że macie komplet. – Wycofuje się spłoszony i prawie ucieka.

– No i dobrze – mówię, obracając się na pięcie.

– Ładne maniery ma ta twoja panna młoda – matka z pretensją zwraca się do Bogu ducha winnego Ahmeda, chwyta torebkę i wybiega za byłym

mężem. Ależ ona jest skończoną idiotką! Gdyby tylko kiwnął palcem, rzuciłaby mu się w ramiona. Co za brak godności! Jestem oburzona i zła.

Pod ratusz podjeżdżamy białym mercedesem przyozdobionym balonikami i kokardami. W urzędzie stanu cywilnego ruch jak na Marszałkowskiej. Stoi kolejka podenerwowanych młodych par. Goście gubią się i mieszają wzajemnie. Słychać krzyki i nawoływania, tupot szpilek na marmurowej posadzce i płacz dzieci.

– Mamy małe opóźnionko. – Z sali wychyla się głowa odźwiernego. – Wszyscy dzisiaj chcą się żenić! – chichocze, lecz nikomu z oczekujących nie robi się weselej.

Patrzemy sobie z Ahmedem głęboko w oczy i nic nie mówimy. Mocno trzymamy się za ręce. Widzę żyłę pulsującą na jego spoconym czole, a szrama na szyi zabarwia się na głęboko fioletowy kolor i odcina od bieli kołnierzyka. Dzisiaj już nie pasował jedwabny szal, żeby ją ukryć, a zresztą przed kim i czegoż tu się wstydzić. Ja ledwo oddycham w ściskającym gumowym pasie, który miałam założyć na jedyne pół godzinki. Spoglądam na pozostałe panny młode. Wszystkie są mokre od potu, mocny makijaż zaczyna im spływać po twarzy. Uśmiechamy się do siebie na pocieszenie. Jedna biedaczka ma brzuch tak potężny, jakby prosto z urzędu miała jechać na porodówkę. Tej to już nawet supergorset nie pomoże!

– Jak się czujesz? – Ahmed zamiast się wściekać, martwi się o moje zdrowie.

– Przeżyję – mówię smutno, bo oczekiwałam zupełnie czego innego. Często tak się dzieje, że gdy śnimy i marzymy o czymś, idealizujemy zupełnie banalne wydarzenie. Tutaj i teraz widzę przyziemność całej ceremonii. Chcę, żeby już było po wszystkim, pragnę założyć obrączkę, nazywać się Salimi i zamknąć się w naszym cudnym wynajętym mieszkanku.

– Uha! – słyszymy wesołe okrzyki, kiedy umordowani i spoceni z ponadwugodzinnym opóźnieniem wchodzimy do wynajętej sali weselnej. Nasi goście musieli jakiś czas temu w najlepsze rozpocząć zabawę, bowiem są już mocno rozochoceni. Chyba nie jesteśmy im do niczego potrzebni.

– Proszę cię, nie denerwuj się. – Mocno ściskam dłoń Ahmeda, widząc pogardę i niezadowolenie malujące się na jego twarzy.

– Nie mogli na nas poczekać? – dziwi się. – Takie tutaj panują zwyczaje?

– Wiesz, że nie, ale zamiast pół godziny spędziliśmy w urzędzie dwie i pół – usiłuję tłumaczyć ludzi, w większości zaproszonych przeze mnie, a w zasadzie przez moją mamę.

– Wszyscy już są uchlani! – Z oburzeniem się krzywi.

– Słuchaj, teraz podadzą obiad, potem będą toasty i tort. – Trzymam go za obie ręce, jakbym się bała, że zaraz odwróci się i ucieknie. – Zaraz po tym możemy wyjść i wierz mi, mało kto zauważy nasze zniknięcie. Ja też nie mam już ochoty na zabawę i tańce – oświadczam ze łzami w oczach.

– Kotku mój, my tu zostaniemy, bo to nasze wesele i uwierz mi, że nie dopuszczę do tego, abyś się źle bawiła. To najważniejszy dzień w naszym życiu i nikomu nie pozwolę go spieprzyć. – Ciągnie mnie do stołu i siadamy na honorowym miejscu.

– Nawet nie przywitała nas chlebem i solą – z żalem zauważam kolejne niedociągnięcie ze strony matki, która w najlepsze pije wódkę z moim ojcem.

– W domu mamy i bułki, i sól, więc ja cię ugoszczę tymi rarytasami. – Ahmed uśmiecha się, usiłując zażartować, lecz po raz pierwszy widzę w jego oczach lodowaty chłód, zwłaszcza kiedy spogląda w kierunku moich najbliższych. Wiem, że nigdy matce tego nie zapomni i sama w pełni popieram jego uczucia.

Z naszych miejsc zniknęła połowa zastawy, ale nikogo to nie interesuje. Po długim oczekiwaniu kelnerki przynoszą przystawkę: galaretę z wieprzowych nówek. Przecież mówiłam matce, że nie życzymy sobie żadnej świniny! Jej złośliwość nie zna granic. Odgryzła się za wódkę, która i tak leje się strumieniami. Patrząc sobie w oczy i uśmiechając się z przekąsem, solidarnie odstawiamy tłusty przysmak. Wyglodzeni chlipiemy polski rosół i obawiam się, że jest to jedyne „bezpieczne” danie. Po kolejnej godzinie oczekiwania i burczenia w brzuchu dostajemy schabowego z purée ziemniaczanym suto polanym tłuszczem i zasmażaną kapustą z boczkiem.

– Chyba będę cię musiał jeszcze dzisiaj zaprosić gdzieś do restauracji, bo tutaj się nie najemy. – Ahmed żartuje, z niedowierzaniem kręcąc głową i mocno zaciskając szczęki.

– Przepraszam cię. – Zawstydzona pochylałam się w jego stronę i kładę mu policzek na ramieniu.

– Daj spokój, przecież wiem, że to nie twoja wina. – Macha lekceważąco ręką i sięga po komórkę.

– Gdzie dzwonicz? – pytam zdziwiona.

– Myślisz, że pozwolę twojej matce szykanować mnie głupim jedzeniem?

Szeroko otwieram oczy, a słysząc przebieg jego rozmowy telefonicznej, wybucham gromkim śmiechem. Po piętnastu minutach pojawia się elegancko ubrana obsługa z KFC i Pizzy Hut. Na dostawionym stole naprzeciwko nas ładują parujące i pachnące przysmaki.

– Dla tych, którzy nie mają ochoty obżerać się tłustą wieprzowiną, coś równie tuczącego, ale zdrowszego i smaczniejszego. – Ahmed wstaje z miejsca i dobitnie zwraca się do całej sali. Nawet nie musi podnosić głosu, gdyż wszyscy goście zamarli i wstrzymali oddech. Część z nich prawdopodobnie dopiero teraz zauważyła naszą obecność.

– Czyś ty oszalał? – drze się wniebogłosy matka, równocześnie usiłując zablokować obsługę donoszącą kolejne pizze i smażonego kurczaka.

– Bardzo panią przepraszam, ale jak widać, nie zrozumieliśmy się w kwestii menu, bowiem ani nam – tutaj pokazuje ręką na mnie – ani moim gościom pani wybór nie odpowiada.

– Co za beczelność, co za niewdzięczność, co za chamstwo – rozkręca się na dobre matka.

– Bardzo przepraszam wszystkich gości. – Wychodzę zza stołu i usiłuję zakończyć ten cyrk. – Proszę kontynuować zabawę i zapraszam, tak jak mój mąż, do nowego stołu. Muzyka, grać! – krzyczę w stronę pakamery z DJ-em.

Ponad połowa gości rusza biegiem ze swoimi talerzami i wręcz rozdrapuje świeżo przyniesione fast foody. Ahmed płaci za jedzenie i porywa mnie do tańca.

– To był najzabawniejszy i najprzyjemniejszy moment dzisiejszego wieczoru – śmieję się, kręcąc się w jego objęciach.



---

– Dla mnie też – stwierdza zadowolony. – Nie damy się.

## Odwiedziny u arabskiej rodzinke

### Wyjazd tylko na wakacje

Dlaczego nie chcesz pojechać?! Zobaczyć, jak tam jest. – Ahmed ponownie namawia mnie do wyjazdu do swojego kraju. – Zróbmy sobie przedłużone wakacje. Nikt cię tam na siłę nie będzie trzymał. Wyjedziemy na początku lata, to do września do szkoły Marysi będziemy mieć mnóstwo czasu.

Nie wiem czemu, ale się boję. Przede wszystkim chyba jego rodziny. Coś nie chce mi się wierzyć w ich otwartość i przychylność do innego świata, według nich przecież zgniłego. Panikuję, zwłaszcza po obejrzeniu w telewizji programu o szaleńcach z karabinami czy bombami i z tym płomieniem fanatyzmu w oczach. Jak mam wyjaśnić obawy i lęki mojemu libijskiemu mężowi, aby go nie zranić? Znowu mogłoby być między nami źle, a już tak się poprawiło, że mroczna przeszłość wydaje się tylko złym snem.

– No powiedz coś! – naciska.

Zza ściany słysząc szczęśliwe piski Marysi, która beztriosko bawi się z moją dziecinną przy niej mamą. I miałabym ten spokój, bezpieczeństwo i zaciszny mały dom zostawić i tułać się na koniec świata? Cały czas obawiałam się i spodziewałam tej propozycji. Wiedziałam, że wcześniej czy później Ahmed będzie chciał pojechać do swojego domu i pokazać żonę i córeczkę rodzinie.

– Dociu? Jesteś tutaj jeszcze, czy gdzieś odpłynęłaś?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczynam powoli.

– Prosto z mostu. Przecież wiem, że nie umiesz kłamać. – Obejmuje mnie ramieniem i czule całuje w szyję. – Co się dzieje?

– Ja się po prostu boję – szepczę.

– Ale koteczku mój, czego?! – Ze zdziwieniem patrzy mi głęboko w oczy.

– Wszystkiego! Kraju, ludzi, a przede wszystkim twojej rodziny! Jak mnie przyjmą? Może wcale mnie nie polubią i zaczną cię namawiać... – jak karabin maszynowy wyrzucam z siebie prawie wszystkie swoje obawy.

– Ale powiedz mi jedno. – Ahmed odsuwa się ode mnie i poważnie spogląda mi w oczy. – Powiedz mi tylko jedno. Ufasz mi?

Po raz pierwszy widzę takie napięcie i powagę na twarzy mojego męża. Mięsień w policzku drga mu nerwowo, a szrama na szyi, jak zawsze w takich sytuacjach, robi się ciemnobordowa.

– Głupie pytanie – mówię podniesionym głosem. – Przecież doskonale wiesz, że tak.

– Co tak? – nadal ostro naciska. – Powiedz, co tak?

– Wiesz doskonale, że cię kocham i ufam ci... – Delikatnie przytulam się do niego i słyszę łomot jego serca.

Jeszcze nie do końca odzyskał moje zaufanie, ciągle pamiętam zły okres, który przeszliśmy na początku, stale boję się, że może powrócić. Tam nie ma alkoholu, pubów, kolesi i blond panienek, a przecież to cały czas spędza mi sen z powiek. Dobrze by było całkiem o tym zapomnieć.

– Więc może zastanowimy się kiedy? – mówię na koniec.

– Tak?! – Podskakuje uradowany. Jak szybko zmienił mu się humor. – To ja zarezerwuję bilety, wszystko załatwię. Musimy tylko małej wyrobić

paszport, a to może potrwać nawet miesiąc. To nic! – wykrzykuje, klepiąc się

po udach. – O wizy się nie martw, o nic się nie martw.

– Ale zaraz, zaraz, do lata jeszcze kawał czasu! – mówię przerażona takim

obrotem spraw.

– Księżniczko moja kochana, tam już jest lato – śmieje się i porywa mnie w ramiona.

Czuję się, jakby uszło ze mnie powietrze. Zgodziłam się. Klamka zapadła.

Teraz już nie ma odwrotu.

– Wiesz co, moja piękna? – mówi swoim miłym i seksownym głosem. – Musimy ci zmienić garderobę. W końcu... – zawiesza głos i patrzy na mnie wymownie – wybierasz się w daleeką podróż. Wszystko nowe, co zechcesz.

Począwszy od majtek, a skończywszy na kapeluszach.

– Żartujesz?

– Oczywiście że nie.

– Cóż, niezła propozycja.

Mimo perspektywy wielkich zmian i jeszcze większych zakupów, niepokój w sercu tli się małą iskierką. Boję się, że to uczucie szybko mnie nie

opuści. Obawiam się, że mocniej chwyci mnie za gardło w momencie lądow-

ania. I przywitania. I pierwszej nocy. I drugiej nocy. I... ja już chcę wracać, choć jeszcze nie wyjechałam.

## Koło gospodyń arabskich

Kochanie, pobudka – słyszę miły głos szepczący mi czule słówka do ucha.

Nie chcę się obudzić, niech sen trwa wiecznie, lecz cóż to za cudowny aromat? Kawa, czekolada, palony cukier, przyprawy i przede wszystkim ciasto. Domowe ciasto mojej mamy. Słyszę, że ktoś odsłania zasłony i czuję promyki słońca na twarzy.

– No już, otwieraj te swoje śliczne oczęta. – Ahmed całuje mnie delikatnie w usta. – Śpiąca królewna teraz powinna się obudzić – śmieje się.

– Nie chcę – szepczę leniwym głosem, przeciągając się jak kot.

– Nowy dzień, nowe przyjemności – mówi, tak jakby wczoraj nic się nie stało.

– No wiesz... – nie kończę.

Chciałam oczywiście zapytać, jakaż to radość wczoraj mnie spotkała, ale daję spokój. Już wiem, że nie należy igrać z ogniem i w mojej obecnej sytuacji muszę trzymać buzię na kłódkę. Jestem na przegranej pozycji i nie mam co do tego wątpliwości. Jednak słońce za oknem i kawa nastrajają mnie optymistycznie – będzie dobrze, musi być. Przecież przyjechaliśmy tutaj tylko na trochę, na wakacje, a czas szybko leci.

– Czy w końcu komuś mnie dzisiaj przedstawiś? – pytam, siadając na łożku. – A raczej czy przedstawiś mi kogoś, bo oni wszyscy przecież wiedzą, kim ja jestem – sprostowuję, zgodnie z moimi całonocnymi przemyśleniami.

– Najpierw może zjedz śniadanie, a później moja najmłodsza siostra już się wszystkim zajmie – wypowiadając ostatnie słowa, oddycha z ulgą. – Ja jadę na miasto odwiedzić stare kąty, zobaczyć co się zmieniło – przedstawia mi

swoje plany. – Samira przyjdzie po ciebie za jakieś piętnaście minut, więc *fisa, fisa* – mówi, kierując się do drzwi.

– Że jak? – pytam zaskoczona.

– No to do zobaczenia wieczorem, kotku – krzyczy już zza drzwi. – Baw się dobrze.

Nawet nie zdążyłam powiedzieć, że jestem tutaj z nim i to on, mój mąż, powinien się mną zająć. O to mu chyba chodziło – uwolnić się ode mnie, wykorzystując moje zaskoczenie.

Siedzę na łóżku i siorbię kawę zakrapianą słonymi łzami. Słyszę śmiechy dziecka na dworze. To Marysia, a ja nawet nie słyszałam, jak wstała. Mój Boże, co ze mnie za matka! Dobrze, że ona wszędzie czuje się jak u siebie w domu. Pukanie do drzwi.

– Kto tam? – pytam cicho trzęsącym się głosem.

Bez odpowiedzi do pokoju wchodzi śliczna młoda dziewczyna z burzą kręconych czarnych włosów nad czołem.

– *Ahlan, ana Samira. My name is Samira* – mówi z miłym i szczerym uśmiechem, Bogu dzięki przechodząc na angielski.

Pochyliłam głowę, chcąc ukradkiem otrzeć łzy.

– Ej, Blondi, co się stało? – pyta, siadając na brzegu łóżka. – Nie wolno płakać w pierwszy dzień na nowym miejscu. To przynosi pecha. – Patrzy zmartwiona i bierze mnie delikatnie za rękę.

Widzę iskierki radości i małego diablika w jej oczach. Od razu poprawia mi się humor i czuję, że polubię tę dziewczynę.

– To nic takiego. Po prostu boli mnie głowa – kłamię jak z nut, a ona doskonale wie, że to bujda.

– Wiesz, co jest najlepsze na smutki? – pyta, uśmiechając się promiennie. – Złuszczka dla kobiet.

– Cóż takiego? – wzdycham i spoglądam na nią figlarnie. – Dobry seks? Samira jak oparzona puszcza moją rękę i skacze na równe nogi.

– Sza, sza!!! – wykrzykuje. – Ja jestem panną i nie wolno mi mówić o takich rzeczach.

– Jak to? – dziwię się, zaskoczona jej reakcją. – Przecież zwłaszcza panny o tym rozmawiają. Mężatki mówią o dzieciach, płaceniu rachunków, malowaniu mieszkania i wymianie mebli. Zapominają o przyjemnościach.

– Ja ci powiem, że u nas na smutki kobiety jedzą ciastka i czekoladki – mówi nieco uspokojona i znów przysiadła na jednym półdupku.

– Aaa, to dlatego prawie wszystkie są takie grube? – niewinnie stwierdzam oczywisty fakt.

– Blondi, a co to jest ten dobry seks? – szepcze z szelmowskim uśmiechem na ustach, jednocześnie pochylając się w moją stronę.

– Po pierwsze, co za Blondi? Jestem Dorota, albo w skrócie Dot – unikam odpowiedzi, bojąc się kolejnych kłopotów.

Sięgam po rogalik z czekoladą, polany lukrem, posypany kokosem i kandyzowanymi owocami.

– Mmmm – jęczę z rozkoszy. – Teraz rozumiem. W życiu czegoś tak pysznego nie jadłam – belkoczę z pełnymi ustami. Zamykam oczy i czuję boski smak czekolady na podniebieniu. Tak, to zdecydowanie może polepszyć humor. Sięgam po następne ciastko i jak w ekstazie wbijam w nie zęby. Tym razem miód i orzechy. Słyszę chóry anielskie.

– Sama widzisz, zanim się spostrzeżesz, będziesz tak samo tłusta jak nasze kobiety. – Samira śmieje się i również dołącza do uczty. – No to co znaczy ten dobry seks? – naciska, patrząc mi prosto w oczy.

– *Hey, you*, przecież mówiłaś, że to dla ciebie temat tabu. – Wybucham śmiechem. – Nie wolno, nu, nu – droczę się z nią, wymownie kiwając palcem.

– A kto się o tym dowie? To będzie taka nasza mała tajemnica – prosi przymilnie. – *Secret, secret* – aż piszczy podniecona.

– Okej. Później. Teraz pokaż mi dom i przedstaw w końcu kogoś – mówię, wyskakując z łóżka. – Czuję się jak na księżycu.

– *Moonwalker, moonwalker*. – Samira znów klaszcze w rękę, nie do końca rozumiejąc, co miałam na myśli.

A może ja coś pokręciłam, trudno. Najważniejsze, żeby się w ogóle dogadać.

– Już od rana wszystkie jesteśmy w kuchni – mówi wesoło. – Szykujemy świąteczny obiad. Najlepiej poznaje się człowieka przy garach, prawda? – stwierdza.

Trochę mnie to podbudowało – świąteczny obiad z okazji naszego przyjazdu. Może nie będzie aż tak źle, myślę, zbiegając po schodach i próbując dotrzymać kroku szczupłutkiej siostrze Ahmeda.

Kuchnia jest wielka, jakieś dwadzieścia metrów. Najbardziej podoba mi się wyjście na mały ganeczek z tyłu domu, gdzie można usiąść, wypić kawę lub herbatę albo nawet coś zjeść. Wyposażenie też niezłe – widziałam takie w katalogu z włoskimi meblami. Chrom w połączeniu z pięknym ciemnym drewnem. A ile sprzętów! Oczywiście połowy z tego nie umiałabym nawet włączyć. Niezły ten arabski namiot – śmieję się w duchu.

Gdy wchodzimy, harmider cichnie i wszystkie panie zwracają głowy w naszym kierunku.

– Ooo, wstałaś już – mówi z przekąsem matka Ahmeda. – Śpiąca z ciebie królowna – stwierdza, mieszając arabskie i angielskie słowa.

Widzę, że konwersacja będzie trudna, ale jakoś musi się udać. Przecież mamy do pomocy jeszcze ręce, a gestykuje się tutaj do woli.

– Ja... – od razu usiłuję się usprawiedliwić, choć wcale nie mam na to ochoty.

– My wszystkie znamy Blondi – przerywa mi Samira – a teraz wypadaloby, żeby ona poznała nas.

Uff, wybawiona z opresji.

– To Malika, наша najstarsza siostra. Ona wpada tylko czasami, bo ma poważną pracę w ministerstwie i własny biznes. Prywatną klinikę. – Ściskam mocną dłoń najbardziej śniadej i najbardziej eleganckiej kobiety w kuchni. Rzeczywiście, ona tutaj nie pasuje.

– *Hi*, nie daj się tym babom – mówi chropawym głosem. – Będę cię stąd czasami wyrywać, żebyś całkiem nie zgłupiała i nie zdziczała – kontynuuje mentorskim tonem i kiwa przy tym wskazującym palcem ubrudzonym w przecierze pomidorowym. – Nie daj się przerobić na żołą arabijję – ścisza



głos i porozumiewawczo mruga do mnie okiem. – *Arabic wife* – prychna już sama do siebie pod nosem.

Nie ma w jej głosie żadnej figlarniej nutki. Mówi całkiem poważnie, a ja nie rozumiem, o co jej chodzi. Czy jest coś złego w byciu arabską żoną? Czy ja o czymś nie wiem?!

– Malika, nie strasz dziewczyny! – słyszę ciepły głos. – Jestem Miriam, średnia siostra. – Okrągłutka, lecz całkiem zgrabna dziewczyna wchodzi z ganku. Całuje mnie w policzek, a ja czuję zapach papierosów. Teraz już wiem, którą siostrę Ahmed kocha najbardziej i dlaczego nasza córka nosi imię Marysia, w arabskiej wersji Miriam.

– Nic się nie boję – uspokajam ją. – Na razie jestem po prostu trochę zagubiona. I oszołomiona.

– Chadidża – burknięcie dobyło się zza pleców matki. – Też średnia.

Ahmed mówił, że którejś nie powiodło się w życiu i jest rozwiedziona – to musi być ta. Zaszuszone gida spogląda na mnie wilkiem i nie ma ochoty uścisnąć mi dłoni, nie mówiąc już o pocałunkach.

– No to do roboty, dziewczyny – niezręczną sytuację przerywa matka, obracając się na pięcie i pokazując mi plecy.

Teraz dopiero zauważam walające się po podłodze reklamówki, kartonowe pudła i torby pełne produktów. Ogromny arbuz, chyba kilkunastokilogramowy (kto go uniósł?), leży w kącie w towarzystwie melonów, brzoskwiń, mirabelek i skrzynki jabłek. Kto to wszystko przeje?! Przecież to są ilości na małe wiejskie wesele.

– Blondi – słyszę głos Miriam i już reaguję na moje nowe imię. – Pomóż no mi tutaj z tym bydlakiem.

Pod stołem, zawinięte w szary papier i płachty gazet, leżą jakieś zwierzęce zwłoki.

– Co to? – pytam przerażona i zdziwiona zarazem, chwytając za jedną nogę i próbując podnieść i położyć martwe zwierzę na centralny blat w kuchni.

– A jak myślisz? Wyrośnięte jagnię – odpowiada, śmiejąc się, Miriam. – Tylko trochę nieżywe. *Morta*.

– Kto to wszystko zje? – pytam szeptem, nachylając się do jej ucha.

– Zobaczysz – mówi tajemniczo. – U nas ludzie mają apetycik, a i do stołu nie siada mniej niż dwadzieścia osób.

Jak tak, to tak. Trzeba podkasać rękawy, pożegnać się z wypielęgnowanymi długimi paznokciami i szybko zabierać się do pracy.

– Ale jeśli to ma być na obiad, to jak my zdążymy na trzecią czy czwartą? – pytam trochę spanikowana.

– Kotku, u nas obiad jada się wieczorem albo w nocy – uspokajają mnie. – Mamy dość czasu. Mężczyźni cały dzień spędzają poza domem, a dopiero wieczorem relaksują się z rodziną.

Niezły układ. Faceci trochę popracują, a potem szwendają się po mieście, siedzą sobie w restauracjach czy kawiarniach. Natomiast baby cały dzień spędzają w kuchni, by oni w nocy mogli napchać sobie brzuchy i się relaksować. Ha, ha! Wcale nie jest mi do śmiechu. Powoli zaczynam rozumieć, co miała na myśli Malika, mówiąc o arabskiej żonie. O nie, dzisiaj to będzie wyjątek, wyjątek, który potwierdza regułę. Ja nie jestem niczyją służącą i nigdy nią nie będę. Jutro, jak Ahmed zniknie z kolegami na cały dzień, biorę Marysię i my też idziemy do miasta. Przecież muszą tutaj jeździć autobusy czy taksówki. Damy sobie radę. Dobrze, że zgodziłam się przyjechać tylko na wakacje. Ładne mi wakacje!!!

– Macie jakieś gumowe rękawiczki do pracy? – pytam, podpierając moją angielszczyznę gestem, lecz nie otrzymuję odpowiedzi. Tylko pełne zdziwienia i dezaprobaty spojrzenie: ależ ty głupia jesteś!

Z zaciśniętymi zębami, w milczeniu, obieram jarzyny, czyszczę z tłuszczu mięso, robię marynatę pod okiem matki, pomagam kleić pierożki, zawijać roladki i wyrabiać ciasto na ciasteczka. Może takie zajęcia kogoś satysfakcjonują, ale nie mnie. Jestem spocona, nogi bołą mnie od stania, a ręce pieką od czyszczenia i siekania papryczek chili. Już chciałabym, aby dzisiejszy dzień dobiegł końca.

Zauważam, że Miriam wychodzi na ganek. Chyłkiem podążam za nią. Przcupnęła za rogiem i zapala papierosa.

– Poczęstujesz? – pytam.

– Pewnie, ale pamiętaj, nigdy nie pal oficjalnie, a już absolutnie nie przy chłopach – mówi szeptem.

– A to dlaczego? – dziwię się. – Przecież nieraz paliłam przy Ahmedzie.

– Ale to było w Polsce. Tutaj nie próbuj. Moja rada.

Zaciągam się dymem. Jeszcze nigdy papieros tak mi nie smakował. To jest mój relaks i moja niezależność.

– Mieszkasz z rodzicami? – pytam po chwili.

– Coś ty! – śmieje się. – Chyba bym całkiem zwariowała. Mam dom po drugiej stronie ulicy. Czasami, niestety zbyt często, biorę dzieciaki i przychodzę tutaj. Zawsze raźniej w gromadzie, niż siedzieć samemu.

– To jesteś rozwiedziona, nie masz męża?

– Mam, i to całkiem dobrego – mówi, potakując sobie sama głową. – Ale on ma pracę, obowiązki i inne rzeczy. Gdy jest w mieście, to praktycznie cały dzień spędza poza domem. Przeważnie jednak siedzi na polach naftowych na pustyni. Pracuje w firmie olejowej, bardzo dobrze zarabia, ale... – wzdycha.

– No wiesz. To są koszty, które trzeba ponieść. – Jej twarz niczego nie wyraża, tylko brwi podnoszą się do góry. – Takie życie – beznamiętnie podsumowuje, rozkładając ręce.

– Ale co to za życie! – prawie wykrzykuję. – Przecież tak się nie da!

– Cicho, nie drzyj się – syczy zdenerwowana. – Mam rodzinę i idealną sytuację finansową. Dobrego męża. Nie narzekam. I tak miałam dużo szczęścia, bo sama go sobie wybrałam i miałam okazję go dobrze poznać w czasie studiów. Poza tym to nie jakiś stary dziad, ale całkiem przystojny facet w moim wieku.

– To ty studiowałaś? – dziwię się, widząc ją w kwiecistej podomce i śmiesznie zawiązanej chustce na głowie. Wygląda jak przedwojenna służąca.

– Miła jesteś – stwierdza z przekąsem. – Ale ci się nie dziwię. Nie wyglądam na osobę na poziomie, nie to co Malika – smutno wzdycha. – Ale ona się nie bała i nie boi sprzeciwić, a jak już zdobyła pozycję i zaczęła dobrze zarabiać, to teraz wszyscy mogą jej nagwizdać. Ja zawsze byłam pokorna, zbyt pokorna. I skończyłam tak. – Wskazujący palec wbija w swoją obfitą klatkę piersiową.

Żal mi jej. Siedzi ze smutnie zwieszoną głową i jedynym jej aktem niezależności, samowoli i buntu jest potajemne ćmienie papierosów.

– Dlaczego mówisz, że miałaś szczęście, że sama wybrałaś sobie męża? – pytam z zaciekawieniem. – Nie rozumiem.

– Czy ty nic nie czytałaś o kulturze arabskiej, zwyczajach, historii, tradycji?! – pyta z naganą w głosie. – Nauczyłaś się paru słów i uważasz, że to wystarczy, aby brać sobie za męża Araba? *Salam alejkum, szukran džazilan i ahlan wa sahlán*. Dzień dobry, dziękuję, cześć. – Teraz jest już mocno zdenerwowana. – I będziecie żyli długo i szczęśliwie. Ha! – prychna obraźliwie i zbiera się do odejścia.

– Czemu tak się wściekasz? – próbuję załagodzić sytuację. – Ludzie się poznają, zakochują i chcą być ze sobą. Tak ja to widzę. Niepotrzebne mi do tego żadne poradniki ani opracowania historyczne – przedstawiam jej mój punkt widzenia, choć już trochę mało aktualny.

– I sądzisz, że to wystarczy? – Znów przykucnęła przy mnie. – A gdzie rodzina, wspólne zwyczaje, religia. Chociażby obchodzenie świąt. Moja mała Blondi, sama miłość to nie wszystko!

– Już co nieco przeszłam – przyznaję zgaszona, przypominając sobie kłótnie i brak zrozumienia w tak wielu istotnych sprawach. – Trochę czytałam, ale wydawało mi się, że to historia, zamierzchłe czasy, teraz w końcu mamy dwudziesty wiek, prawda? Ahmed zalicza się raczej do nowoczesnych ludzi...

– W Polsce, milutka, w Polsce, to zupełnie co innego, a tutaj rządzi tradycja, *old good tradition*. – Patrzy na mnie z troską. – Lećmy do kuchni, bo będzie chryja. Zaraz wszystkie się przyczepią, że nic nie robimy.

Wpadamy biegiem, lecz chyba żadna z kobiet nie zauważyła naszej nieobecności. Baranina się piecze, sałatki przygotowane – każda w wielkiej misie jak do mycia nóg, zupa bulgocze, a ciastka zostały zamknięte w spiżarni, żeby dzieciarnia się do nich nie dobrała. Jeszcze tylko zostały do zrobienia pasty i można powiedzieć, że skromny obiad rodzinny jest gotowy.

Na dworze zmierzcha. Marysia bawi się na podwórku z dziećmi, dobrze się tutaj czuje, niczego się nie boi, śmieje się i rozrabia jak u siebie w domu. Jednak dobrze, że Ahmed mówił do niej po arabsku, bo nie ma teraz bariery językowej. Odblokowały jej się wszystkie usłyszane słówka i zwroty i

zabawnie charczy w dziwnym języku do otaczających ją dzieci. Jakby się tutaj urodziła.

Jestem u kresu sił. Cały długi dzień spędzony w kuchni daje mi się we znaki. I ten nieznośny upał. Włosy przyklejają się do spoconych policzków, zaczerwienione od ostrej papryki ręce wyglądają okropnie, o paznokciach wolę nie myśleć, a nogi spuchły do tego stopnia, że nie widać kostek. Nie jestem przyzwyczajona do takiej pracy, na domiar złego w niewyobraźalnie wysokiej temperaturze.

– A gdzie podziała się Samira? – zauważam jej nieobecność pomimo łzawiących oczu.

– Szczęściara. Ma zajęcia na uczelni, to zawsze wymiga się od roboty – odpowiada spokojnie Miriam.

– Ale już niedługo, już niedługo! – z czystą satysfakcją i złośliwością prawie wykrzykuje Chadidża.

– Dlaczego? Kończy studia? – niewinnie pytam.

– Kończy się jej wolność – syczy chudzielec. – Przyszła kryska na Matyska. Już dość tego włóczenia się z koleżankami, tego modnego ubierania się i pełnej swobody. Ha!

– Daj spokój, Chadidża – mówi spokojnie, lecz dobitnie Malika. – Jeszcze nic nie jest postanowione. Dziewczynie tak długo udaje się migać, że może się jej upiecze. Życzę jej tego z całego serca, bo szkoda jej, szkoda dla takiego starego dziada.

Nic nie rozumiem z tej całej rozmowy, bo oczywiście nikt mnie w nic nie wtajemniczył, a poza tym panie w podnieceniu mówią bardziej po arabsku niż po angielsku. Bogu dzięki, że cały czas gestykują, więc mam jakąś szansę trochę chwycić sensu wypowiedzi.

– O co chodzi? – Daję kuksańca Miriam. – Co się szykuje dla Samiry?

Reszta oczywiście usłyszała moje pytanie i chórem odpowiadają:

– ŚLUB.

– To arabskie małżeństwo jest takie złe, że porównujecie je z więzieniem?

– Nic nie rozumiem. Częściowo poznałam już niewesołą historię Miriam, ale nie spodziewałam się, że brak szczęścia jest tutaj regułą.

– Może być źle albo trochę lepiej – mówi Malika. – Ale tej biedaczce wybrano – tutaj patrzy oskarżycielsko na matkę – starego, obrzydliwego dziada.

– Czemu na mnie patrzysz! – Matka denerwuje się i wrzeszczy, wymachując rękami. Boję się, że za chwilę skoczą sobie do oczu. – Co ja tutaj, do cholery, mam do powiedzenia?! Nic, jedno wielkie nic. – W ręce trzyma duży nóż, którym rozdziela upieczone mięso i boję się, że lada chwila użyje go w innym celu.

– To w końcu chyba też twoja córka. Najłatwiej jest chować głowę w piasek! – wykrzykuje Malika. – Gdybym ja nie wyprowadziła się do dziadka i nie oddała pod jego opiekę, też pewnie bym tak skończyła.

Czuję, że wsadziłam kij w mrowisko, po co było pytać, co mnie podkusiło? Znowu narozrabiałam.

– Ale może wszystko jeszcze się ułoży? – próbuję załagodzić sytuację.

– Co się ułoży? I może jeszcze będzie *fine and happy*?! – Malika ryczy już na całe gardło. – Dziewczyna jest mądra i powinna przynajmniej przez chwilę popracować w zawodzie, który zdobywała przez wiele lat. Czy i my musimy kultywować zwyczaj, że od razu po obronie pracy magisterskiej zaciąga się absolwentkę przed szejka i zakłada jej małżeńskie jarzmo?! – Tu wykonuje jakiś symboliczny gest. – A może powinnyśmy się cieszyć, że w ogóle pozwala nam się studiować?

– Jakbyś zgadła. – Matka smutno zamyśla się i wbija wzrok w kuchenny stół.

– Ona chce czegoś więcej – cicho mówi Miriam.

– A czegoż to! – piskliwie krzyczy Chadidża. – W głowie jej się poprzewracało od tych książek. Obowiązkiem kobiety jest wyjść za mąż i dać mężowi jak najwięcej dzieci.

– Zamknij się! – zgodnie ryczą dwie siostrzyczki.

– Po to mu dogadzać i służyć, żeby się z tobą rozwiódł, gdy jesteś już stara i brzydka? – niewinnie pyta szczerą do bólu Malika. – A może niekoniecznie rozwiódł, bo jest na tyle miły i litościwy, że tylko wziął sobie drugą żonę, młodszą i zdrowszą, którą musi się tolerować? Hm? – Nie mam pojęcia, w

kogo ten cios był wymierzony, ale matka nagle pobladła i patrzy na swoją pierworodną, jakby chciała ją zabić.

– Po to mu rodzic dzieci, żeby ci je zabrał? – cicho szepcze delikatniejsza Miriam, patrząc wymownie na Chadidżę, która po tych słowach ze łzami w oczach wybiega z kuchni.

– To czegoż ta moja Samira chce? – wraca do tematu matka. – Może któraś mnie w końcu oświeci? – pyta już trochę spokojniejszym tonem.

Siostry patrzą po sobie, jakby chcąc rzucić jedna na drugą obwieszczenie jakiejś strasznej wiadomości. Nikt już nie zwraca na mnie uwagi. I dobrze.

– Ma możliwość dostania stypendium w Kanadzie i robienia tam habilitacji – bardzo poważnie, jakby ogłaszała wyrok, informuje Malika.

– Co?! – Matka nie wierzy własnym uszom. – I ona myśli, że będzie mogła wyjechać sama do Kanady?! Kobieta?! Bez opiekuna?! – Bogu dzięki, odłożyła już nóż i teraz opiera się obiema rękami o blat stołu, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Głupie... głupie!!! Wszystkie moje córki są tragicznie głupie!!! – krzyczy i uderza pięścią w stół.

To ja już państwu podziękuję. Uciekam stąd, a one niech się pozabijają. Fajna rodzinka! Matka opuszcza nas dumnym krokiem królowej.

– Uff! – Malika śmieje się cicho, zasłaniając usta ścierką. – Myślałam, że będzie gorzej.

Dwie konspirantki stoją na środku kuchni i przybijają sobie piątkę.

– Po to w końcu się tutaj dzisiaj zebrałyśmy. Musiałam wziąć wolny dzień w pracy, ale nie żałuję. Mamy to za sobą. – Dumna Malika kładzie głowę na ramieniu Miriam.

– Blondi, to ty już sobie idź i odpocznij, a my skończymy. – Miriam jednak o mnie pamięta. – Wystarczy ci wrażeń jak na jeden dzień.

Sunę powoli, noga za nogą, czując się tak zmęczona, jakbym właśnie skończyła szycie w kopalni. W głowie mi huczy, pięką mnie ręce, stopy i policzki, a twarz mam czerwoną jak wiejska dziewczucha. Marzę o kąpieli i śnie. Mam w nosie tę kolację, niech sobie sami jedzą. Nigdzie nie pójde, wołami mnie tam nie zaciągną.

## Uroczysta kolacja

Hej, hej, Docia – słyszę jakby przez mgłę. – Pobudka, jeszcze nie czas na spanie. Wszyscy już są. – Ahmed puka mnie w ramię i nie ma zamiaru przestać.

– Zostaw mnie, jestem zmęczona – jęczę. – Nigdzie nie pójde. Tam zapewne jest tyle ludzi, że nikt nie zauważy mojej nieobecności – mówię już bardziej przytomna.

– Oszalałaś?! – podnosi głos. – Chyba ci odbiło?! – krzyczy. – Przygotowali uroczystą kolację na naszą cześć, a ty się nie pojawisz!

– To ja ją przygotowywałam! – odpowiadam podniesionym głosem, opierając się na łokciu i czując straszliwe palenie w rękach i na policzkach.

Dotykam twarzy. Gorąca jak piec. W uszach mi szumi i padam ponownie na poduszki.

– Co ci jest? – pyta już łagodniej i pochyla się nade mną. – Coś ty ze sobą zrobiła? – Jednak trochę się o mnie niepokoi. – Opalałaś się na tym zabójczym słońcu?

– Chyba żartujesz?! – wybucham. – Cały dzień spędziłam w kuchni. Miły dzień – mówię z przekąsem, lecz on nie słyszy ironii w moim głosie.

– To dobrze, że miły, a teraz będzie jeszcze przyjemniej. – Wierchem dłoni dotyka moich policzków. – Może to od gorąca. Weź chłodny prysznic i schodź. – Nic do niego nie dociera. – Wszyscy na ciebie czekają. Nie przeoginaj, kotku. – Po tych słowach pociechy wychodzi.

Jeszcze na chwilę zamykam oczy. Nie wiem, co się ze mną dzieje, czuję się naprawdę dziwnie, ale zdaję sobie sprawę, że i tak muszę tam iść.

Zwlekam się powolutku i po chwili jestem już na dole.



O mój Boże! Teraz wiem, czemu oni mają taki wielki salon. I taki ogromny stół. Tłumy ludzi, jak mrówki, cisną się do jedzenia, a dzieciaki biegają tam i z powrotem, trzymając w rękach jakieś opływające tłuszczem kąski. Nie dość, że same są ubrudzone, to kruszą na dywany i wycierają się w te przepiękne tapicerowane meble. Marysia z uśmiechniętą, szczęśliwą i umorusaną buźką przemyka w biegu.

– Mamuniu, rozrabiamy – krzyczy. – Tutaj wolno.

– O!!! Blondi, nasza śpiąca królowna. – Nawet nie wiem, kto puścił taką kąśliwą uwagę. Jakoś już się nie przejmuję, wszystko mi jedno. Błądzą wzrokiem po biesiadnikach i w końcu namierzam Ahmeda, ale nie ma wolnego miejsca obok niego, nie ma żadnego wolnego krzesła. Przepraszam, to po co mnie tutaj ściągał? Czy żona nie powinna siedzieć obok męża, szczególnie w dniu, kiedy jest wyprawiane uroczyste przyjęcie na ich cześć? Stoję bezradnie i nadal rozglądam się dookoła, szukając choć jednej znajomej twarzy.

– Kszsz... – Spoglądam w stronę głosu. To Malika wyrzuca jakiegoś oślinionego dzieciaka, który siedzi obok niej i daje mi znak ręką. Ulżyło mi.

– Spałaś? – pyta zdziwiona. – Nie jesteś przyzwyczajona do takiej harówki, księżniczko. Niektórym się wydaje, szczególnie mężczyznom, że jak kobiety siedzą w domu, to nic nie robią, tylko plotkują i tyją. A bycie gospodynią domową to jest najcięższa i najbardziej niewdzięczna praca, nieprawdaż?

– Muszę ci przyznać rację, stuprocentową – odpowiadam, wciskając się na zwolnione miejsce.

Kiedy patrzę na wszystkich jedzących i tych, którzy wrywają sobie półmiski, aby z nich zgarnąć jak najwięcej na swój opływający tłuszczem talerz, odechciewa mi się jeść.

– Zaraz skombinujemy ci zastawę i sztucce. – Malika opiekuje się mną jak siostra. Jestem jej za to ogromnie wdzięczna, bo na pierwszy rzut oka nigdy bym się tego po niej nie spodziewała. Taka rzeczowa, oschła i oziębła. Pożory jednak mylą. Już w kuchni się o tym przekonałam.

– Słuchaj, nie jestem głodna – jęczę, rzucając w jej kierunku wymowne spojrzenie. – Nie rób sobie kłopotu.

– Jaki kłopot, nie żartuj! – oburza się.

– Czy oni przez cały dzień nic nie jedli, że tacy są głodni?

– Chyba kpisz – odpowiada, szelmowsko się uśmiechając. – Oni po prostu są nienażarci. Popatrz na ich brzuchy. – Wzrokiem pokazuje mi opasłego jegomościa, który z ustami pełnymi jedzenia opowiada coś sąsiadowi. – Myślisz, że oni wiedzą, co to jest dieta i zdrowe odżywianie? Kpią sobie z tego, bo z dziada pradziada tak się jadło i było dobrze. A potem ląduje taki jeden z drugim u mnie w klinice i bardzo często nic już dla nich nie mogę zrobić.

– Ale ty jakoś się nie dajesz? – mówię, pokazując na jej zapadnięty brzuch.

– Ciężka fizyczna praca i reżim. – Z dumą prostuje plecy i wypina pierś.

Nikt by nawet nie przypuszczał, że cały dzień spędziła przy garach w kuchni. Elegancki kaszmirowy kostium z dużym dekoltem, zalotnie ukazującym koronkowy stanik, misterna biżuteria i odurzający zapach perfum oraz fryzura jak z salonu piękności i delikatny makijaż czynią z niej szykowną kobietę.

– To czemu namawiasz mnie do jedzenia? – pytam z wyrzutem. – Ja też nie chcę utyć.

– Ja nie namawiam cię do jedzenia, lecz organizuję ci talerz, żebyś mogła coś na nim położyć, rozbabrać i udawać, że już zjadłaś – tłumaczy mi jak dziecku. – Tak to się u nas robi...

Talerz został zdobyty i wypełniony tłustym jedzeniem. Ładnie to nawet pachnie, ale nie mogę przed snem jeść takich ciężkich dań, bo chyba bym umarła. Teraz nikt już się mnie nie czepia – zginęłam w tłumie. Malika zaczyna opisywać gości i nieznanym mi domowników. Ona chyba lubi ploteczki i jest niewyczerpanym źródłem informacji.

– Widzisz tego przystojniaka, który siedzi obok Samiry? – pyta teatralnym szeptem. – To Mahdi, jej kolega ze studiów. On jej się marzy, ale jest za biedny jak na naszą wymagającą rodzinę. Zanim by uzbierał na odpowiedni dom i posag, ona miałaby już siwe włosy. A szkoda, bo dziewczyna aż się do niego pali, a on to już lepiej nie wspominać – wzdycha smutno. – Co zrobić? On też ma szansę na stypendium. Gdyby ojciec pozwolił im na ślub, mogliby razem wyjechać i realizować swoje marzenia – mówiąc to, patrzy

niewidzącym wzrokiem przed siebie. Chyba to nie wszystko, co mogłaby mi na ten temat powiedzieć. Nie oczekuję jednak cudów, znamy się zaledwie jeden dzień.

– A ten spocony, pokurczony dziadunio przy twoim ojcu? – pytam ciekawa, lustrując dalej towarzystwo.

– To właśnie może być przyszły mąż biednej Samiry – wydusza przez zaciśnięte zęby. – Jest obrzydliwie bogaty i ponoć może jej dzięki temu zagwarantować szczęście i świetlaną przyszłość – recytuje popularną formułkę.

– *Szisz* – cedzi z wściekłością. – Chyba mnie szlag trafi, jak do tego dojdzie.

– Ale czemu ona się na to zgadza? Czemu nie powie, że ma to w nosie i nie chce być bogata za taką cenę? – dziwię się i powoli też zaczyna ogarniać mnie złość. – To głupota!

– To tradycja – mówi już spokojniej. – Rodzina, czyli ojciec, wybiera ci kandydata na męża i jeśli sama nie znajdziesz sobie bardziej atrakcyjnego, oczywiście pod względem finansowym lub pochodzenia, musisz poddać się swojemu losowi. Nikt nie patrzy na to, że facet przez ostatnie dwadzieścia lat szlajał się po świecie, nie wiadomo ile tam dzieci i żon zostawił, bo teraz wrócił do domu z workiem pieniędzy i chce się ustatkować. Rodziny biją się o taką partię – wprowadza mnie w tajniki panujących tutaj zwyczajów.

– Ale dlaczego, jeśli tam z kimś był, to zostawia kochającą go kobietę, dzieci i chce wziąć sobie zupełnie obcą i niechętną mu dziewczynę? – nie mogę się nadziwić.

– Zrozum, Blondi, nawet jeśli po ślubie znów wyjedzie za granicę, teraz już z młodą żoną, to będzie miał kawałek ojczyzny w domu. U nas mówi się, że miłość sama przyjdzie. Później. Najważniejsze są domowe zwyczaje, kultywowanie tradycji, wspólna religia, domowe arabskie żarcie. – Uśmiecha się, wskazując głową suto zastawiony stół. – Kuskus, dużo kuskusu. – Wybuchu śmiechem.

– Ty wiesz, że coś w tym jest. Nasi emigranci, szczególnie w Stanach, też trzymają się razem i najchętniej biorą sobie za żony Polki. Czasami nawet przyjeżdżają do ojczyzny i wyławiają najładniejsze młode dziewczyny, które dają się nabrać na ich rzekome bogactwo. Potem lądują gdzieś na farmie w

Teksasie albo w robotniczej dzielnicy w Chicago i kończy się bajka o Kopciuszku.

- No widzisz – cieszy się. – Mamy jednak ze sobą coś wspólnego.
- Myślę, że więcej, niż nam się wydaje – podsumowuję.
- Ach ta Miriam! – cmoka zdegustowana Malika.
- Co z nią? – próbuję namierzyć ją wzrokiem.
- Idiotka, no totalna idiotka – prawie wykrzykuje Malika, chwytając się teatralnym gestem za głowę.

Miriam siedzi w środkowej części stołu, w największym tłoku. Słyszę kaskady śmiechu i widzę płomień w jej oczach. Jakaż ona jest teraz ładna. Oddzielony od niej jednym miejscem, zajmowanym przez małego chłopczyka łapczywie pochłaniającego makaron, siedzi jakiś śniady mężczyzna, ubrany dość podle w porównaniu z resztą towarzystwa. Sprany T-shirt opina mu tors i widać rysujące się na jego ramionach i klatce piersiowej napięte mięśnie. Nieźle zbudowany, chyba jakiś kulturysta. Cały czas rozmawiają, prawdopodobnie opowiadając sobie dowcipy, bo pękają ze śmiechu. Reszta ludzi jakby dla nich nie istniała. Przechylają się nad głową chłopczyka i wyglądają, że lada moment wyrzucą go z zajmowanego miejsca. Ich dłonie co chwila się spotykają, choćby na ułamek sekundy.

– Gdzie te łapy, szaleńcy, gdzie te łapy?! – Malika ciska wzrokiem pioruny i całkowicie traci panowanie nad sobą. – Czy ty widzisz, jaką ja mam głupią siostrę? – zadaje mi retoryczne pytanie.

– Mmm. – Wolę nie odpowiadać. – To nie jej mąż? – jednak nie wytrzymuję.

– Raczej by się z nim tak dobrze nie bawiła. Już nie. Ten to idiota trener, ode mnie z fitness klubu – szepcze z pogardą w głosie. – I po co ja ich poznałam?!

– To jest tutaj fitness, aerobik? – Prawie klaszczę w ręce ze szczęścia.

– Pewnie, że jest. Myślisz, że gdzie tak się katuję, żeby jakoś wyglądać. Nie żyjemy w buszu – mówi z naganą w głosie.

– Nie no, nieee. – Nie chcę urazić Maliki, bo panicznie boję się jej reakcji. Jest bardzo gwałtowna.

– Czy wiesz, do czego jest trener? – pyta z wściekłością. – Do skakania jak małpa na sznurku i do pompowania własnych mięśni. I do niczego więcej. Absolutnie! A na pewno nie do romansowania z zamężną kobietą na oczach całej jej rodziny i sąsiadów.

Powoli podnosi się z krzesła.

– Gdzie idziesz? – pytam z lękiem.

– Skopać mu tyłek – odpowiada spokojnie, a ja drzę, wyobrażając sobie ciąg dalszy.

Zanim zdążę cokolwiek zrobić, już jej nie ma. Ciężko opadam na krzesło. Czy tutaj cały czas coś się musi dziać? Znów szumi mi w uszach, ale to chyba z nerwów. Policzki palą mnie aż po linię włosów. Chciałabym już stąd zniknąć, zamknąć się u siebie w pokoju lub posiedzieć na balkonie. Nic nie mówić, niczego więcej się nie dowiadywać – mam dość.

Widzę, jak Malika pochyla się nad rozmówcą Miriam, szepcze coś do niego, ściskając równocześnie za ramię. Nie robi tego chyba zbyt delikatnie, bo mężczyzna wyprężył się jak struna, zrobił się jeszcze bardziej śniady na twarzy (to musi być rumieniec) i patrzy na nią usłużnie jak pies. Zęby jednak ma zaciśnięte, a szeroki uśmiech zniknął mu z twarzy. Miriam próbuje oponować, lecz Malika jest zdecydowana. Mężczyzna pokornie opuszcza miejsce i siostry siadają obok siebie. Nie mają sobie nic do powiedzenia, wszystko wiedzą bez słów. Wydawałoby się, że nic się nie stało, lecz całe towarzystwo nagle przycichło i strzela oczami na boki.

– Kiedyż w końcu przyjedzie ten twój mąż? – podniesionym głosem pyta ojciec i wszyscy wiedzą, do kogo kieruje słowa.

– Niedługo, za parę dni – szeptem odpowiada Miriam, wbijając wzrok w stół.

– *Szaa Allah!*

– Ojciec z ulgą dziękuje Bogu. – *Szaa Allah!* Powoli zebrani wstają od stołu; część zajmuje miejsca w wygodnych fotelach lub na sofie, inni wychodzą na taras, a kobiety biegiem udają się do kuchni, aby przygotować zieloną herbatę z miętą na trawienie oraz zaserwować ciastka.

Oddalam się od stołu i próbuję niepostrzeżenie opuścić towarzystwo. Sądzę, że nikogo to nie zmartwi, bo nikt nie zauważy mojego zniknięcia.

Przechodząc przez salon, zauważam w kącie fotel na biegunach, zajęty przez jakiegoś nieznanego mi młodego Araba i... moją córkę. Bujają się wysoko, co grozi w najlepszym wypadku wywrotką i siniakami. Marysia piszczy z rozbawienia i ze strachu, mężczyzna zaś wydaje z siebie gardłowe, obłeśne dźwięki. Kiedy podchodzę, przyczyna jego ekstazy staje się dla mnie jasna. Marysia siedzi okrakiem na jego udach, przodem do niego, na tak zwanego konika, a on trzyma ją za rączki. W momencie, kiedy fotel niebezpiecznie staje dęba, moja dziewczynka wygina się do tyłu i prawie dotyka głową ziemi, natomiast bujając się w drugą stronę, pada z rozpędu na krocze młodzieńca. Niewinne dziecko traktuje to jak szaloną zabawę, natomiast w wyrazie twarzy mężczyzny nie dostrzegam nic przyzwoitego. Na jego ustach gości lubieżny uśmiezek, oczy płoną dziwnym, obłąkanym ogniem, a czoło pokrył perlisty pot. Kędzierzawe włosy jeszcze bardziej się skręciły, a okrągłe, puszyste ciało faluje w rytm huśtania.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? – Podbiegam, mocno zaniepokojona i usiłuję chwycić za poręcz fotela, aby go unieruchomić. – Marysiu, już wystarczy! – krzyczę histerycznym głosem.

– Madam, o co chodzi? – Młody człowiek najwyraźniej mnie lekceważy, śmiejąc się od ucha do ucha. – Dziecko dobrze się bawi.

– Ty widzę również! – nie ściszam głosu.

– Tak, oczywiście.

– Już dość, dość tego!

Marysia z błędnym spojrzeniem nadal siedzi na kolanach obcego faceta i obejmuje go za szyję.

– Mamusiu, jeszcze trochę... – Jak zawsze odwleka moment wykonania polecenia.

– Natychmiast! Mówię coś do ciebie, córeczko! – Chwytam ją za rękę i usiłuję postawić na podłodze.

– Co się dzieje? – Tuż za plecami słyszę zniecierpliwiony głos mojego męża. – Co ty znowu wyprawiasz? – To pytanie kieruje do mnie, a nie do rozbrykanej, nieposłusznej córki.

– Co ja wyprawiam?! – nie mogę się nadziwić. – A nie twoje nieusłuchane i rozpieszczone dziecko?! Uważasz, że to dla niej dobra zabawa?

– A cóż w tym złego? – mówi, ze złością cedząc wyrazy przez zęby.

– Czy ta pozycja wydaje ci się normalna? – Wymachuję ze zdenerwowania rękami. – Głupiutka mała dziewczynka siedzi dorosłemu facetowi na fiucie!

– Nie panuję już nad językiem i Bogu dzięki, że nikt nas nie rozumie.

– Ty jesteś zboczona. – Ahmed kręci głową. – Całkiem ci odbiło.

– Ja?

– Tak! Ktoś w końcu się nią zainteresował i dziecko się cieszy. Jej matka, niestety, jest tak przemęczona albo zestresowana, albo myśli tylko o sobie, że nie ma do tego głowy. Albo i serca.

– Nie rozmawiamy o mnie, ale miło poznać twoją opinię. Mówimy, że obcy facet niezdrowo zabawia się z naszym dzieckiem.

– Szurnięta, *madznuna*, *madznuna*.

– Pokazuje kółko przy skroni, żeby wszyscy zainteresowani wiedzieli, co ma zamiar mi oznajmić. – A poza tym nie jest to ktoś z ulicy, tylko mój kuzyn, kretynko. W tym momencie chwiejąca się na nóżkach Marysia oddaje całą zawartość trzewi na mnie i na przepiękny wełniany dywan, a następnie ze strachu zaczyna płakać.

– Nadal uważasz, że była to świetna zabawa, dupku? – mówię z niekłamana satysfakcją, porywam dziecko na ręce i ociekająca wymiocinami biegnę do sypialni.

W nocy budzi mnie własne charczenie. Przecież nigdy mi się to nie zdarza! No, chyba że ktoś mnie dusi! Z przerażeniem usiłuję otworzyć oczy. Są jakby zasypane piaskiem, prawie całkiem zapuchnięte i zlepione dziwną wydzieliną. Nie wiem, co się dzieje, ale nie mogę przełknąć śliny, a język stoi mi w gardle kołkiem, prawie wypełnia usta i czuję, że za chwilę się uduszę. Dotykam warg i z przerażeniem stwierdzam, że są potwornie spuchnięte. Szum w głowie się nasila, pali mnie całe ciało, a nie tylko ręce i twarz, jak poprzedniego wieczoru. Usiłuję podnieść się na łokciu i wezwać pomocy, lecz zawroty głowy są zbyt silne i bezwładnie opadam na poduszki. Czuję jakież palące gule pod pachami i w pachwinach. Dotykam ich – są wielkości pięści, gorące, twarde i bardzo wrażliwe. Boże, czyżby to był mój

koniec?! Jestem przerażona. Serce bije mi mocno, dudni w całej klatce piersiowej, tętno chce rozerwać żyły. Łup, łup, łup – pulsuje całe moje ciało.

– Ahmmm... – bełkoczę niezrozumiale i bardzo cicho. – Ahmmm... – Czy on się w końcu obudzi?

Ile sił, a mam ich teraz naprawdę niewiele, ciągnę go za rękaw piżamy. W końcu coś do niego dotarło, zaspany obraca się w moją stronę i ze zniecierpliwieniem usiłuje się ode mnie uwolnić. Po chwili jednak rozbudza się, zapala nocną lampkę i patrzy na mnie wybałuszonymi oczami.

– Dociu – szepcze, pochylając się nade mną. – Coś ty narobiła!

Wyskakuje z łóżka i zaczyna biegać po pokoju jak obłąkany. Mężczyźni w stresie nie potrafią logicznie myśleć, zresztą nie tylko wtedy.

– Do szpitala, do szpitala – bełkoczę mało zrozumiale, lecz, Bogu dzięki, pojął, o co mi chodzi.

– Jedziemy, jedziemy! – krzyczy, biorąc mnie na ręce i wybiegając na ciemny korytarz. – Pomocy, pomocy, niech ktoś mi pomoże! – teraz już drze się na całe gardło.

Widzę zapalające się światła, słyszę trzaskanie drzwi i krzyki otaczających nas ludzi. Wszystko zasnuwa mgła, jestem coraz bardziej nieobecna.

Przestałam się denerwować, nie czuję bicia serca, słabnę, chyba umieram.

Światła latarni coraz szybciej migają mi przed półprzymkniętymi oczami. Zdaje się, że leżę na tylnym siedzeniu samochodu, który przeraźliwie piszczy na zakrętach. Jedynie ten dźwięk jeszcze do mnie dociera i boleśnie rani moje uszy.

Znów ktoś mnie rusza, wszystko boli, lecz tak jakoś dziwnie, nie dotkliwie. Słyszę swój jęk.

– *Fisa, fisa!* – jakaś kobieta krzyczy mi nad głową.

Jadę na zimnym metalowym łóżku, a jego chłód przenika całe moje napuchnięte ciało. Czuję dreszcze. Światła jarzeniówek rażą mnie, powodując wylewanie się potoku łez.

– *Barra!*

– Ktoś został wyrzucony, a nade mną pochyła się nieznana twarz. – W ostatniej chwili, dosłownie w ostatniej – mówi. – Na co czekaliście, do cholery!?! Ślepi jesteście?!



Chyba nie jest ze mną najlepiej, ale jestem już spokojna, bo trafiłam w dobre ręce.

– Nie bój się – miły głos zwraca się do mnie po angielsku. – Dostaniesz trzy dożylnie zastrzyki. Uklucia nie poczujesz, ale po jednym z nich zrobi ci się bardzo, wręcz niewyobrażalnie gorąco – spokojnie informuje, jednocześnie wkluwając mi się do żyły. Myślę, że nie może już być nic gorszego niż mój obecny stan. Powoli czuję, jak powraca mi świadomość. Słuch wyostrza się, lecz załzawione oczy jeszcze nie reagują prawidłowo. Cały pokój jest zamazany, a przebywający w nim ludzie przesuwiają się jak widma.

– Teraz – słyszę męski głos.

Co teraz? Nagle ogarnia mnie ogień. To nie jest uderzenie gorąca, jakie miewają kobiety w okresie menopauzy, nie przeżyłyby tego. Nie mogę oddychać, serce wbija mi się w gardło i ogłuszająco dudni. Usiłuję zerwać się z kozetki, chcąc uciec przed wrzątkiem sączącym się do moich płuc. Wydaję z siebie niekontrolowany pisk.

– Spokojnie! – doktor krzyczy, trzymając mnie jak w kleszczach. – Oddychaj, głęboko oddychaj!

Ktoś leży na moich drgających nogach, a lekarz trzyma mnie w pasie i swoim ciałem przyciska do zielonego prześcieradła. W ręce nadal trzyma pustą strzykawkę. Strasznie się trzęsę i nie potrafię nad tym zapanować. Nie mam pojęcia, czy oddycham, czy nie, czy bije mi serce. Gorąco rozlewa się po całym moim ciele i wyparowuje zimnym potem przez skórę. Powolutku stygnę. Odzyskuję ostrość widzenia. Widzę bladego Ahmeda stojącego w piżamie na środku gabinetu i z przerażeniem przytykającego ręce do ust. Chadidża w podomce, z przekrzywioną chustą i wymykającymi się spod niej krętymi włosami, gryząc wargi, przycupnęła na taborecie w kącie. Samirze chyba zrobiło się słabo, bo pielęgniarka zbiera ją z podłogi.

– Już dobrze – szepczę przez wyschnięte gardło i oddycham z ulgą. – Przepraszam.

Staram się uśmiechnąć, lecz chyba nie najlepiej mi to jeszcze wychodzi. Bezwiednie opuszczam głowę na twardą pryczę.

– Aleś nam napędziła strachu, Blondi – ze łzami w oczach mówi Chadidża.

Podchodzi do mnie i delikatnie gładzi po zlepionych potem włosach. Błada Samira cicho pochlupuje.

– Panie doktorze, co to było? – pyta ze złością Ahmed. – Co to, do cholery, było?!

Uderza się rękami po udach i wygląda, jakby chciał komuś w najlepszym wypadku zrobić awanturę. Jest wściekły.

– Pana małżonka musi być na coś uczulona i najwyraźniej dzisiaj się z tym zetknęła – spokojnie wyjaśnia lekarz. – Czy zdarzało się to już wcześniej? – zwraca się do mnie.

– Ależ skąd! – gorliwie zaprzeczam. – Nigdy.

– Proszę się zastanowić, może coś panią dzisiaj ukąsiło, nawet mała muszka może spowodować taki wstrząs. Co pani jadła, czego pani dotykała?

– No odpowiedz panu doktorowi na pytanie – zniecierpliwiony Ahmed mnie popędza. Czemu on tak się złości? Gdzie jego opiekuńczość, troska i miłość? Co ja takiego zrobiłam? Jest mi smutno, bardzo smutno. Łzy ciurkiem zaczynają mi płynąć z oczu.

Lekarz siada na brzegu łóżka i troskliwie bierze mnie za lodowatą, wilgotną rękę.

– Siostró, proszę przynieść pled – zwraca się do pielęgniarki. – Teraz będzie pani zimno, mogą wystąpić dreszcze, bowiem cały jad, cała trucizna wyjdzie z ciała na skórę. Pojawią się zaczerwienienia lub nawet bordowe plamy, proszę ich nie drapać i niczego już się nie bać. – Uśmiecha się życzliwie. – Wróciła pani do żywych, i to jest najważniejsze.

Widzę, jak Ahmed odwraca się plecami do mnie i lekceważąco wzrusza ramionami. Samira podbiega i obejmuje mnie za szyję. Nic nie mówi.

– Powolutku sobie pani wszystko przypomni, mamy czas. I tak wcześniej pani nie wypuszczę jak za godzinę, może dwie – lekarz kieruje te słowa bardziej do obrażonego na cały świat Ahmeda niż do mnie. – Teraz, niestety, muszę zająć się resztą chorych. W razie czego proszę mnie wezwać. Pielęgniarka jest w dyżurce na korytarzu.

– Może chili? – nagle przypominam sobie okropne pieczenie rąk i oczu, które zaczęło się przy przygotowywaniu kolacji.

– Proszę?

– No chili, wy chyba nazywacie tę paprykę *harissa*– tłumacząc, widząc niezrozumienie.

– Zjadła pani za dużo? Dała pani radę? – Lekarz robi zabawną minę wyrażającą obrzydzenie i dezaprobatę.

– Nie, nie! Chyba splonęłabym żywcem. Obierałam, czyściłam, myłam. Była tego chyba cała reklamówka – sprostowuję. – Tak, to musi być to, nic innego.

– Nie używałaś rękawiczek?! – dziwi się Ahmed. – Dlaczego nie założyłaś gumowych rękawiczek?! – krzyczy mój mąż, uważając mnie za skończoną idiotkę.

Doktor podnosi brwi i pytająco pochyla głowę.

– Bo nie było – wyjaśniam. – Pytałam, ale nie dostałam. Dla-te-go! – na koniec wrzeszczę na cały gabinet, akcentując każdą sylabę.

– Unikać, na drugi raz unikać – spokojnie mówi lekarz, poklepując mnie po plecach. – Szkoda by było takiej pięknej kobiety.

Ahmed patrzy na mnie z pogardą, a mego wybawcę, jakby mógł, zabiłby wzrokiem. Oszałał! Odbiło mu?! Nie mogę uwierzyć. To jakiś obłąd – on jest zazdrosny nawet o lekarza, który uratował mi życie.

– Tylko same kłopoty z tą babą – szepcze pod nosem, wychodząc z gabinetu.

Do domu pojechał taksówką. W piżamie. A my po dwóch godzinach wracamy samochodem Samiry.

## Farma

Rano, przez sen, słyszę większy niż normalnie zgielk i zamieszanie. Co się dzieje? Przecież tutaj nikt nie wstaje skoro świt.

– Ahmed! Blondi! – słyszę wołanie przez okno. Jeszcze chwilę się ociągam, ale w końcu biegnę niepewnym krokiem w stronę balkonu.

– Co się dzieje, czyście powariowali? Jest dopiero ósma!

– Zbierajcie się, przecież dzisiaj piątek! Wolne! – krzyczy Miriam, zadzierając głowę i osłaniając oczy dłonią, żeby na mnie spojrzeć mimo palących promieni słońca.

Jakie wolne? Znowu trzeba będzie gotować, zmywać, sprzątać i Bóg wie co jeszcze. One chyba tak się cieszą, bo mężczyźni nie mają pretekstu, aby się wyrwać i przynajmniej raz w tygodniu spędzą z nimi cały dzień.

– Jedziemy na farmę! Będzie super! – Miriam nie daje za wygraną. – Chodźcie coś pomóc, lenie!

Całkiem już rozbudzona obracam się na pięcie i kieruję w stronę łóżka i śpiącego Ahmeda. Przestał się do mnie odzywać po incydencie z papryką. Tak jakby to była moja wina, jakbym zrobiła to celowo. To już trwa jakiś czas, długo, za długo. Znika na całe dni, a jak się pojawia w domu, omija mnie łukiem. Późno w nocy przychodzi do sypialni, aby się tylko przespać. Może dzisiaj, jak spędzimy cały dzień razem, wszystko wróci do normy? Chciałabym, aby tak się stało, bo boję się jego wrogości.

– Ahmed, wstawaj, zbieramy się na farmę – szepczę mu do ucha, prawie dotykając go wargami.

– Mamy czas – mruczy i obraca się na drugi bok. Nie chce moich czułości.

– Oni jeszcze przez parę godzin będą się kotłować w kuchni i na podwórku.

Będą bezsensownie biegać, przynosząc po jednej rzeczy i zapominając o najważniejszych. To nie ma sensu.

– A mogę się jeszcze położyć z tobą? – niezrażona mruczę jak kotka. – Mmmm. – Jak chcesz.

Co to, do cholery, znaczy, jak chcesz. To on zawsze chciał, a ja nie mogłam się od niego opędzić! Jestem obrażona i jednocześnie zła.

– Hej, panie mężu! – mówię do jego pleców. – Czy czasami nie zapomina pan o jakichś obowiązkach wobec żony? Co z tobą, Ahmed? – pytam już rozżalonym głosem. – Co ja takiego ci zrobiłam?

– Nic. – Odwraca się, wzdychając. – Po prostu coś się zmieniło – mówi twardym głosem. Nie słyszę w nim smutku, lecz jakieś wyobcowanie i niechęć.

– Co takiego? Może uda się to naprawić.

– Ty tutaj nie pasujesz, Blondi – oświadcza. Nigdy tak mnie nie nazywał.

– Jak to nie pasuję? – oburzam się nie na żarty. – Przecież mam świetny kontakt z twoimi siostrami, nawet Chadidża mnie zaakceptowała.

– Może się myłę – stwierdza nieprzekonująco.

Jak to dobrze, że przyjechaliliśmy tylko w odwiedziny. Gdybyśmy tutaj dłużej posiedzieli, to byłby definitywny koniec naszego małżeństwa. Ahmed po raz pierwszy od przyjazdu jednak przypomina sobie, że jest mężczyzną i nieoczekiwanie po tak oziębłej rozmowie przyciąga mnie do siebie. Czuję jego podniecenie i gotowość i ogarnia mnie błogie ciepło pożądania.

– Oj, Blondi, Blondi – szepcze mi do ucha. Zawsze czuły i delikatny w takich sytuacjach, teraz bierze mnie za kark, jak kota lub szczenię, i przewraca na brzuch. Nie podoba mi się ta pozycja. Próbuję się z niej wywobodzić, lecz przygnieciona do łóżka nie mam najmniejszej możliwości ruchu. Wchodzi we mnie ostro i bez żadnych wstępów. Trwa to tak krótko, że nie zdążyłam nawet zaprotestować. Nie wiem, co się dzieje. Mój kochany mąż po prostu mnie zaliczył. Po krótkiej chwili odpycha mnie, wstaje i jak gdyby nigdy nic idzie do łazienki.

Leżę samotnie zwinięta w kłębek, zszokowana, a w głowie mam pustkę. Nie jestem w stanie się ruszyć.

– Ty rozpustnico! – wrzeszczy po wyjściu z łazienki. – Będziesz tak cały dzień leżeć z gołym zadem na wierzchu?! – Zarzuca na mnie pled, który zakrywa mnie z głową. Trzaskają drzwi.

Nie mam już ochoty na żadne wyjazdy, farmę czy towarzystwo jego rodziny. Chciałabym stąd uciec. Bezpieczny półmrok otula moje ciało wstrząsane cichym łkaniem. Wypiam w tej samej pozycji.

– Mamusiu, mamuniu! – Marysia ciągnie mnie z całej siły za rękę. – Wstawaj, wstawaj prędko, już jedziemy! – wykrzykuje podniecona. – Co ty jeszcze robisz w łóżku?! Wszyscy cię szukają!

– Ja... już, już. – Nie chcę dziecku robić przykrości, lecz nie jest łatwo pozbierać obolałe ciało, a tym bardziej zranioną duszę. – Leć na dół, zejść za chwileczkę.

Marysia wypada z pokoju jak wiatr, a ja noga za nogą ciągnę się do łazienki. Kręci mi się w głowie i ledwo mogę utrzymać pion. Moje odbicie w lustrze przeraża. Skośnione, tłuste włosy, zapuchnięte oczy i blade jak kreda policzki. Nie doprowadzę się do porządku w ciągu pięciu minut, więc rezygnuję z rzeczy niemożliwych. Biorę szybki, letni prysznic, narzucam sukienkę, zakładam przeciwsłoneczne okulary i biegnę na podwórze, skąd dochodzą podniecone głosy.

Pick-upy i wielkie luksusowe samochody stoją z zapalonymi silnikami, chłodząc swoje wnętrza i czekając na rozlokowanie się pasażerów. Również to nie jest tutaj łatwe. Gwar jest taki, że nie można się połapać, co i kto mówi, nie wspominając już o sensie wypowiedzi.

Dzieciarnia wspina się na pakę jednego z półciężarowych samochodów. Leżą tam materace, kanistry z wodą oraz jedzenie, znowu w ilości mogącej zadowolić pluton wojska. Widzę Marysię, wciąganą za ręce i sukienkę przez pozostałych pięcio- czy sześciolatków.

– Zaraz, zaraz – krzyczę, podbiegając do nich. – A ty dokąd, moja panienko?

Próbuję ją odciągnąć od auta, lecz reszta nie ma zamiaru jej puścić. Przecież takie małe dziecko nie będzie jechało na pace otwartej ciężarówki. Tym można przewozić towary, zwierzęta, i to przywiązane, ale nie ludzi.

– Ahmed! – krzyczę, rozglądając się dookoła. Jak zawsze szukam u niego wsparcia i pomocy.

– Co ty wyprawiasz? – słyszę za sobą bardziej jego syk niż szept.

– Dzieciom nie wolno jeździć na pace otwartego samochodu ciężarowego – tłumaczę, wymachując rękami. Przecież on to wszystko wie i jeszcze parę tygodni temu skrupulatnie przestrzegał zasad bezpieczeństwa. Nawet był przewrażliwiony na tym punkcie.

– Tutaj obowiązują inne reguły – mówi rozwścieczony. – Przy tej ilości dzieci trzeba by wynajmować autokar, żeby pojechać z rodziną na zieloną trawkę albo do zoo czy nad morze. Daj już spokój! – kończy, wrzucając Marysię jak piłkę na materace.

– Coś ci się tu stało, słońce przygrzało zanadto?! – Teraz walczę jak samica o swoje małe. – Gównu mnie obchodzi, że rozmnażacie się jak króliki i w każdym domu jest małe przedszkole. To jest moja córka i nie wiem, czy pamiętasz, ale również twoja. Jest tylko jedna jedyna i nie mam ochoty jej stracić – drę się na całe gardło.

Ten idiota mój mąż znowu kręci kółka na czole, oznajmiając wszystkim, że jestem szalona.

– Nie mam ochoty jej zeskrobywać żyłką z asfaltu, czy dociera to do ciebie!?! – krzyczę, równocześnie wdrapując się na platformę i usiłując wydostać stamtąd małą.

– To możecie iść obie piechotą – oświadcza ze złym błyskiem w oku, sarkastycznie się śmiejąc.

Miriam wprawdzie nie zrozumiała z prowadzonej po polsku rozmowy ani słowa, lecz wyczuwa intuicyjnie, o co chodzi.

– Chodźcie już, chodźcie do naszego wozu. – Popycha mnie z wrzeszczącą i zapierającą się Marysią w stronę ogromnej czarnej limuzyny. – Zmieścimy się, spokojnie, tylko bez nerwów. *Jalla, jalla!* – wykrzykuje do wszystkich i karawana powoli wytacza się z zatłoczonego podjazdu.

Jedziemy już tak długo, że zdążyłam się uspokoić. Marysia, zawiedziona przenosinami do zwykłego samochodu, pochlipuje z cicha i drzemie na siedząco, nie dając się nawet dotknąć. Monotonny monolog Miriam i

kołysanie samochodu usypiają. Tłumaczy mi, że jazda tyle trwa, lecz warto się pomęczyć, bo najpiękniejsze tereny zaczynają się prawie sto kilometrów za stolicą. Opowiada mi o kraju i jego bogactwach. Gdy czegoś nie rozumiem, wyjaśnia mi na migi, a po wyrazie jej twarzy odgaduję, czy coś jest dobre czy złe.

Ziemi mają pod dostatkiem i nie jest ona dla nikogo rarytasem – no chyba że znajdują się na niej złoża ropy. Taka jest już coś warta. Pozostałą można kupić za grosze. Rolników jest niewielu. Mało kto chce wrywać ziemię pustyni i zmagać się z przeciwnościami losu pod palącymi promieniami słońca. Są to chyba najbiedniejsi ludzie w tym kraju. Mijamy farmy, lecz są to raczej lepianki bądź domki sklecone z blachy, ogrodzone połamanymi kijkami, drutem kolczastym lub krzewami opuncji. Taki arabski żywopłot z kaktusów. Żałosny widok.

Nurtuje mnie, jaką to farmę za chwilę zobaczę. Sama nazwa kojarzy mi się z amerykańskimi westernami. Na farmie powinno się hodować konie, krowy, uprawiać rolę. Stawia się tam też dom, mam nadzieję, że nie z blachy falistej.

Miriam niezmiernie snuje swoją opowieść. Mówi, że czasami wyróżniający się obywatele dostają działkę jako premię od państwa. Rodziną farmę dostała Malika, ale jako że kobieta nic nie może posiadać na własność, w papierach zapisana jest na Ahmeda. Taka farma to jakby arabska wersja naszej weekendowej działki czy daczki. O ile ta miałaby parę hektarów. Powoli dochodzi do mnie treść wypowiedzi.

– Co ty mówisz?! – Podskakuję, całkowicie już rozbudzona. Uderzam głową o sufit samochodu, aż mąż Miriam zaniepokojony obraca się w naszą stronę.

– *Afuan, afuan!* – krzyczę przeprasza ją. On uśmiecha się tylko pod nosem i wraca do prowadzenia. Miły z niego gość.

– Nie ekscytuj się tak – ostrzega Miriam. – Pogadamy, jak przyjedziemy, i zobaczysz, co to za ruina.

– To mówisz, że jest tak źle – wdycham zawiedzioną. – Mój Boże, taki kawał ziemi, ile by tutaj można zrobić?! – Wyrzucam ręce do góry i łapię się na tym, że zaczynam gestykulować jak prawdziwy człowiek Wschodu.



– Przed wyjazdem do Polski Ahmed czerpał z niej niezłe zyski, choć nie poczuwa się do bycia rolnikiem – spokojnie relacjonuje dalej Miriam. – Mieszkał w mieście, a ludzie za niego robili, on zaś tylko nadzorował, ale najważniejsze, że miał pomysł. I to całkiem niezły, lecz po jego wyjeździe wszystko szlag trafił.

– A co robił, uprawiał haszysz? – żartuję.

– Ty chyba naprawdę jesteś stuknięta – obrusza się i spluwa przez lewe ramię. – Nawet nie mów takich rzeczy! – unosi się gniewem spokojna dotychczas Miriam.

– Przecież to był żart, głupi żart. – Z uśmiechem na ustach próbuję załagodzić sytuację. Jeśli Miriam się na mnie obrazi, to zostaną tutaj samiutka jak palec.

– Nie żartuj sobie w ten sposób – ostrzega mnie, surowo spoglądając. – Jeszcze ktoś usłyszy i nieszczęście gotowe.

– Nic nie rozumiem...

– Bo ty, Blondi, jeszcze w ogóle nic nie rozumiesz i musisz naprawdę bardziej uważać.

– Ale to był niewinny dowcip – jęczę cicho już całkiem załamana.

– Może kogoś kosztować głowę. Za uprawianie haszu, posiadanie czy handel narkotykami grozi kara śmierci. Bez procesu. A chętnych do pomówienia znalazłoby się sporo.

Otwieram usta jak dziecko.

– Jasne?! – pyta, podnosząc brwi. – Czy teraz się rozumiemy?

Na koniec i ja siarczyście pluję na prawo i lewo. Rozglądam się dookoła. Nie miał kto podsłuchać naszej rozmowy. Bogu dzięki.

– To co on tam uprawiał? – szeptem ponawiam pytanie.

– Truskawki, głupolko, tylko truskawki – rozbrojona Miriam wybucha śmiechem.

Powoli kurz z drogi opada i moim oczom ukazuje się okazały szary bungalow. Parterowy budynek czasy świetności ma dawno za sobą, ale nadal wygląda imponująco. Szerokiego wejścia bronią ciężkie drewniane żaluzje w ciemnobrązowym kolorze. Takie same zakrywają wielkie okna. Wchodzi się

przez taras, pokryty kiedyś łososiowym lastryko do złudzenia przypominającym marmur. Mężczyźni rzucają się do kłódek i korb, aby otworzyć podwoje. Chłopcy prędko rozpalają grilla. Czyżby tak bardzo zgłodnieli, że zamiast najpierw się rozpakować, już myślą o jedzeniu? Dzieciaki wyskakują z ciężarówki, a moja córka z obłędem w oczach wali małymi rączkami w szybę samochodu, chcąc się wydostać. Kiedy otwieram drzwi, wypada na zewnątrz, nurkując kolanami i nosem w piaszczystej drodze.

– Teraz lepiej zatrzymaj ją przy sobie przez chwilę – krzyczy Ahmed. – Najpierw musimy wykurzyć skorpiony i węże, bo oczywiście nikomu nie chciało się wcześniej tego zrobić.

Widzę, że jest wściekły, lecz tym razem Bogu dzięki nie na mnie. Marysia ryczy na pełny regulator i nie ma sposobu, by ją przekonać, aby zechciała chwilkę zaczekać.

– Ciekawa jestem, co mam jej powiedzieć?! Ahmed! – wołam bezradnie. – Dlaczego reszta dzieciaków goni dookoła i nikt im tego nie zabrania?

– A dlaczego one jechały na pace, a Marysia nie? – odpowiada nieco złośliwie, ale głos ma już normalny, jakby nic się nie stało. – Jeśli ty nie możesz sobie poradzić z jedną małą dziewczynką, to jak zakazać czegoś takiej bandzie szczeniaków? – Uśmiecha się pod nosem, ocierając pot z czoła. Jest niesamowicie gorąco. Musi być ponad trzydzieści stopni w cieniu.

– Marysiu, Marysiu, koteczku – zaczynam podstępem. Natężenie dźwięków wydobywających się z jej gardła nie słabnie. – Mam dla ciebie coś specjalnego. – Robi się trochę ciszej. – Oni tego nie dostaną. – Zapłakane oczka zwracają się w moją stronę.

– A co?

– Mama weźmie cię na ręce i obejdziemy cały dom dookoła, dobrze? – Widzę lekkie wahanie, więc kuję żelazo, póki gorące. – Może znajdziemy jakiś skarb? – Już jest moja. – Trzymaj lizaka i w drogę.

Dom jest ogromny. Dobrze, że wrzuciłam do torby skórzane adidasy, bo teraz zadowolona zmieniam obuwie i ruszamy na zwiady. Wiem jedno, mogłabym tutaj mieszkać. Oczywiście po uprzednim wypędzeniu skorpionów i innego robactwa. Dookoła domu prowadzi szeroka na prawie półtora metra ścieżka wyłożona tym samym lastryko co taras. Przez lata zarosła krzewami i

trawą, które teraz w lecie całkowicie wyschły i łamią się z trzaskiem. Na tyłach budynku urządzono małe patio, do którego wchodzi się przez bramę w otaczającym je murze. Na środku stoi wyschnięta mała fontanna, w kącie kamienny stół z dwiema długimi ławami, a po drugiej stronie postawiono grilla z czerwonej cegły. Wszystko jest osłonięte rusztowaniem z listewek, pełniącym rolę baldachimu, po którym niemrawo pnie się zdziczała winna latorośl. Przynajmniej na niej zostało parę zielonych zakurzonych listków. Z domu do patio można wejść przez szerokie drzwi, identyczne jak te znajdujące się od frontu. Za nimi zapewne musi być kuchnia, ale na razie są jeszcze zamknięte, choć słyszę już głosy dochodzące ze środka. Czuję też dym. Ruszamy na dalszy obchód, nie chcąc natknąć się na jakiegoś gada uciekającego w popłochu przez szparę pod drzwiami.

– Docia, gdzie jesteś? – słyszę głos Ahmeda za murem ogrodzenia. – Nic cię nie użarło?

Obracam się i biegnę w jego kierunku, z przerażeniem patrząc pod nogi.

– Tutaj, wszystko w porządku.

Podbiegam do niego i podekscytowana zarzucam mu ręce na szyję.

Marysia wisi na mnie jak bombka na choince.

– Piękny ten dom – szepczę, wspinając się na palce i chcąc go pocałować.

Jego wargi smakują tak jak w Polsce i od razu zapominam o wszystkich nieprzyjemnościach, które mnie tutaj spotkały. Ahmed tuli mnie do siebie, a ja czuję jego podniecenie. Zawsze zadziwiała mnie szybkość jego reakcji oraz możliwości. Wystarczyło jedno muśnięcie i był gotów. Tak bardzo go pragnę, czulego, zakochanego, oddanego. Wspólnie obejmując Marysię, lgniemy do siebie. Kręci mi się w głowie.

– Już jest bezpiecznie – mówi zduszonym głosem. – Marysia, zmykaj do dzieci. Już, już. – Stawia ją na ziemi i klepie delikatnie w pupę.

Nie mogę oddychać, przed oczami mam mroczki. Nie wiem, czy to z pożądania, czy z upału, a może z jednego i drugiego. Gdzie my tutaj przy takiej hałastrze ludzi możemy być sami?

– Chodź, pokażę ci coś. Spodoba ci się – szepcze i ciągnie mnie za rękę, sprowadzając ze ścieżki na piaszczyste pole.

Biegniemy niczym obłąkani. Potykam się o jakieś niewidoczne kamienie i zaplątuję w wyschnięte trawy. Moim oczom ukazuje się betonowy budynek bez okien i drzwi, wyglądający jak klocek. Ahmed zmierza w jego kierunku. W pewnym momencie bierze mnie na ręce i pędzi na złamanie karku. Pot za-  
lewa mu oczy, a ja scałowuję go z jego zakurzonej twarzy. Okazuje się, że  
budowla ma schody biegnące wzdłuż bocznej ściany. U jej podnóża Ahmed  
stawia mnie na nogi i trzymając się za ręce, pokonujemy piętro po dwa  
stopnie. Zdyszani wpadamy na dach. Nie widzę, jaki widok rozpościera się  
dookoła, bo cały świat przesłania mi Ahmed. Przyklękamy na płaskiej płycie  
dachu, ocierając się o siebie i zdzierając z siebie ubranie. Mój mąż znów jest  
sobą. Czuję jego ręce na całym moim ciele, długie palce zagłębiają się w mo-  
je najsłabsze zakamarki, łaskoczą i drażnią, doprowadzając do szaleństwa.  
Raz są delikatne i łagodne, innym razem brutalnie zaciskają się na moich  
piersiach. Krzyczę, pragnę, aby już we mnie wszedł, lecz on się nie spieszy,  
choć jest gwałtowny i podniecony do granic możliwości. Kiedy dotykam  
jego członka, jęczy, a drżenie ogarnia całe jego ciało. Uwielbiam delikatnie  
go pieścić, jest gładki jak aksamit i twardy jak stal. Pochylam się i biorę go w  
usta, smakując i łaskocząc językiem. Czuję, że już dłużej nie wytrzymamy.  
Ahmed kładzie się na chropawym betonie i sadza mnie na sobie. Jestem tak  
gorąca i mokra, że wślizguje się we mnie niepostrzeżenie. Czuję pulsowanie i  
sama poddaję się rytmowi. Drobne kamyczki wbijają się w kolana, lecz nie  
zwracam na to najmniejszej uwagi. Sklejone włosy oplatają mi szyję, a pot  
kapie z piersi prosto do jego ust, ssących je delikatnie. W tej samej chwili  
krzyczymy spazmatycznie wśród bezludnych połaci piachu. Znika otaczający  
nas świat, chaszcze i palące słońce. I wszystkie nieporozumienia. Zmęczona i  
szczęśliwa kładę się obok mojego męża. Z kolan drobną strużką spływa mi  
krew, którą Ahmed delikatnie scałowuje.

– Przepraszam, Dociu, ostatnio zachowywałem się jak idiota – szepcze mi  
do ucha. – To dlatego, że tak długo mnie tutaj nie było. Zachłysnąłem się  
przeszłością.

– Ja też przepraszam. – Odwracam się w jego kierunku i patrzę mu prosto  
w oczy. – Wiele rzeczy jest dla mnie całkiem nowych, wielu nie rozumiem –  
tłumaczę. – Chyba rzeczywiście nie do końca przygotowałam się na ten

wyjazd. Za mało czytałam o zwyczajach i kulturze... Ale w życiu zawsze jest inaczej niż w naukowych opracowaniach. Przede wszystkim ciekawiej.

– Daj spokój – uśmiecha się. – Nic nie zawiniłaś, to ja jestem osłem.

– Zrozum, kochanie ty moje, po prostu zawsze zachowywałeś się tak jak wszyscy, których znam, i myślałam, że tak samo myślisz i czujesz – usiłuję mu przedstawić przyczynę mojego szoku.

– Docia, ja stąd wyjechałem, bo nigdy mi nie pasowały te dumne średniowieczne zwyczaje i cała ta tradycja.

– To dlaczego?

– Nie wiem. Zgłupiałem – przyznaje, robiąc śmieszna, niby-smutną minę.

– Wiesz, dawni koledzy, jestem dość podatny...

– Przestań już, przecież nie jesteś dzieckiem, masz swój rozum – oburzam się, przypominając sobie Miecia i wszystkich kolesi z Polski. – Ja tylko pragnę, żebyś ty chciał być ze mną – płaczę się, próbując naświetlić moje największe obawy. – Zauważyłam, że wasi mężczyźni unikają kobiet, a szczególnie własnych żon. Może z wyjątkiem momentu robienia im dzieci, co stanowi chyba jedyny bliski kontakt.

– Dlatego też nie chciałem mieć żony Arabki, żony nie z własnej woli, żony bez miłości, bez uczucia, które ponoć ma przyjść później. Ale później przeważnie jest tylko gorzej. – Zamyśla się nad czymś i smutno wzdycha.

Leżymy nadzy na rozgrzanym dachu i patrzymy w błękit nieba. Słońce wysuszyło pot na naszych ciałach i gdy się nie poruszamy, to nawet przyjemnie grzeje.

– Słuchaj, dostaniemy udaru i tym razem oboje wylądujemy w szpitalu – mówi Ahmed, podpierając się na łokciu. – Tobie odpadnie nosek, a mnie „mały Ahmedzik”. – Wskazuje swój wielki penis, który znów niechcący doprowadziłam do wzwodu.

– No wypraszam sobie – śmieję się, kokieteryjnie odrzucając włosy z twarzy. – Tylko nie mały.

Ponownie zbliżamy się do siebie, lecz tym razem spokojnie zanurzamy się w rozkoszy, szepcząc czule słówka i wielokrotnie wyznając sobie dozgonną miłość.

Gdy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, objęci i szczęśliwi wracamy do reszty towarzystwa. Nie jest tak jak dawniej w Polsce, jest jak nigdy dotąd. W końcu przełamaliśmy barierę i zaczęliśmy sobie tłumaczyć nasze odczucia i oczekiwania. Tak blisko ze sobą jeszcze nie byliśmy. Tutaj nie chodzi przecież tylko o seks – najważniejsza jest jedność dusz. Teraz się o tym przekonałam.

Dzieci śpią na materacach rozłożonych w salonie, a z nimi nasza Marysia. Mężczyźni grają w warcaby lub kulki, niektórzy śpią, a kobiety rozłożyły się na wiklinowych matach w cieniu na wpół uschniętej akacji. Plotkują. Oj, mają dzisiaj o czym i o kim!

– Chodź, pokażę ci dom – mówi Ahmed, biorąc mnie za rękę.

– Super. – Bezwstydnie ocieram się o niego biodrem, lecz tym razem nie odsuwa mnie ani się nie oburza.

Główne wejście prowadzi prosto do ponadtrzydziestometrowego salonu. Na podłodze zakurzone lastryko, wybielone ściany dawno straciły już świeżość. Pod sufitem wiszą wielkie pajęczyny, które nikomu nie przeszkadzają. Nic cennego tutaj nie ma, może za wyjątkiem 42-calowego telewizora i wieży Sony. Po kątach zalegają jakieś stare meble i połamane krzesła.

Przeskakujemy między leżącymi i wchodzimy do kolejnych pokoi, które mają wejścia z głównego salonu. Każdy ma co najmniej dwadzieścia metrów i wielkie okno. W ścianach zieją pustką dziury po klimatyzatorach.

– Ukradli. – Ahmed pokazuje palcem, podążając za moim wzrokiem. – Trzeba zatrudnić porządniejszego gafira.

– To cały czas jest tutaj stróż? – dziwię się, widząc stan domu. – Czego można jeszcze pilnować? Wystarczy sprzęt audio przewieźć do domu i zostają puste ściany.

– A ty myślisz, że darmowy materiał budowlany nie znajdzie zainteresowania na rynku wtórnym? – śmieje się. – Najgorszy problem z tymi nielegalnymi emigrantami. Taki rozbierze ci ścianę domu i zbuduje sobie lepiankę, okradnie czy nawet zamorduje, ale szukaj wiatru w polu, bo faktycznie go nie ma, nie przekroczył granicy, nie ma paszportu, nigdzie nie jest zarejestrowany. Tutaj potrzeba z pięciu gafirów.

W kuchni jest wszystko, co niezbędne w gospodarstwie – bojler, kuchenka z piekarnikiem i lodówka – ale sprzęty po prostu się rozsypują. Łazienka wygląda znacznie lepiej, może po prostu nikt z niej nie korzystał; glazura w brązowe łatki nigdzie nie jest pęknięta, a płytki na podłodze nie mają nawet rysy. Prysznic lśni bielą, a ubikacja tylko trochę przecieka.

– Wszyscy korzystają z drugiej, która jest na zewnątrz. Po prostu bliżej – wyjaśnia, widząc zdziwienie w moich szeroko otwartych oczach. – Nie radzę ci do niej wchodzić. Omijaj z daleka! – śmieje się.

– A widziałeś patio z tyłu? – pytam, jakbym to ja oprowadzała Ahmeda po moim domu. – Jest piękne, wspaniałe. Chciałabym siedzieć i zrywać dojrzałe winogrona rosnące nad głową. – Ciągnę go za rękę do tylnego wyjścia z kuchni.

– To również moje ulubione miejsce – mówi.

Trzymając się za ręce, siadamy przy zakurczonym kamiennym stole. Patrzymy sobie głęboko w oczy. Nie rozumiemy, jak to się stało, że tak się od siebie oddaliliśmy, lecz Bogu dzięki, to już przeszłość.

– Nigdy więcej – szepczemy jednocześnie, pochylając się do siebie i czule całując.

– Za tydzień, moja księżniczko, zapraszam cię tutaj na kolację – szepcze Ahmed.

– To wiesz co, daj mi jakąś miotłę, wiadro, szmaty, ja już dzisiaj trochę odkurzę. – Zrywam się gotowa do pracy.

– Kociu, daj spokój. Tutaj potrzeba całej armii ludzi. Ja to wszystko zorganizuję.

– Mmmm – jęczę zawiedziona. – Ale ja chcę już dzisiaj, zaraz, teraz, natychmiast.

– Jak ci się tutaj tak podoba, to jutro pożyczę auto od Maliki i przyjedziemy sami. Będiesz dowodzić ludźmi w domu, a ja zobaczę, co da się uratować w polu. Może jeszcze możemy coś zdziałać? – Sadza mnie sobie na kolanach, mocno obejmując ramionami w pasie.

Całe popołudnie spędzamy na naszym patio, tuląc się do siebie i całując.

Zmierzch zastaje nas leżących na kamiennej ławie. Spleceni w uścisku śpiemy jak dzieci, odpoczywając po burzliwym dniu.

– Kolacja, czy jest ktoś głodny w tym towarzystwie?! – słyszę nawoływania Miriam.

– Ahmed, Ahmed. – Delikatnie budzę męża. – Już wołają do stołu, a ja nic im nie pomogłam. Będą się na mnie wściekać.

– No to leć do nich, a ja zaraz przyjdę.

Pędem wpadam do łazienki, biorę szybki, letni prysznic, bo kleję się od potu i kurzu. Wycieram się papierowymi ręcznikami i z niepokojem obserwuję zaczerwienione od słońca ramiona i twarz.

– Blondi, gdzie wyście się zapodziali?! – woła z kuchni rozłoszczona Malika. – Może oni wrócili do miasta? Czy ktoś ich w ogóle widział?

– Gdzieś tu muszą być – tłumaczy spokojnie Miriam. – Może dziewczyna ogląda swoje nowe włosy, w Polsce chyba takich nie miała.

– Jestem już, jestem! – krzyczę od wejścia. – Rzeczywiście jest co podziwiać. Strasznie mi się tutaj podoba. Okrutnie! – usiłuję opisać im moje odczucia.

– A cóż takiego wspaniałego widzisz w tej zapyziałej dziurze, Blondi? – zde gustowana Malika krzywi usta. – Chyba że lubisz piach i wyschnięte krzaki, a może węże i skorpiony tak ci się podobają?

– Wszystko, moja kochana, wszystko jest cudowne. Tylko troszkę zaniedbane. – Biorę wielką michę jakiegoś zielska polanego oliwą i cytryną i wynoszę na taras. – Chciałam już dziś zabrać się za sprzątanie, ale Ahmed mi nie pozwolił.

– No pewnie, sama, z motyką na słońce. – Malika kiwa z politowaniem głową. – Tu potrzeba całej armii ludzi...

– Ahmed dosłownie to samo powiedział – przerywam jej w pół zdania.

– No więc widzisz. – Zadowolona, że ma rację, wymownie macha ręką. – Matyldaaaaa!!! – nagle ryczy na całe gardło. – Matylda, gdzie ty się płaczesz, ofiaro losu?!

– Co za Matylda? – pytam cicho.

– Moja służąca, nie wiesz?



– Aha, zapomniałam, że tak ma na imię. Widziałam ją przy stole na zewnątrz. Rozkłada sztuce i talerze – próbuję usprawiedliwić biedną dziewczynę.

Matylda to nie służąca czy gosposia, raczej niewolnica. Malika przywiozła ją sobie z ostatniej placówki dyplomatycznej, gdzie była ambasadorem. Rezydowała w jednym z krajów Afryki Środkowej, w którym głodne dzieci mają wielkie, rozdęte brzuszki, a szczęściarze, którzy dostali jakąś pracę, robią wszystko za miskę pożywienia. Matylda jest jej dozgonnie wdzięczna i wierna jak pies. Tak też jest traktowana.

Czarnoskóra dziewczyna z rozwianym włosom wpada do kuchni i zgięta w pół mamrocze przeprosiny w kierunku Maliki. Ta prawie rzuca jej półmisek z pomidorami, a on, na nieszczęście, wyslizguje się z mokrych rąk Matyldy i rozbija na kamiennej posadzce. W tej samej chwili Malika odwijają się i uderza służącą na odlew w twarz.

– Ty niezdar! – krzyczy. – Teraz to sprzątaj, nikt w tym chlewie nie będzie z tobą siedział. – Wychodzi z kuchni, kopiąc na wszystkie strony resztki szkła i pożywienia. Matylda cichutko pochlipuje.

– Co ją ugryzło? – pytam Miriam, która całą scenę przeczekwała w kącie i udaje, że nic się nie wydarzyło.

– To jest cała Malika – wzdycha. – Uważaj na nią, mała. Raz do rany przyłoż, a za moment gotowa do poderżnięcia gardła – obrazowo opisuje charakter siostry. – Oczywiście nie dosłownie.

– Ale jaki jest powód? Musi jakiś być – dopytuję, chcąc zrozumieć psychikę kobiety, która tak mi zaimponowała w pierwszej chwili, teraz zaś jestem totalnie zszokowana jej zachowaniem.

– Biedna Matylda najmniej z tym miała wspólnego, w niczym nie zawiniła, jak zawsze zresztą.

– No to kto lub co?

– Malika, Malika. – Miriam teatralnie wzdycha. – Taka niezależna i samodzielna, ale równocześnie samotna i tym samym niemogąca znieść cudzego szczęścia. Wszystko jest okej, gdy ktoś jest załamany, słaby, potyka się, ona wtedy zawsze pomoże. Tego nie można jej odmówić. – Dla podkreślenia prawdziwości swoich słów kiwa na boki głową i całuje opuszki palców. –

Kiedy natomiast wszystko układa się jak najlepiej, Malika czuje się zbędna, odrzucona, nikomu niepotrzebna i wtedy wybucha. W takim momencie lepiej nie być na linii strzału – śmieje się pod nosem.

– A kto tym razem zaznał za dużo szczęścia? – Patrzę na nią, figlarnie podnosząc brwi.

– Oj, Blondi, to emanuje z całej twojej postaci. Ja bardzo się cieszę. Miłość to wspaniała rzecz.

Zawstydzona jak nastolatka, czuję oblewający mnie rumieniec i wbijam oczy w podłogę.

– Co będzie na kolację? Umieram z głodu – zmieniam temat.

– Chyba jeszcze czegoś takiego nie jadłaś. Nazywa się bordin i jest to danie tureckie albo arabskie. My o to nie będziemy się kłócić.

– Nigdy nie słyszałam takiej nazwy – przyznaję zaciekawiona. – Coś z mięsa?

– Najpierw kopiesz w ziemi dołek – objaśnia rozbawiona. Zaśmiałam się, wyobrażając sobie, że potem z tego dołka wyjmuję robaki, kładę je na zielsku z oliwą i wcinam na surowo. Samo zdrowie. – No co cię tak śmieszy? Przygotowujesz palenisko w głębokiej dziurze. Kiedy węgiel drzewny się wypali, możesz dorzucić parę wonnych gałązek ziół lub specjalnych drzew iglastych i nad żarem wieszasz ponabijane na długie szpikulce kawałki mięsa. Najlepiej baraninę, ale bordin robią też z wielbłądziny. Nawet lepsze. My mamy jagnięcinę. – Mlaska językiem o podniebienie, podkreślając, że to danie palce lizać. – Komin nakrywa się kawałkiem grubej blachy lub specjalną przykrywą, przysypuje ziemią i pozostaje już tylko czekanie. Trzeba być cierpliwym, bo aby mięso zmiękło, nieraz musi się wędzić dwie lub trzy godziny. Nasze już się robi co najmniej od czterech, więc albo wyszło na wiór, albo rozplynie nam się w ustach.

Zabieramy ostatnie pasty, nowy półmisek z pomidorami i zmierzamy na taras. Wszyscy siedzą już przy plastikowych stołach, trzymając w rękach talerze i widelce. Niektórzy pogryzają nerwowo chleb. Dzieci oczywiście napychają się ciastkami i czekoladą. Nie znają umiaru i nikt na to nie zwraca uwagi. Ahmed walczy z Marysią, usiłując zabrać jej jakiś kawałek słodkości i zaciągnąć do łazienki. Twarz, ręce i nogi ma w całości pokryte kurzem i

piachem. Nawet jej jasne blond włosy poszarzały. Idę mu pomóc, bo mała strasznie wierzga.

– Dajcież dziecku spokój! – rozlegają się dookoła głosy.  
– Przecież przynajmniej ręce musi umyć przed jedzeniem – tłumaczę.  
– A cóż takiego ma na tych rękach? Przecież nie była w szpitalu ani nie stykała się z zakaźnie chorym. – Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Jednak średniowiecze.

– W kurzu i ziemi też są bakterie i ona nie jest do nich przyzwyczajona. Nie żyje z nimi w symbiozie, jak tutejsi mieszkańcy, zjadający je od dziecka – odgryza się Ahmed.

– Oho ho, co za paniczek się z niego zrobił – ktoś mówi sarkastycznie. – Jaki edukowany i nowoczesny. To chyba po tym pobycie w Polsce... tak mu odbiło. – Wszyscy zebrani wybuchają gromkim śmiechem.

Ahmed tylko kiwa z politowaniem głową, bierze pod pachę wyjąca Marysię i zanosí do łazienki. Tam we dwójkę wsadzamy ją pod letni prysznic. Rodzice sadyści, ale czasami nie ma wyjścia. Lepsze to niż klaps lub kara albo jakaś orientalna zaraza w brzuchu.

Kiedy wracamy na taras, bordin jest już gotowy i dymi na wielkim metalowym półmisku na środku stołu. Wszyscy asystują przy ściąganiu mięsa ze szpikulców i przerzucają co lepsze kęski na swój talerz. Obawiam się, że dzisiaj nie załapię się na tę niezwykłą potrawę. Zresztą nie wygląda zbyt smakowicie. Mięso jest czarne od popiołu lub dymu, może spadło im w żar? Wielkie nieapetyczne ochłapy aż kapią od tłuszczu. Ahmed rozbawiony obserwuje moją minę, a ja usiłuję nie patrzeć z obrzydzeniem w stronę wspaniałego dania.

– Blondi, dawaj talerz. – Malika jak gdyby nigdy nic woła do mnie i macha w moją stronę wyjątkowo dużym fragmentem zwierzęcych zwłok.

– Ale żeby starczyło dla wszystkich – próbuję się wymigać. – Wiesz, bo ja nie muszę. Mnie wystarczą jarzynki i chleb. – Ahmed ryczy ze śmiechu.

– Ty nie bądź taka cwana – nie poddaje się Malika. – Chodź no tu, bo nie będę dłużej czekać i mięso wyląduje ci na kolanach.

Po niedawnych przejściach w kuchni i ostrzeżeniach Miriam nie chcę z nią zadzierać i posłusznie nadstawiam talerz. Próbuję nabić ochłap na widelec, lecz nie mam szans. Mięso jest twarde jak beton.

Przerażona podnoszę wzrok.

Ahmed podaje mi serwetkę i pokazuje banalne rozwiązanie. Prędko zawijam mięso i odkładając talerz na stół, pozostawiam tam schowane pod przykryciem główne danie. Uff.

– Kto piekł te pyszności, no, kto był szefem kuchni!? – pyta Malika. Jej ton każe wszystkim zamilknąć i czekać w niepewności, na kogo padnie. – Ja kupiłam mięso. Super, luksus, młode jagnię. Ja je tutaj przywlokłam, ja je patroszyłam, a co za kretyń nieznający się na zegarku wysuszył je na wiór?! Cooo?!

– Malika, myślę, że już wystarczy. – Ojciec spokojnie kładzie kres nadchodzącej burzy. – To najprawdopodobniej ja. Twój ojciec jest kretyń nieznającym się na zegarku. W porządku?

Malika jeszcze tylko prychnęła, bo ostatnie słowo, nawet jeśli jest to tylko nieartykułowany dźwięk, musi należeć do niej. Po chwili przynosi wielki czarny wór na śmieci i wrzuca do niego pozostałe na ogromnej tacy mięso, sałatki, pasty i nieszczęsne pomidory. Wszyscy siedzą jak zamurowani, bo nikt ich nawet jeszcze nie spróbował.

– No to mamy po kolacji – stwierdza Ahmed, a Malika, gdyby mogła, zabiłaby go wzrokiem.

Towarzystwo niemrawo podnosi się z siedzeń.

– Jedziemy do miasta na szawormy. Zabierzemy się z Miriam.

Przyprowadź Marysię. – Ahmed wydaje krótkie dyspozycje, jeszcze tylko ścisną rękę paru nieznanym mi mężczyznom i odjeżdżamy.

Światła farmy zostawiamy za sobą, lecz nie czuję żalu z powodu nieudanej biesiady. Nic nie jest w stanie zepsuć mi dzisiejszego dnia. Przepelnia mnie szczęście i nadzieja, że znów będzie dobrze. A nawet jeszcze lepiej.

Kiedy rozbawieni i napchani szawormami, frytkami, zasłodzeni baklawą i colą lądujemy w domu rodziców, znów czuję pętlę zaciskającą mi się wokół szyi. Ten pałac mnie przytłacza. Ahmeda chyba również. Cichniemy i

usiłujemy niepostrzeżenie przemknąć na piętro do siebie. Nasze pokoje są zimne i nieprzytulne, lecz oddychamy swobodniej, zamykając za sobą drzwi. Jedynie Marysia nadal jest rozbawiona i daleko jej do spania.

– A wiecie co? – pyta.

– Co takiego? – odpowiadamy na odczepnego, chcąc jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

– Był tam mój nowy starszy kolega Ali, ten którego mama nie lubi.

– Taaak? – Jak na komendę odwracamy się w jej kierunku.

– On to jest zabawny...

– A cóż tym razem wymyślił? – mówię z przekąsem i obawą. – Ty go w ogóle widziałeś? Bo ja nie – zwracam się do Ahmeda.

– Mignął mi w przelocie. To co robiliście takiego ciekawego? – zaniepokojony delikatnie naciska na Marysię, która i tak chce nam wszystko opowiedzieć.

– Powiedział, że złapał jednego wielkiego węża, tego, który był w domku. I ma go w kieszeni tych szerokich spodni, pantalonów, nie?

– No i... – nie wytrzymuję i pospieszam niewinne i nieświadome niczego dziecko.

– On wszystko wie i zna się na węzach. Ten nie był jadowy, ale za to zaczarowany. Jak się go pogłaskało, robił się strasznie twardy, rósł i podnosił się – z zaangażowaniem opowiada sześciolatnia dziewczynka.

– Zaczarowany – szeptem powtarza Ahmed, a z jego twarzy zdążyła już odpłynąć cała krew.

– Tak, tak. – Marysia podskakuje na łóżku i klaszcze w ręce. – Ali chciał, żebym go pocałowała, ale ktoś nadszedł, chyba dziadek, i nic z tego nie wyszło. Nie wiem, czemu nie wolno wszystkim pokazać tego węzulca, skoro on taki śmieszny, ale Ali zabronił i uciekł. Czemu nie wolno? – pyta niewinnie.

– Bo... – Stoję z otwartymi ustami i nie wiem, jak mam jej to wyjaśnić. Patrzę przerażona na Ahmeda.

– To był strasznie świński gad – mówi przez zaciśnięte zęby. – Pamiętaj, wężę, które faceci trzymają w spodniach, są wredne i fałszywe.

– Nieprawda... – Marysia od euforii przechodzi do płaczu. – Ten był milusi, miał taką aksamitną skórkę...

– Dość! – histerycznie krzyczę i chwytam się za głowę.

– Ali cię okłamał i ja z nim o tym porozmawiam! – Ahmed także nie wytrzymuje i podnosi głos. – Zapomnij o tym głupim wężu i nie mów o tym nikomu, nikomu. – Bierze rozżaloną córeczkę na ręce i mocno przytula. – Tatuś kupi ci piękne zwierzątko i będziesz mogła się z nim bawić do woli. I bezpiecznie.

– Tak? A jakie? – Zmiana nastroju jest błyskawiczna.

– Jakie będziesz chciała, a teraz już do łóżka, dość wrażeń jak na jeden dzień. – Oddaje ją w moje ręce i bez słowa wychodzi.

Doskonale wiem, dokąd jedzie. Nawet nie jestem ciekawa, czy Ali skończy tak jak Przemo w Polsce, jednego mogę być pewna, już nigdy nie zbliży się do naszej córki. To jest teraz dla mnie najważniejsze.

## Życiowa decyzja

Jak ten czas szybko leci, prawda, kochanie? – pyta Ahmed, przynosząc poranną kawę i wyborne francuskie ciastka na balkon przy naszej sypialni.

– Niesamowicie – przytakuję. – I popatrz, mieliśmy jechać na farmę, coś tam zrobić, a przez ostatni miesiąc nie było nawet okazji o tym pogadać.

– Może już czas tak na spokojnie się zastanowić, co dalej – mówi cicho, unikając mojego wzroku.

– To znaczy? – Spodziewałam się tej rozmowy.

– To znaczy, że dzisiaj wieczorem zapraszam cię do najwytworniejszej restauracji w mieście, Tripoli by night, a ty przez ten dzień pomyśl nad tym, co ci zasygnalizowałam. W końcu może podejmiemy jakąś decyzję i będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

– Weźmiemy ze sobą Marysię? Może nie. Poważna rozmowa przy dziecku chyba nam nie wyjdzie.

– Samira mówiła, że ma wolny wieczór i z chęcią popilnuje małej. – Oczywiście już wszystko zaplanował.

Jestem ciekawa, jaką przyszłość widzi przed nami. A przede wszystkim gdzie, choć mogę się tego domyślać.

Ahmed wychodzi, a ja zostaję na balkonie ze swoimi myślami. Muszę się przygotować do tej rozmowy, chcę nie tylko słuchać ustaleń, ale też wiedzieć, jakie będzie moje miejsce w tym wszystkim. Czy mam być arabską żoną siedzącą w domu i rodzącą dzieci, czy partnerką na miarę nowoczesnego świata?

W zasadzie tylko na początku, tuż po przyjeździe, było tragicznie, lecz po wyprawie na farmę wszystko wróciło do normy. Zaczęliśmy mniej czasu spędzać w domu czy z rodziną, a więcej ze sobą. Znowu jest cudownie i chcąc

nie chcąc, muszę przyznać, że podoba mi się tutaj, chyba połknęłam orientального bakcyła. Ponoć jak pokocha się ten kraj, to już nie ma się ochoty z niego wyjechać. Nigdy. A i życie w luksusie mi służy.

Odwiedziliśmy różne miejsca, widzieliśmy stare antyczne faktorie, arabskie zabytki, byliśmy w tradycyjnych rzemieślniczych zakładach i w nowoczesnych luksusowych centrach handlowych, nad morzem i w górach. Poznałam wielu ludzi, młodych i starych, a wszyscy byli życzliwi, przyjacielscy, szczerzy. Nie jest to zwyczajne, szare życie – na razie tylko same przyjemności, zero obowiązków. Nie mam pojęcia, z czego byśmy tutaj żyli, skąd brali pieniądze na utrzymanie. Nie pytałam Ahmeda, skąd ma środki na to wszystko, bo było mi głupio. A gdyby musiał powiedzieć, że od ojca czy matki, chyba czułby się nieswojo.

Zamyślona wchodzę do domu i usiłuję uporządkować nasze mieszkanie. Zainstalowaliśmy sobie małą kuchenkę i teraz mogę przygotowywać jedzenie, nie narażając się na spotkania z matką czy Chadidzą, a Miriam czy Samira i tak przesiadują u mnie godzinami.

Słyszę delikatne pukanie do drzwi. To na pewno któraś z nich.

– *Hi!* – Samira wtyka głowę i rozgląda się po zaciemnionym pokoju.  
– Wchodź, wchodź – krzyczę z łazienki, usiłując prędko zmienić koszulę nocną na sukienkę.

– Wypuszczacie się wieczorem?  
– No, tak jakby. A ty o niczym nie wiesz? – uśmiecham się figlarnie.  
– Coś tam słyszałam. Dostałam etat baby-sitter.  
– Idziemy do supereleganckiej restauracji, żeby poważnie porozmawiać.

Aż się boję – przyznaję.

– Nie żartuj, Ahmed jest w tobie zakochany po uszy – mówi, wskazując na nasze małżeńskie łożo. – Musisz tylko mądrze wszystko rozegrać.

– To znaczy jak?

– Nie daj się zamknąć w domu. Pamiętaj, cały czas mów, że musisz mieć pracę. Musisz wychodzić między ludzi, spotykać się z koleżankami. – Młoda dziewczyna, a daje mi takie dojrzałe rady.

– Ale z jakimi koleżankami? – śmieję się. – Z tobą? Myślę, że nie będzie problemu.



– Spokojnie, spokojnie! Przecież żyje tutaj mnóstwo Polek, w tym też takich, które wydały się za Arabów – uświadamia mi coś, o czym nawet nie pomyślałam. – Powinnaś je poznać, one ukażą ci nasz świat z waszego punktu widzenia i doradzą, jak się w nim poruszać, zasymilować i unikać konfliktów. – Samira zadowolona z siebie klaszcze w dłonie i podskakuje, zaplądając się w kołdrę.

– Ale ja jestem głupia, w ogóle o tym nie pomyślałam – przyznaję. – Ale jak je poznać? Nie znajdę ich w dziale ogłoszeń towarzyskich w prasie.

– Jest tutaj przecież polska ambasada, w naszej dzielnicy na Ben Ashur, macie polską szkołę, wprawdzie nie wiem gdzie, ale musi być. Sprawdzę – obiecuje. – No i przede wszystkim jest kościół, w samym centrum, na Dahrze, niedaleko od nas. Ha! Tam na pewno wszyscy się spotykają. Wy, Polacy, jesteście prawie tak religijni jak my.

Przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Słuchaj, Samirka – zdrabniam po polsku jej imię. – To może mogłabym znaleźć gdzieś tam pracę, przynajmniej na pół etatu. Miałabym pretekst, żeby wyjść z domu, jakoś się ubrać, a nie chodzić przez cały dzień w podomce.

– No i o to chodzi! Superpomysł! Ty mu dzisiaj to wszystko delikatnie przedstaw, a ja przeprowadzę śledztwo, gdzie, co i jak. Hej, hej! – wykrzykuje i biegnie do drzwi.

– Pędzę na uczelnię, bo się spóźnię. Jestem o szóstej. *See you later, aligator...*

– Pa – mówię do jej pleców i czuję, że świat zaczyna nabierać kolorów.

Na pewno wieczorem postawię jeden podstawowy warunek – ja tutaj mieszkać nie będę, w tym lodowym pałacu z matką Ahmeda i jego rozwiedzioną siostrą. Ojciec, czego zupełnie nie rozumiem, rzadko tu bywa. Czasami pojawia się w weekend, lecz wtedy zwalają się tutaj wszyscy.

Restauracja rzeczywiście jest *high class*, na Gargareszu, to taka tutejsza Marszałkowska. Czuję się dość nieswojo. Stąpam na palcach po puszystych wełnianych dywanach, jakbym szła po lodzie. Mój mąż natomiast czuje się tutaj wyśmienicie, wita się z szefem sali, a później z kelnerami. Oczywiście wcześniej zarezerwował stolik, bo wolnych miejsc brak.

Gdy siadamy za drewnianym rzeźbionym parawanem przy niewielkim dwuosobowym stolczku, kelner zapala świece w srebrnym kandelabrze. Z głośników płynie cicha muzyka, a mała fontanna na środku sali szmerze uspokajająco. Wszystko jest *perfect*.

Menu wydrukowano po arabsku i angielsku.

– No to co zamawiamy? – Ahmed rozbawiony spogląda na moją niepewną minę. – Może najpierw coś do picia? Pamiętam, że lubisz czerwone wino. Masz ochotę na kieliszek? – Jestem w szoku.

– A co z prohibicją? – pytam przestraszona.

– Libijskie czerwone wytrawne to słodki sok winogronowy – śmieje się, że tak łatwo dałam się nabrać. – Blisko wina, ale tak nie do końca.

– Niech będzie – mówię, nadal mocno speszona.

Po złożeniu zamówienia na napoje znów zagłębiam się w lekturze menu. Nie mam pojęcia, co wybrać, chyba będę zmuszona zjeść frytki i grillowanego kurczaka.

– Może coś ci doradzić? – pyta w końcu.

– Byłoby super – wzdycham z ulgą.

– Dobrze. Więc na przystawkę starczą nam startery, które serwują za darmo...

– To tutaj dają coś za darmo?

– Nie ciesz się. Cała reszta tyle kosztuje, że mogliby więcej. Do tego może zamówimy sobie miks sałatkowy z owocami morza?

– Okej. Brzmi nieźle. Już robię się głodna.

– Zupa z krabów, czy już będzie za dużo tego *frutti di mare*?

– Nie, nie, wiesz, jak bardzo je lubię.

– No tak – potwierdza, uśmiechając się. – A jako danie główne proponuję tutejsze znakomite szaszłyki z baraniny. Co ty na to? W końcu spróbujesz coś wyśmienitego z kuchni orientu, bo jak na razie domowe jedzenie nie było najlepsze.

Przypomina mi się bordin na farmie i marszczę nos.

– Co, baraninka z dziury w ziemi? – pyta rozbawiony. Jak dobrze się rozumiemy. Kiwam potakująco głową.

Lodowaty sok z winogron relaksuje prawie jak wytrawne wino. Powoli zaczynam czuć się swobodniej i mogę wreszcie głębiej odetchnąć. Jedzenie rzeczywiście jest palce lizać. Cały dzień pościłam, spodziewając się wielkiego obżarstwa. Wcinam wszystko ze smakiem, a Ahmed patrzy na mnie zadowolony.

– Jednak coś ci może w tym kraju smakować?

– Mhm – potwierdzam z ustami wypełnionymi wielką krewetką tygrysią.

– Kupię ci parę książek kucharskich z orientalnymi przepisami po angielsku, to będziemy mogli razem spróbować coś upichcić. Co ty na to?

– Świetnie. Ale do tego potrzebna nam własna normalna kuchnia, a nie dwa palniczki w kącie. Chyba nie sądzisz, że twoja mama pozwoli ci coś ugotować u siebie?

Tutejsze głupie zwyczaje. Facet czeka na jedzenie w salonie czy jadalni, umiera z głodu, ale w kuchni nie może pomóc. Zdarza się, że w desperacji wpada na chwilę między gary i porywa coś ze stołu jak złodziej.

– No i przeszliśmy do meritum. Co robimy dalej? – Ahmed jakby tylko czekał na odpowiednią chwilę.

– Właśnie. Co proponujesz?

– Po ponad miesiącu sama zorientowałaś się, jak tutaj jest. Czy da się żyć, czy nie? Chcę wiedzieć, czy widzisz siebie w tym środowisku. Nie mam zamiaru cię unieszczęśliwiać, bo pamiętaj, że bardzo cię kocham. Strasznie! Na zabój! – Pod stołem dotyka mojego kolana, a mnie przechodzą ciarki.

– Codzienne życie to nie tylko przyjemności, to praca, utrzymanie domu i problemy. – Cały czas pamiętam o radach Samiry. – To już nie będą wakacje.

– No właśnie. Musimy mieć własny dom, bo przecież z moją rodziną przyjdzie nam zwariować.

– Wiadomo – potwierdzam, przeżuując zieloną sałatę.

– Może na początek ulokowalibyśmy się na farmie. Daleko od cywilizacji, ale za to świeże powietrze, przestrzeń. Póki Marysia nie chodzi do szkoły, nie ma problemu. Oczywiście kupię samochód i będziemy przyjeżdżać do miasta tak często, jak nam się spodoba.

W zasadzie ma rację. Tam nie musielibyśmy inwestować grubych pieniędzy, których zresztą nie mamy. Wystarczy pomalować i odświeżyć. To

dobry pomysł, choć tylko na początek – mam nadzieję. I rozwiązuje się problem koleżanek, kościoła, ambasady czy polskiej szkoły. Zero kontaktów z rodakami. Hmm... Zero kontaktów z kimkolwiek.

– Ale to na początek? – pytam.

– Pewnie, że tak. Myślisz, że ja się chcę zaszyć na głuchej prowincji?

„Jestem z miasta. To widać, słyszać i czuć” – cytuje naszą ulubioną piosenkę. Uśmiecham się niepewnie.

– Ale będziemy tam całkiem sami. Kto nas odwiedzi, komu będzie się chciało jechać sto kilometrów?!

– Jakie sto? Ja znam skrót, maksymalnie osiemdziesiąt.

– To też niemało – zauważam.

– Przecież Samira, Miriam lub Malika czy jakaś inna twoja koleżanka mogłaby przyjechać i siedzieć u nas przez weekend albo dłużej. Zobaczysz, ilu ludzi będzie chciało się wyrwać z dusznego i zadymionego miasta, zwłaszcza latem. Jeszcze gdybyśmy zrobili tam basen! Ho ho!

– To jakaś koleżanka też wchodzi w grę? – pytam, pomna rad Samiry.

– A dlaczego nie?

– Ale skąd ja ją wezmę? Dam ogłoszenie do prasy?

– Przecież jeszcze się nie przeprowadzamy. Przygotowania potrważą. Już moje siostry się tobą zaopiekują i znajdziesz sobie setkę przyjaciółek. Przecież wiem, że kobieta potrzebuje drugiej baby, chociażby żeby się wygadać i naplotkować, tak jak facet kumpli.

O nie, tylko nie kolesie! Sam przyznał, że jest podatny na wpływy, a ja o tym wiem najlepiej. Ciągłe się boję, że ten straszny okres z Polski wróci i dlatego dałam się namówić na przyjazd tutaj. Jedno muszę przyznać – jego propozycja zamieszkania na farmie brzmi całkiem nieźle. Tam wszystko mi się podoba i czuję się jak dziedziczka.

– A jakby co, będą cię podrzucał do miasta na dłużej. Nie chcę, żebyś zamieniła się w pustelnicę – przerywa potok moich myśli.

Przynieśli szaszłyki, lecz zaaferowana nadchodzącymi zmianami straciłam apetyt. Mięso stygnie, a ja rozmyślam.

– Nie przejmuj się tak, wszystko się ułoży – pociesza mnie Ahmed. – Wcinaj, bo będzie niedobre.

Zamawia jeszcze jeden sok i patrzy na mnie z troską.

– To w ogóle nie rozpatrujemy możliwości powrotu do Polski? – pytam.

– A chcesz tego? Do czego chcesz wracać? Do małego wynajętego mieszkania i braku widoków na przyszłość? Znasz już nastawienie Polaków do ludzi mojego pochodzenia. Rzadko kiedy jest pozytywne. Firma dzisiaj jest i prosperuje, a jutro dobra passa może się skończyć i wtedy nikt nas nie wesprze. Kto zatrudni śmierzącego Araba, kiedy wasze rodzime bezrobocie rośnie z dnia na dzień?

– Tylko nie śmierzącego – oburzam się.

– Daj spokój! Stosunek do nas z roku na rok jest coraz gorszy – wzdycha.

– Praca u kogoś w ogóle odpada. Ile bym zarobił? Trzysta, czterysta dolarów? Myślisz, że da się za to wyżyć?

– Ja bym w końcu też mogła iść do pracy – próbuję bez przekonania.

– Po maturze, bez kwalifikacji! Jako kto? Sprzątaczką czy sprzedawczynią?

A może kariera w McDonalddie?

– Masz rację – przyznaję. – Ale skąd my tutaj weźmiemy pieniądze? –

Bezradnie kiwam na boki głową i rozkładam ręce. – Będziemy kraść?

– Jak się chyba zdążyłaś zorientować, nie należę do najbiedniejszych. –

Zaciska tajemniczo usta. – Ale zeznania fiskalne po szaszłykach – nagle zmienia temat i energicznie stuka dwoma palcami w blat stołu, aż porcelana się trzęsie, a ja podskakuję. – Poważnie, wcinaj i uszy do góry! Tak to się mówi? – pyta, marszcząc brwi. – Czy ruszaj uszami? – Jakby nie miał poważniejszych spraw na głowie. – Ha! Uszy się trzęsą! Dobry jestem! –

Zadowolony klepie się po udach.

Wybucham śmiechem. Piję pyszne niby-wino, jem wyśmienite, trochę zimne szaszłyki, spędzam czas z ukochanym mężczyzną. W tej chwili jestem pełna dobrych myśli. Nie chcę rozważać, co może pójść nie tak, nie w tej cudownej chwili. Przecież jak będzie źle, to zawsze możemy wrócić do Polski.

Już nie robimy żadnych poważnych ustaleń. Podsumowania przychodów i rozchodów przesuwamy na inny termin, kiedy będziemy mieli pod ręką kalkulator, kartkę papieru i długopis. Mówimy tylko o odnowieniu farmy, ustalamy, w którym miejscu będzie basen i kogo zaprosimy na parapetówkę.

Będzie to moje pierwsze własne miejsce na ziemi, moje i mojej rodziny. Bez mamy, teściowej i wścibskich krewnych. Będę mogła robić, co chcę, nikt nie będzie mnie obserwował i krytykował. Tylko kiedy nastąpi ten cudowny moment? Ile czasu zajmie zrobienie z tej ruiny miejsca zdatnego do życia?

– *Szwejsza, szwejsza* – mówi Ahmed. – Powolutku, nie bądź w gorącej wodzie kąpana. – Czy on, ucząc się języka polskiego, zaczął od księgi przysłów? – Spiesz się powoli. – Chyba jednak tak.

## Arabska codzienność

### Środki utrzymania

Po paru dniach, podczas których prawie w ogóle nie widuję Ahmeda, prosi mnie, abyśmy siedli i podsumowali finanse.

– Już wszystko sprawdziłem. Wziąłem dwie firmy budowlane, które zrobiły kosztorysy doprowadzenia farmy do porządku. Ceny mają prawie takie same i niestety dość wysokie. – Rozkłada papiery na stole i wspólnie pochylamy się nad nimi. – Oto wyciągi bankowe. Cóż, rodzina przez ten czas, kiedy mnie nie było, niezbyt sumiennie odkładała moje pieniądze.

– Jakie pieniądze?

– Mam dom w ekskluzywnej willowej dzielnicy, który wynajmuję już od lat. Najpierw firmom naftowym, a później, po podniesieniu standardu, ambasadom. Regularnie płacą wysoki czynsz. – Wykwita mu bordowy rumieniec. – Po tylu latach pobytu w Polsce powinno się było zbierać na drugi

taki lub lepszy, lecz pieniędzy zostało na lepiankę na środku pustyni! – Z oburzeniem wskazuje jakieś cyfry na wydrukach z banku.

– Skąd miałeś ten dom? Mieszkałeś w nim? – chcę się w końcu czegoś dowiedzieć.

– Malika, oczywiście jako pracownik rządowy, dostała przydział na ziemię. Forma premii.

– Znów? Dobrze tym z rządu. Samochody, działki, farmy...

– Bogaty kraj, to nagrody za lojalność dla tych na samej górze są imponujące. Ale i tym z uboższych klas nieźle się powodzi. Nawet nieroby dostają wysokie zasiłki, kartki na artykuły spożywcze, chemię gospodarczą, wyprawkę dla dziecka, sprzęt do domu. Tutaj nikt nie ma źle. – Odbieram te słowa jak usprawiedliwianie się tych, którzy są przy źłobie.

– Hmm – nie chcę komentować.

– To jest polityka rządu, kochanie. Nie rozdają pól naftowych, tylko ugory. Nazywa się to zasiedlaniem. Wszyscy najchętniej mieszkaliby w dużych miastach, a tysiące kilometrów kwadratowych piachu leżą odłogiem. Myślisz, że łatwo je zagospodarować? Wiesz, ile wody wypiłaby ta ziemia, zanim pojawiłby się jeden żywy pęd? Tam nawet nie było kaktusów! Państwo nie chce się z tym bawić, więc rozdaje grunty swoim przedsiębiorczym obywatelom; a nuż któryś coś z tym zrobi. – Wsłuchuję się w jego opowieść, popijając mocną jak szatan kawę, która zdążyła już wystygnąć.

– Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do Dżanzuru, tak nazywa się ta miejscowość, to wszyscy śmialiśmy się z Maliki. „Ale posiadłość dostałaś” – kpiliśmy. Było to szczere pole, po którym hulał wiatr, niosąc tumany piachu. A sama wiocha, jak to tradycyjna arabska osada: dwa sklepy na krzyż, jedna marna brudna knajpa, chałupki wieśniaków usytuowane wzdłuż głównej drogi, przycupnięte przy niej, wykonane z najtańszego surowca. Żyjący tam ludzie byli tak zaściankowi i zacofani, że omal nie obrzucili kamieniami Maliki, Libijki, ich rodaczki, bo przyjechała w jednym ze swoich służbowych garniturów i bez chusty na głowie. Na mnie też patrzyli niechętnie, bo nie nosiłem galabii.

– Kiedy to było, chyba ze sto lat temu? – nie mogę się nadziwić jego słowom i jednocześnie trochę mnie to wszystko przeraża.



– Jakieś piętnaście, nie tak dawno. Ja jednak stwierdziłem, że może to być dobra długoterminowa inwestycja. Pokryłem wszelkie rachunki, uregulowałem sprawy prawne, bo Malika była wściekła i miała wszystko w nosie. Wolałaby dostać tysiąc dolców i kupić sobie nowy komplet biżuterii.

– Takie są kobiety – zaśmiałam się. – Ja na jej miejscu czułabym chyba to samo.

– Potem pojechała na tę swoją placówkę, jako pani ambasador, i zapomniała o sprawie.

– A gdzie ona była?

– U Murzynów. Supermisja. Zero wysiłku, duże pieniądze. Ta dziewczyna ma szczęście.

– No tak, przecież przywiozła stamtąd Matyldę – przypominam sobie.

– Powolutku budowałem piękny duży dom. Projekt ściągnąłem z Zachodu, rewelacja! Niestety, na wykończenie nie zostało mi już ani grosza. Bogu dzięki, znaleźli się szaleni cudzoziemcy, którym willa tak się spodobała, że zapłacili czynsz za pół roku z góry, pod warunkiem że wyposażę ją we wszystkie niezbędne rzeczy. Oto historia mojego domu.

– Pokazałbyś mi go? – pytam zaciekawiona. – Mogę zobaczyć to cacko na odludziu?

– Już umówiłem się z lokatorami, bo wiedziałem, że będziesz chciała tam pojechać.

– Dom na pustkowiu – zamyślam się.

– O, jesteś w błędzie – śmieje się zadowolony. – Mówiłem, że to długoterminowa inwestycja. Teraz, moja kochana, Dżanzur jest już w zasadzie dzielnicą Trypolisu, połączoną z centrum autostradą, mieszkają tam ludzie z rządu, cudzoziemcy z zagranicznych firm oraz dyplomaci. Taka ekskluzywna „sypialnia” naszej zatłoczonej stolicy. Nie masz pojęcia, jakie rezydencje można tam zobaczyć! Są tam też liczne supermarkety, butiki, restauracje i kawiarnie. W Dżanzurze można zjeść lepiej i dużo taniej niż u nas.

– Z karaluchem w kanapce? – krzywię się.

– Już nie. Nowi klienci nie gustują w takich przekąskach.

– To kiedy jedziemy? – Nie mogę się doczekać.

– Niedługo. – Znowu arabska odpowiedź, żadnych konkretów, zawsze wymijająco.

– Nie mogliśmy tam zamieszkać? Chyba byłoby to trochę lepsze od farmy?

– A z czego byśmy wtedy żyli? Teraz przynajmniej już wszystkie pieniądze wpływają na moje konto i się stamtąd nie ulatniają! – znowu się wścieka i uderza ręką w stół. – Obiecali mi zwrócić... w ratach. – Patrzy tępo w przestrzeń.

– Kto konkretnie? – pytam nieśmiało.

– Daj spokój, szkoda mówić. Szlag mnie zaraz trafi!

– Już lepiej nie kontynuujemy tego tematu, bo szkoda twoich nerwów – mówię cicho i chcę go pogłaskać po ręce, ale Ahmed skacze na równe nogi i zaczyna spacerować po pokoju.

– A ja myślałam, że jeszcze mi starczy na ponowne otworenie firmy, odnowienie farmy, a na wiosnę na sadzonki. A mogło być tak pięknie! – krzyczy i wyrzuca ręce do góry, co rusz targając włosy na głowie.

Nie wiem, jak go uspokoić, bo boję się cokolwiek powiedzieć, aby nie pogorszyć sytuacji. Ciekawa jestem, kto zdefraudował jego pieniądze?

– Jak na razie Mieciu chce spłacić nasz mały biznesik, za co tutaj może uda się ponownie uruchomić firmę, oczywiście w tej samej branży. – Ahmed o niczym nie zapomni, a ja już myślałam, że polska działalność uleciała mu z pamięci. – Zaproponowali mi też parę godzin na uczelni, grosze, ale pozycja i satysfakcja gwarantowane. W końcu po coś robiłem ten doktorat w Polsce! Farmę będziemy odnawiać powolutku i mam nadzieję, że niedługo się tam przeniesiemy. – Siada przy mnie i obejmuje ramieniem. – Mam już ich wszystkich dość – szepcze mi do ucha, a ja go świetnie rozumiem. – Wcześniej czy później staniemy na nogi i wyniesiemy się stąd.

Wierzę w to, ale w zasadzie ja dalej pozostaję w zawieszaniu. My jako my, należy czytać my – Ahmed, mój mąż. On ma plany na swoją przyszłość – kariera, firma, uczelnia, ale nie było ani słowa o moim życiu. Ja zaś boję się zwracać mu głowę, bo jest teraz zły i załamany. Mam nadzieję, że niedługo będę miała okazję zasygnalizować mu swoje potrzeby, a może on sam o nich pomyśli? Przecież ja też muszę tutaj coś zrobić, nawet wychowanie córki mi

odpadło, bo Marysia na stałe przenieśli się do domowego przedszkola,  
które  
z pasją i upodobaniem prowadzi moja teściowa z pomocą Chadidży.

## Wyrok na Samirę

Lato nadal w pełni i rodzina zamierza nadchodzący weekend spędzić na plaży. Piknik, kąpiel w morzu, gry i zabawy, może nawet będziemy spać w namiotach na wybrzeżu. Dziewczyny wszystko planują już od środy, włącznie z codziennym sprawdzaniem długoterminowej prognozy pogody. Tak jakby w najbliższych trzech czy czterech miesiącach coś się mogło zmienić. Upał panuje non stop – od wczesnego ranka aż do zmierzchu, jedynie wieczory są znośne. Spędzam je przeważnie samotnie, przesiadując w ogrodzie lub na naszym balkonie. Tyle mego, tyle wolności. Pseudoogród, otoczony dwuipółmetrowym murem, jak studnia między ścianami sąsiednich wysokich na trzy piętra lodowych pałaców, i ten balkon, zasłonięty przed oczyma ciekawskich winną latoroślą i ścianą z luksferów. Nie daj Bóg, żeby mnie ktoś zobaczył! Może to i lepiej, bo wyglądam jak kocmołuch. Zanedbana i upasiona. Już nie jestem Kopciuszkiem, którego wystarczy przebrać w drogie fatalaszki, aby stał się smukłą i piękną królewną. Zmiany w moim wyglądzie zaczęły się utrwalać. Codziennie obiecuję sobie, że coś zmienię, a nie robię nic. Miała być dieta, ćwiczenia, rzucenie palenia, bo nigdy w życiu tak dużo jak tutaj nie kopałam. I nie jadłam. I nie leżałam w ciągu dnia.

W dalszym ciągu nie mam planów na moje życie tutaj i egzystuję w zawieszaniu, budzona od czasu do czasu z okazji jakiejś akcji. Dlatego też jak głupia cieszę się na ten piątkowy wyjazd. Znów chwila radości, bez troski i działania. Wyjście z domu, bezkarne i dozwolone. Powoli przestaję się dziwić arabskim kobietom, że w większości są zanedbane, sfrustrowane i nerwowe. Upodabnam się do nich, choć tak bardzo tego nie chcę. Brakuje mi tylko piątki rozwrzeszczanych bachorów. Na razie mam środki antykoncepcyjne z Polski, więc przynajmniej przed tym skutecznie się bronię. Ahmed

jednak coraz częściej zaczyna wspominać, że jeśli i tak siedzę w domu, to moglibyśmy pomyśleć o malutkim syneczku. Chadidża kiedyś mile mnie oświeciła, że jeśli nie ma syna, nie ma arabskiego małżeństwa. Liczy się tylko syn. W tym momencie Malika uprzejmie zauważyła, że Chadidża dała swojemu mężowi aż trzech synów, a małżeństwo i tak się rozsypało. Teraz jej chłopcy mieszkają z ojcem, bo matka, jako kobieta, nie może się nimi zajmować. Oni również z nami jadą. Mogą widywać się z matką tylko w weekendy i święta, oczywiście o ile tatuś wyrazi zgodę. Z tego powodu nawet Chadidża chce wyskoczyć ze skóry, aby wszystko dopiąć na ostatni guzik.

– Blondi, umówimy się po weekendzie. – Malika wyrasta jak spod ziemi, krytycznie lustrując mnie od stóp do głów. – Coś ty ze sobą zrobiła?!

– Nic! – warczę przez zaciśnięte zęby. Nie musi być szczerą aż do bólu.

– No właśnie, nic. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– To nie patrz, do cholery. – Nieźle się zaczyna ten wyczekiwany piątek.

Niech to szlag trafi. Wiedziałam, że będzie mnie oceniała, ale mimo to nic ze sobą nie zrobiłam. Wszystko odkładałam z dnia na dzień. *Bukra, bukra, baad bukra*. Jestem wściekła na siebie.

Widzę chłód w spojrzeniu Maliki i nie dziwię się jej.

– Przepraszam. – Pochyliłam się w jej stronę. – Wiem, że wyglądam jak świnią i nie jest mi przyjemnie się do tego przyznać. Ratuj, siostro!

– No, tak już lepiej – mówi udobruchana. – Nie odtrącaj mojej pomocnej dłoni. Pamiętaj! Ja nigdy nie wyciągam jej dwa razy.

Samira przebiega przez podwórko w stronę samochodu ojca. Jakoś dziwnie wygląda, jakby schudła, twarz ma poblada i rozwiane, nieuczesane włosy.

– Ej, Samira, co z tobą? – wołam za nią, ale nawet się nie odwraca.

– Kiepsko z nią. – Malika burczy mi do ucha. – Termin obrony to termin wyroku. A nikt nie chce albo nie może jej pomóc. Ja bardzo bym pragnęła, ale jestem tylko jej siostrą, kobietą. Niewiele mogę... – Patrzy w przestrzeń z kamienną twarzą. – Zobaczymy – mówi enigmatycznie.

– Znów problemy z tym staruchem? – dziwię się. – Myślałam, że to ucichło, umarło śmiercią naturalną.

– Tutaj nigdy o niczym się nie zapomina. Arabowie to najbardziej pamiętliwa nacja. – Zaciska usta. – I z bólem muszę przyznać, że chcąc nie chcąc, ja też taka jestem. Jeśli podejmę decyzję, to po trupach ją realizuję, jeśli kogoś nienawidzę, to życzę mu jak najgorzej, a jeśli ktoś mi się narazi, to nigdy mu nie wybaczę. Jeśli któryś z przyjaciół zaczyna robić mi jakieś problemy bądź mam przez niego kłopoty, to go wykreślam – śmieje się, uważając, że to zabawne. – W najlepszym wypadku – dodaje na koniec.

Śluchając jej, zaczynam się bać. Zasada oko za oko, ząb za ząb u nas już dawno wyszła z mody, jednak z poczynań Ahmeda wnioskuje, że dla nich jest to nadal podstawowy sposób wymierzania sprawiedliwości. A teraz jeszcze Malika, taka emancypantka. Tutaj obowiązują zupełnie inne reguły, arabska mentalność i światopogląd są całkowicie odmienne od naszych, europejskich. Czuję, jak w głowie zapala mi się czerwona lampka. Muszę się lepiej pilnować i uważać, żeby nikogo nie urazić, bo mogłabym to przyplącić głową. Nerwowo przetykam ślinę.

Samira, jeszcze bledsza niż przed chwilą, wbiega do domu. Wydaje mi się, że płacze. Nie rozmawiałam z nią sam na sam od czasu opieki nad Marysią w ów pamiętny wieczór wielkich decyzji. Wydaje mi się, jakby to było wieki temu. Idę do domu i pukam do drzwi jej pokoju. Słyszę szloch.

– Samirka, otwórz – proszę, ale nie doczekuję się żadnej odpowiedzi.

– Dot, jedziemy. – Ahmed, przechodząc, chwytając mnie za rękę i wyprowadza na podwórko. – Marysia, do wozu. – Sadza naszą córeczkę w samochodowym foteliku dla dzieci, zamontowanym na tylnym siedzeniu naszego nowego nissana. Siadam na miejscu koło kierowcy.

– Co się stało Samirze? – pytam, gdy ruszamy.

– Przecież na pewno ci już o wszystkim powiedziały – mówi, wyjeżdżając z podjazdu.

– Ale czy tak musi być? Czy ona musi wyjść za tego starego dziada, którego nie kocha?

– Tym zajmuje się ojciec...

– No nie żartuj! – oburzam się. – Nikt nie może jej pomóc?

– Nie sądzę, taka tradycja.

– Nawet ty?! – wkurza mnie, że umywa ręce. – Przecież ją kochasz, jest twoją najmłodszą siostrą!

– Daj spokój, nikt nie będzie działał wbrew ojcu, nikt nie chce mu się narazić.

– Dlaczego, przecież każdy z was ma własne życie? Cóż wam może zrobić? Ty też jesteś mężczyzną, jedynym synem, z tobą chyba musi się liczyć.

– Ja z nim nie rozmawiam.

– Odkąd? Co się znowu stało?

– Od czasu sprawdzenia moich kont bankowych.

– Nie chcesz tego wyjaśnić? Jak on się tłumaczy?

– On nie musi się tłumaczyć. – Ahmed zaciska zęby i blednie na twarzy.

– Co, pan i władca?! Nie żartuj sobie! Nic nie powiedział!

– Właśnie, oznajmił, powiedział, ale nie tłumaczył się.

– No i co?! – pytam zaciekawiona do granic możliwości. – Sam mówiłeś, że były to niemałe pieniądze.

– Potrzebował.

– Na co? – dopytuję.

– Potrzebował, i tyle. – Ahmed zaciska usta i nastaje chwila nieznośnej ciszy. – Na nową żonę i ślub – szepcze. – Z dziewczuchą w wieku Miriam, w wieku swojej córki! – Słyszę zgrzytanie zębów.

– Szs... – nic więcej nie jestem w stanie z siebie wydobyć.

– Sfinansowałem ojcu jego zachciankę.

Milkniemy.

– Jak ojciec się na coś uprze, to nikt nie jest w stanie go od tego odwieść – mówi ze złością. – Wybranek dla Samiry to jego znajomy, chyba od kielicha i od dziwek, więc bliski. Tatuńcio ma nas wszystkich w dupie! Swoją mądrą, wykształconą córkę wydaje za takiego zgreda! Może zastawił ją w karty albo w innym zakładzie, który przerznął, bo nie chce mi się samemu wierzyć, że robi to celowo. Samira była jego oczkiem w głowie! Najmłodsza i najukochańsza – szepcze z żalem. – Bardziej ją faworyzował niż mnie, syna...

– No to jak to możliwe?

– Cóż, wszystko się zmienia. Teraz z nową żoną ma już nowe, młodsze i bardziej kochane dzieci. Nienawidzę ich! – Patrzy przelotnie na mnie, a ja boję się wyrazu jego oczu, tego, co w nich dostrzegam.

– Ostatnio matka próbowała go odwieść od pomysłu wydania Samiry za starszuka – mówi z zaciśniętymi zębami. – Nie chciałabyś widzieć jej pleców po tej rozmowie. Poza tym znów jej groził.

– Czym?

– Kobiety nie mogą mieszkać same, tak jak ona i Chadidża. Tego zabrania prawo, tradycja i policja obyczajowa. Jeśli miałyby pozostać w naszym domu, rodzina musiałaby ustanowić dla nich męskiego opiekuna. Nasz milusi tatuś może nim zostać i sprowadzić się do przyznanego matce domu wraz ze swoją nową rodziną. Niezły układ, prawda?

Nic z tego nie rozumiem. Co za syf! Nie dość, że taki skurwiel zostawia żonę, to jeszcze może ją szantażować i dalej robić z nią, co zechce. Jak to możliwe, że nie może sama mieszkać we własnym domu?!

Pocieszający jest fakt, że jednak ktoś stanął w obronie biednej Samiry. Ale co to dało? Nic. Co ona zrobi?! Nie chciałabym być w jej skórze.

Plaża jest przepiękna – czysta turkusowa woda aż po horyzont, gruboziarnisty piasek pokrywają drobne kolorowe muszelki, a gdzieniegdzie w zagłębieniach pełnych wodorostów można znaleźć duże muszle, w których ciągle szumi morze.

Podjeżdżamy do samej wody i jedziemy brzegiem. Żal mi czystego piasku, ale nigdzie nie ma parkingów i ponoć wszyscy tak robią. Wybieramy idealne miejsce, robimy krąg z samochodów i tym samym znowu otaczamy się murem. Do ogólnego użytku wzdłuż wybrzeża postawiono letniskowe domki. Mają podmurówkę, a ściany i dach zrobiono z palmowych gałęzi. Nie mają klimatyzacji, lecz są przewiewne i dają schronienie przed palącymi promieniami słońca.

Rozścielamy wiklinowe maty, ustawiamy plastikowe stoliki i krzesła. Kobiety zaczynają serwować orzeźwiająca schłodzoną herbatę z hibiskusa oraz puszyste kokosanki i makaroniki. Już czujemy się jak w domu. Każdy sadowi się wygodnie i zaczyna się relaks. Dzieci jak zawsze biegają w kółko,



lecz, Bogu dzięki, boją się morza i nie zapuszczają na głęboką wodę. Jedynie Marysia ma bezpieczne motylki na ramionach oraz kolorowe dmuchane kółko. Ahmed wchodzi z nią do wody, a ja kokoszę się na naszej macie oddalonej od reszty rozwrzeszczanego towarzystwa.

Dzisiaj i tak są dziwnie spokojni i małomówni. W powietrzu wisi burza. Tylko Chadidza promienieje radością, bo ma swoich synów przy sobie na cały długi weekend. Ładne chłopaki. Dwunasto-, czternasto- i siedemnastolatek starają się opędzić przed czułościami matki. Jeszcze w samochodzie Ahmed powiedział mi, że najstarszemu Chadidza kupiła za nasze pieniądze samochód, nowiutkiego volkswagena golfa, jako prezent za dobrze zdany egzamin maturalny. Lecz, o dziwo, o to mój wspaniałomyślny mąż się nie gniewa, tłumaczy ją i twierdzi, że potrafi to zrozumieć. Nie chcę wychodzić na sknerę i potakuję głową, choć z wielką chęcią zrobiłabym jej awanturę.

Po nasmarowaniu się olejkami i spięciu włosów zaczynam leniwie obserwować piękne miejsce i sąsiednie grupy plażowiczów. Nigdzie nie widać cudzoziemców, sami Arabowie. Mężczyźni paradują w szortach i w nich też się kąpią. Jeden jedyny Ahmed ma na sobie kąpielówki. Przechodzę do obserwacji kobiet. I znowu szok! Tylko ja, pomimo wylewającego się tłuszczu i cellulitu, nałożyłam kostium kąpielowy, i to dwuczęściowy! Z paniką rozglądam się na boki. Wszystkie arabskie kobiety zakrywają ciało, a tylko dziewczynki, i to maksymalnie do dziesiątego roku życia, mają kolorowe kostiumy. Powyżej tego wieku ten strój jest chyba zabroniony. Nastolatki kąpią się w kolarkach lub korsarkach z lycry, a piersi lub ich brak osłaniają T-shirtami. Same miss mokrego podkoszulka! Kobiety zamężne kąpią się w ubraniach. Tak jak przyjechały, w długich do ziemi sukniach i chustach na głowie, wchodzi do słonego morza. Brodzą w wodzie po kolana, bo oczywiście nie umieją pływać i boją się fal, ale na tej głębokości odważnie siadają i przerażone piszczą, kiedy przyływ podnosi do góry namoknięty materiał. Rozglądam się po naszej grupie, usiłując znaleźć jakąś towarzyszkę w rozpuście. Czuję się, jakbym była naga.

– Coś się tak spłoszyła?! – Malika jak dziecko podbiega i obsypuje mnie piaskiem. – Już do morza! Ty chyba umiesz pływać? – krzyczy, biegnąc w kierunku nadpływających fal.

Ma na sobie kostium kąpielowy. Uff, co za ulga. Wprawdzie jednoczęściowy, ale za to z mocno wykrojonymi majtkami i na cieniotkich ramiączkach. Głęboki dekolt odsłania jej duże piersi – wygląda sexy i wcale się tym nie przejmuje ani tego nie kryje.

– Widziałaś te oszołomki? – Wskazuje na swoje rodaczki kąpiące się w ubraniach.

– Co masz na myśli?

– Dwa w jednym: nie dość, że popływają w klasycznym stylu arabskim, to jeszcze zrobią pranie. Patrz, jaka oszczędność czasu i pieniędzy.

To niesamowite, że potrafi śmiać się z rodzimych tradycji i zwyczajów, a z drugiej strony jest tak bardzo „orientalna”, pamiętliwą i impulsywną kobietą.

– Malika, nie widzę Samiry – mówię, zbliżając się do niej. – Martwię się o nią. Nie pojechała z nami?

– Po uroczej rozmowie z ojcem zamknęła się w pokoju i powiedziała, że nie wyjdzie. Na oczach tyłu ludzi nie chciał się kompromitować i wyważać drzwi. Ale nie jest dobrze. – Malika poważnieje.

– Dlaczego nikt z was nie interweniuje! – oburzam się. – Nie chcecie jej pomóc, nie chcecie jej szczęścia?

– Drogie dziecko, to nie takie proste. Matka już próbowała...

– Słyszałam – mówię, aby oszczędzić jej tej hańbiącej relacji.

– Mnie pobić by się nie ośmielił, ale ma innego asa w rękawie.

– Ma coś na ciebie? Przecież to ty wiele możesz, masz wysoką pozycję.

Cała rodzina jedzie na twoich koneksjach.

– Układy układami, ale tu rządzą stare prawa, których nawet ja nie powinienam lekceważyć. Mogę je naginać, ale po cichu i przy milczącej zgodzie rodziny. Gdyby nasza kochająca się rodzina nagle rozpuściła języki, wyładowałabym razem z mamusią i Chadidżą w naszym cudownym rodzinnym gniazdku. I to może jeszcze pod kuratelą tatunia! Nie wygrałabym w żadnym sądzie i zdaję sobie z tego sprawę.

– Ty?

– Tak, moja droga. – Kiwa głową ze smutkiem. – Ja, taka szczwana lisica.

Siadamy w płytkiej wodzie przy brzegu na czyściutkim piasku i przesy-pujemy mokre ziarenka między palcami. Nie chcę jej zmuszać do dalszych zwierzeń, nie chcę pospieszać. Krępuje mnie wysłuchiwanie ich rodzinnych tajemnic i wywlekanie brudów, a okazuje się, że jest tego niemało.

– Jestem pod opieką dziadka przyznaną mu oficjalnie przez sąd – kontynuuję. – Ale jest to tylko na niby, tak zwana lipa.

– A co z dziadkiem, nie żyje? – Tutaj wszystko jest możliwe.

– Aż tak źle to nie jest – śmieje się rozbawiona moją przerażoną miną. – Siedzi za granicą, u swojego brata w Stanach. I jest tam już na tyle długo, że nawet ludzie przestali o niego pytać.

– Ile lat?

– Osiem.

– Cooo?! Ale numer! I ty jesteś cały ten czas pod jego opieką?

– Nooo. – Malika chichocze i puszcza do mnie figlarnie oko.

– To ojciec mógłby na ciebie donieść, na własną córkę?

– Może mógłby, może nie, ale trzyma mnie w szachu. Na domiar złego mieszkam z moim dwudziestoletnim synem, a to w oczach naszego cudownego prawa całkowita rozpusta i zepsucie.

– Stop, stop, stop! O czymś znowu nie wiem – przerywam jej gwałtownie, podnosząc się z piasku. – To ty masz syna? Zaraz, zaraz... O ile mnie pamięć nie myli, nigdy nie byłaś mężatką. – Patrzę na nią zaintrygowana. Ileż oni mają tajemnic!

– To syn ciotki Miny, zaadoptowany przeze mnie, gdy byłam na placówce. Mnie się lepiej powodzi, mogę mu więcej dać.

– Dobra, dobra, to jest wersja oficjalna, dla prasy, ale jaka jest prawda? – tym razem nie panuję nad ciekawością i beczelnie ją naciskam.

– To już zupełnie inna historia, może innym razem coś ci powiem, może kiedyś... jak zdobędziesz moje zaufanie.

– To ty mi nie ufasz?! – baranieję. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami! – Czuję się zawiedziona.

– Przyjaźń przychodzi i odchodzi, a my jesteśmy rodziną, czyli złączone na wieki, jednak nad zaufaniem trzeba popracować. Nie gniewaj się, Dot,

bardzo cię lubię, ale życie nauczyło mnie być ostrożną. Dostałam już nieraz za swoje i w naszych warunkach muszę bardzo uważać na to, co i komu mówię. Jak na jeden dzień wyznałam ci chyba dość sekretów, nie uważasz?

Wstaje i obejmuje mnie w pasie. Idziemy wzdłuż morza jak para zakochanych, brodząc nogami w wodzie.

– Wracając do Samiry, to może Ahmed coś mógłby wskórać, choć też nie jestem pewna. – Malika nie chce wracać do naszej grupy i ciągnie mnie na spacer. Chyba ma ochotę jeszcze ze mną pogadać, a mnie jest miło, bo całymi dniami nie mam do kogo ust otworzyć.

– On nie rozmawia z ojcem. – Nawiązuję do naszych pieniędzy, które rodzinka zgodnie roztrwonila i ciekawa jestem, jaki był w tym udział mojej nieufnej przyjaciółki.

– Tak, słyszałam. To chyba największe przegięcie, jeśli idzie o zdefraudowanie oszczędności Ahmeda. – Milknie i idziemy przez jakiś czas w ciszy, a szum morza uspokaja myśli. – Jeśli chodzi o mnie, to pożyczyłam tylko dwa tysiące na wakacje w zeszłym roku, bo myślałam, że już dłużej nie wytrzymam z tą całą cudowną rodziną. Zrozum, dziewczyno, bałam się, że jak nie wyjadę, to im wszystkim popodrzynam gardła tępym nożem. – Jej wyznanie mrozi mi krew w żyłach.

– A co się stało?

– Wtedy właśnie ojciec finalizował swoje nowe gody – wzdycha. – Więcej nie chcesz wiedzieć, wierz mi.

– Tak, daj spokój, to nie moja sprawa.

– Tak więc wzięłam dwa kawałki, ale już mówiłam Ahmedowi, że mu oddam pod koniec roku, z trzynastki. Absolutnie i bez dyskusji, choć on twierdzi, że kto jak kto, ale ja mu tej pożyczki nie muszę oddawać. W końcu to ja dostałam tę ziemię, nie?

– Tak, tak. Ma rację, daj spokój! Tutaj chyba chodzi o jakąś większą sumę, a nie dwa tysiące?

– No raczej – przytakuje Malika. – Chadidża kupiła swojemu rozwydrzonemu najstarszemu bąkowi autko. – Krzywi się z dezaprobatą. – Biedna myśli, że będzie ją za to bardziej kochał, a jak była chora, to nawet nie chciał jej podwieźć do lekarza. Gnojek!

– Ahmed twierdzi, że i tak dałby jej te pieniądze.

– No cóż, odzyskać ich nie jest w stanie, to pewne. Ja bym nie dała pieniędzy dla tak zepsutego gnoja! On o swojej matce, oczywiście za jej plecami, mówi per kurwa i zdzira. Czego jak czego, ale szlajania się nie można jej zarzucić. Jej mąż, chcąc usprawiedliwić siebie, starał się ją obciążyć zdradą małżeńską, ale i tak nikt mu nie uwierzył, mógł sobie postawić przed sądem nawet i stu świadków!

– Cóż, oznacza to, że dziewięćdziesiąt procent oszczędności Ahmeda wziętą tatuś i raczej ich nie odda – podsumowuję, rozkładając bezradnie ręce. – Chyba są już po jakiejś niezbyt miłej rozmowie.

– Tak, słyszałam tę awanturę.

– To chyba nie będzie rozmowy w sprawie Samiry? – smucę się.

– Lepiej, żeby teraz Ahmed nie podejmował się roli mediatora, bo ojciec dla zasady wszystkiego mu odmówi. Tatuś czuje się obrażony i dotknięty! Nie uważasz, że to bezczelność? – pyta, nie oczekując bynajmniej odpowiedzi. – Praktycznie okradł własnego syna i jeszcze się gniewa, gdy ten delikatnie wspomina o oddaniu pieniędzy.

– Widzisz dla niej jakiejś wyjście? – wracam do meritum sprawy.

Malika nagle bez słowa zawraca na pięcie i kieruje się w stronę naszej grupy.

– Głodna jestem, aż burczy mi w brzuchu. Jeszcze dzisiaj nic nie jadłam. – Zupełnie lekceważy moje pytanie.

– Ja też – podejmuję jej grę. – Coś ładnie pachnie. – Puszczamy się biegiem, bo widzimy, że wszyscy już krążą z wypełnionymi jedzeniem talerzami.

Po posiłku, tłustym i obfitym, wszyscy rozprostowują kości na matach i mają zamiar się zdrzemnąć. Nawet dzieci ucichły. Zamiast skakania, biegania i krzyków zajęły się kopaniem dołków w piasku, budowaniem fortec i zamków albo pułapek na przejeżdżające nad samym brzegiem morza samochody.

Oczy się zamykają, ale leżąc na brzuchu obok posapującego Ahmeda i naszej ślicznej, śpiącej jak aniołek Marysi, obserwuję całą rodzinę. Ojciec.

Dlaczego w weekendy zadręcza ich swoją obecnością? Czyżby cały czas chciał trzymać rękę na pulsie? Kontrolować i rządzić? Teraz gra w kości ze swoimi „nowymi” dziećmi, całkiem małymi, bo w wieku przedszkolnym. On, wiekowy dziadek, chciałby zapewne chwilę pochrapać, lecz manifestacyjnie rześki i sprawny śmieje się głośno i przeszkadza innym. Jego dorosłe dzieci nie rozmawiają z nim, wszystkie go ignorują.

Matka stara się być niewidoczna. Nie odzywa się, nie śmieje, trzyma dys-tans. Ciągle gdzieś na uboczu, głównie zajmuje się dziećmi Miriam, rówieśnikami nowych dzieci ojca. Teraz pluszczą się przy brzegu i wyławiają z wody jakieś skarby. Matka nadal jest przystojną kobietą, typową Arabką o klasycznych rysach – orli, spory nos, wielkie czarne oczy osłonięte firaną długich rzęs, wysokie czoło i gęste, nadal czarne włosy, niezbyt dokładnie ukryte pod elegancką jedwabną chustą. Postawa, gesty czy rysy twarzy wskazują na wrodzoną dumę. Dzieciaki Miriam dokazują, wrzeszczą i zaśmiewają się na całe gardło. Marysia, słysząc ich krzyki, błyskawicznie się ocknęła i biegnie, aby przyłączyć się do zabawy.

Miriam dzisiaj jest z mężem – coś częściej zaczął przyjeżdżać z tej pustyni. Nie wiem, czy to uratuje ich małżeństwo, bo z daleka widać wrogość, jaka panuje między nimi. Siedzą obok siebie na odległość ręki, lecz odwrócenii półbokiem. Nie patrzą w swoją stronę i nie odzywają się. Są spięci i obawiam się, że brakuje jednej iskry, by bomba wybuchła.

Chadidża z wypiekami na twarzy gania między swoimi mocno już znudzonymi synami. Jak oni wytrzymają tutaj do jutra?

Malika, rodzinna emancypantka, jako jedyna rozłożyła się nie na ziemi, lecz na własnym plażowym łóżku i osłonięta parasolem słonecznym czyta zagraniczną prasę. Młody, przystojny, chorobliwie szczupły mężczyzna leżący przy niej na leżaku to zapewne jej tajemniczy syn. Wiele razy go widziałam, ale oczywiście nie miałam pojęcia, kim jest. Bardzo podobny do Maliki, nie ma szans, żeby się go wyparła.

Czuję napięcie panujące między wszystkimi członkami rodziny. Nikt z nich dobrowolnie by tutaj nie przyjechał, a na pewno nie w takim składzie. Co i kto zmusza ich do całodziennej udręki i niepotrzebnych nerwów?

Tradycja i zwyczaj rodzinnego spędzania świątecznego piątku są widać silniejsze od wszystkiego innego.

Matylda roznosi półmiski z kawałkami zimnego arbuza i melona.

Z drzemki wyrywa mnie dźwięk silnika samochodu, który, mam wrażenie, jakby przejeżdżał mi po głowie. Gwałtownie się zrywam. Niewiele się myliłam, bo w odległości nie większej niż metr od siebie widzę koła jakiegoś pojazdu.

– Co za debile! – krzyczę i skaczę na równe nogi.

Ahmed zaspany siada na kocu i przeciera oczy jak małe dziecko. W całej grupie nastąpiło poruszenie. Niech ktoś opieprzy tego kretyna, który chciał mnie rozjechać!

– To Mohamed, były mąż Chadidży – tłumaczą mi spokojnie.

Synowie Chadidży aż skaczą ze szczęścia. Nic nie mówiąc, w pośpiechu zbierają swoje rzeczy, a ich matka powoli podchodzi do drzwi auta od strony kierowcy.

– Przecież mieli zostać do jutra – słyszę jej ciche, błagalne słowa.

– Zgłupiałaś! – ordynarnie odpowiada zniecierpliwiony głos. – Tłukłem się tutaj ponad sto kilometrów, nie żartuj sobie ze mnie!

– Ale umawialiśmy się.

– Nie przesadzaj. Miałaś ich przez cały piątek, tak jak się należy. Co oni tutaj mają do roboty?! Popatrz, jak uciekają – śmieje się ironicznie.

– Ale...

– Żadne ale. Mają szkołę, muszą odrobić lekcje...

– Nie kłam! – Chadidża zaczyna się denerwować.

– Ty, kurwo, nie pyskuj w ten sposób! – Mężczyzna ryczy na całe gardło. Ja naprawdę nie chcę tego wszystkiego słuchać. Po co uczyłam się arabskiego?! Wolałabym nie rozumieć.

– Tato, jesteście gotowi! – Chłopcy podbiegają do samochodu, wrzucają bagaże i pakują się na siedzenia. Żaden z nich nie zwraca uwagi na matkę.

– Później ustalimy termin następnego spotkania – informuje Mohamed. – Może w ramadanie.

Samochód gwałtownie rusza, wzbijając tumany piasku. Ramadan?

Zaczyna się chyba dopiero za parę miesięcy? Patrzę na Chadidżę. Jej twarz jest martwa, a oczy śledzą oddalający się pojazd. Przytyka dłoń do ust i biegnie na tyły słomianej chatki. Wszyscy spuszczaają głowy.

Atmosfera robi się jeszcze bardziej napięta.

– Ruszmy się. – Ahmed bierze mnie za rękę i z zaciśniętą szczęką kieruje się w stronę morza.

Mija nas parę aut wypełnionych rozwrzeszczanymi młokosami.

– Hej, Barbie! *Bikini baby*, uuuu – słyszę śmiechy i widzę, jak wychylają się z okien pędzących samochodów.

– *Barra nek!* – wrzeszczy rozwścieczony Ahmed i biegiem rzuca się za nimi. Podnosi grudę piasku i ciska w ich kierunku, sam obsypując się od stóp do głów. Zachowuje się jak idiota.

Lepiej nie komentować tego incydentu. Spuszczam wzrok, bo nie chcę, aby zobaczył rozbawienie w moich oczach. Dla mnie takie postępowanie dorosłego mężczyzny jest śmieszne. Pluszczemy się na płyciźnie przy samym brzegu. Woda cudownie chłodzi rozgrzane słońcem ciało.

– Chyba nie chcesz zostać tutaj na całą noc? – pytam, przerażona taką perspektywą.

– Nie za bardzo – przyznaje. – Popływamy i będziemy się zbierać. Przepraszam, że nie jest zbyt miło. Następnym razem spróbujemy się jakoś wymigać.

– Bogu dzięki. Przecież sami możemy gdzieś pojechać.

– Tak będziemy robić. Też mam dość.

Malika podbiega i chłapie nas wodą. Nie wiem po co, bo przecież już jesteśmy mokrzy.

– Weszło. – Nie wiem, czy pyta, czy stwierdza fakt. Wykrzywiamy tylko usta.

– Za chwilę jedziemy – oznajmia Ahmed.

– Bez przesady, jest dopiero piąta. Posiedźmy przynajmniej do siódmej.

– Też się zrywasz? – dziwię się.

– Czy ty sobie wyobrażasz, że spałabym tutaj z latającymi nad głową ćmami, komarami, cykadami i Bóg wie czym jeszcze? A gdzie wzięłabym



prysznic? Spójrz, całą skórę mam białą od soli, już mnie wszystko pali i swędzi, do jutra nie wytrzymam. A ty przy twojej alergii nawet o tym nie myśl.

– To my jedziemy za chwilę, a ty o siódmej? – podsumowuję.

– Dajcie spokój! – Nie wiem, czemu nas tak naciska. – Przecież jak zaczniecie się zbierać, to wszyscy ruszą biegiem. Odruch stadny mamy bardzo silny.

– Wcześniej będziemy w domu, to w końcu się zrelaksujemy – mówi zniecierpliwiony Ahmed.

– Słuchajcie, jeszcze nie graliśmy w moją nową grę planszową – prawie prosi. – Superciekawa, sprowadziłam z Turcji.

Patrzę na mojego męża. W sumie te dwie godziny jeszcze można wytrzymać, najgorsze jest chyba za nami. Kiwam zachęcająco głową. Malika klaszcze w ręce jak dziecko.

– Przykro mi, Malika. – Ahmed jednak ma dość. – Zagrajmy w domu, zapraszamy do nas na górę. Weźmiemy prysznic, zaparzymy dobrej kawy i...

– Jaką różnicę, do cholery, zrobiłyby ci te dwie godziny?! – syczy Malika i wbija mu paznokcie w ramię.

– Jeszcze jedna wariatka w rodzinie! – Ahmed wrywa się i rysuje kółka na czole. Dochodzę do wniosku, że to chyba jego ulubiony gest.

W pośpiechu składamy nasze rzeczy, nawet nie trzepiąc i nie czyszcząc ich z piasku. Marysia jest tak zmordowana, że pierwsza wsiada do samochodu. Ruszamy bez słowa. Przez tylną szybę widzę, że całe towarzystwo zaczyna się pakować. Z piskiem kół zatrzymujemy się przed frontową bramą naszej rezydencji. Mam nadzieję, że to już wszystko na dzisiaj. Malika jest druga i parkuje tak, że prawie zdiera nam lakier ze zderzaka.

– Ahmed, nie otwieraj z pilota – mówi ostro.

– Co ci znowu odbiło?

– Ja wejść pierwsza – szepcze i widzę w jej oczach przerażenie.

– O co ci chodzi? – Ahmed odwraca się plecami do niej i idzie do samochodu. – Nie wiem, co ona kombinuje, ale mogłaby uprzedzić – tłumaczy mi przez uchyloną szybę. – Znowu będą jakieś jaja.

Nie wiem, czemu wszystkie samochody zatrzymują się przed naszym wjazdem. Czy oni nie mogliby już pomieszkać u siebie? Nie mają dość? Ojciec też tutaj jest – ten to ma tupet! Zanim Malice udaje się wejść do środka, wielka rozsuwana brama otwiera się powoli ze zgrzytem. Na podwórzu stoi Samira, dźwigając dwie pękate walizy. Obok niej młody przystojny chłopak trzyma rękę na klamce czerwonego peugeota 206. Zamarli w bezruchu, a ojciec wbiega do środka jak obłąkany.

– Aaaaaa, ty suko! – krzyczy, chwytając Samirę za rozpuszczone włosy.

Kulę się na siedzeniu samochodu. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Malika robi krok w tył, jakby chciała się ukryć za na wpół otwartą furtką. Całe towarzystwo zamiera. To takie wyjście z sytuacji znalazła Samira. Oczywiście Malika o wszystkim wiedziała, ale dlaczego nikogo nie wtajemniczyła?

– Ty kurwo! Hańbo naszej rodziny, zakało jedna! – Ojciec ciągnie Samirę za włosy, rzucając ją na boki jak szmacianą lalkę. Dziewczyna pada na kolana i obejmuje głowę rękami. Próbuje chwycić ojca za nogawki spodni, lecz on odsuwa ją na długość swojego ramienia i zaczyna okładać pięściami po twarzy. Chłopak nie reaguje, wytrzeszcza tylko oczy i wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle.

– Proszę ją zostawić, natychmiast! – w końcu cicho wydusza z siebie.

– Ty zbrojeńcu, ty przestępcu! – wrzeszczy obłąkany ojciec. – Ja zaraz dzwonię na policję i pójdziesz siedzieć, ty skurwysynu! – Wymachuje w jego kierunku wolną pięścią, nadal ciągnąc Samirę za włosy.

– Zostaw ją, i to już. – Matka podbiega, chcąc ratować córkę. – To ty jesteś zbrojeńcem i złym człowiekiem!

Trzask. To nie był policzek, raczej sierpowy. Matce spada chusta, a ona sama leci i uderza głową o marmurowe schody przed domem. Nie rusza się. Ahmed i Malika rzucają się jej na pomoc. W końcu zbieram się na odwagę i wysiadam z samochodu, ale nie wiem, co mam ze sobą począć. Boję się, straszliwie się boję. Za swoimi plecami słyszę ciche pochlipywanie Miriam.

– Morderca, skurwysyn, morderca! – wyje Malika.

– Proszę puścić moją żonę! – mocniejszym głosem mówi chłopak. – Natychmiast! Bo zaraz ja wezwę policję.

– Co, ty łajdaku?! – Rozjuszony ojciec obraca się to w jedną, to w drugą stronę, nie wiedząc, komu teraz zadać cios.

– To, co pan słyszał. Samira jest moją żoną. Wyjeżdżamy.

– A kto wam udzielił ślubu? Jaki jej opiekun wyraził zgodę? He? – wydaje mu się, że triumfuje.

– Mamy oficjalny papier z urzędu. Kontrakt. Wszystko jest zgodne z prawem.

Ojcu oczy wychodzą z orbit. Wydaje się, jakby za chwilę miał go trafić szlag. Samira zalewa się łzami i cicho jęczy.

– Już ja wiem, kto wam to tak pięknie i na czysto załatwił. – W końcu puszcza włosy Samiry, która pada na ziemię. Teraz odwraca się w kierunku Maliki. – Masz mi coś do powiedzenia, córko?!

Malika dumnie podnosi głowę i patrzy na niego z pogardą. Milczy. Znowu uderzenie na odlew. Co to za potwór! Bije kobiety! Malika jest mocniejsza od matki, lecz siła ciosu musiała być potężna, bo ledwo utrzymuje równowagę.

– Ty skurwielu! – mówi do ojca przez zaciśnięte zęby.

– Do kogo, ty zdziro, tak mówisz?! – Następny cios, lecz tym razem z pięści i Malika ląduje na ścianie domu. Ociera krew z ust i nosa.

– Może i zdzira, ale korzystałeś z moich kurewskich układów bez umiaru. Wtedy ci to jakoś nie przeszkadzało!

– No!!! – Znów bierze zamach.

– Dość, mówię dość! – Ahmed chwyta go za nadgarstek.

– Co ty, maminy wyskrobku, będziesz mi tutaj rozkazywał?! – Próbuje uwolnić rękę. – Jestem u siebie i będę robił, co mi się podoba.

– Już nie jesteś u siebie – przypomina mu Ahmed, nadal trzymając go w miażdżącym uścisku. – Oficjalnie i na piśmie. I nawet nie jesteś tu mile widziany.

– Ty kanalio!!!

– Wynocha do swojej nory, której nawet za własne pieniądze nie mogłeś sobie urządzić. Za kradzione to zrobiłeś, a kradzione nie tuczy, przekonasz się jeszcze o tym! W imię Boga, zobaczysz! Allah jest sprawiedliwy!

– Ty mnie wyrzucasz z mojego domu?! Aaaaaa! – W ojca wstępują nowe siły i w końcu się uwalnia. Stoi na środku podwórza i ryczy. Garściami wyrывa sobie włosy z głowy i bije się pięściami po piersiach i udach. Słyszę trzask otwieranych okiennic w sąsiednich willach. Ale mają przedstawienie.

– To nie jest twój dom, dociera to do ciebie, czy policja musi cię stąd usunąć?!

– Nadal jestem opiekunem twojej kurewskiej matki! Ha! Jak będę chciał, to się tutaj sprowadzę! – Jednak chodzi mu to po głowie.

– Gówno prawda! – Ahmed śmieje mu się prosto w nos.

– Teraz ja tutaj mieszkam i to ja jestem mahramem mojej matki i siostr. – Pogardliwie pokazuje na ojca palcem i wykrzywia usta. – Twoja młodociana wywłoka nigdy się tutaj nie wprowadzi! Ani jej bękarty.

– To potwarz, podam cię do sądu!

– Cóż, musisz sędownie udowodniać, że masz cnotliwą żonę?! Współczucia! Nikt w to nie uwierzy. Ha, ha! – Wszyscy ironicznie się uśmiechają i kiwają z politowaniem głowami.

Oprzytomniała matka z Maliką siedzą na schodach, obejmując się w pół. Obydwie mają twarze umazane krwią.

Ojciec pochyla się i kładzie dłonie na kolanach. Okręca się wokół własnej osi i powoli kieruje do wyjścia. Nareszcie!

– To ty szlajałeś się po Polsce, bo myślałeś, że Allah cię tam nie widzi! I przywozłeś sobie blond lalę, co dupę i włosy wszystkim pokazuje. Nawet nie trzeba jej prosić, zrobi to za darmo – krzyczy jeszcze na pożegnanie. – Popamiętasz moje słowa! Twoja żona to kurwa i może rodzić tylko kurewski pomiot!

Ahmed rzuca się i tym razem chyba pobiłby ojca, lecz wszystkie kobiety stają mu na drodze i studzą jego zamiary.

– Nie warto, Ahmed, nie warto brudzić sobie rąk – szepcze matka, pochylając się w jego stronę.

Widzę, jak mąż Miriam z niesmakiem kiwa głową, pakuje dzieci do auta i odjeżdża. Ona zostaje. Powoli wjeżdżamy na podjazd i stajemy przed wejściem do domu.

– Czegoście się tak pospieszyły?! – Ahmed zwraca się do swoich sióstr. –

Czemu nic nie powiedziałaś? – zwraca się bezpośrednio do Maliki.

– Wszystko przecież od dawna było przygotowane. Akt kupiłam rok temu, na wszelki wypadek, ale dzisiaj rano Samira podsłuchiwała telefoniczną rozmowę ojca, który obiecywał zaręczyny już teraz. A może zaręczyny i od razu ślub?! Kto go tam wie? – Malika spluwa siarczyście przez ramię.

– Kogo podałaś za opiekuna? – chce wiedzieć Ahmed.

– Ciebie – śmieje się ze swojego fortelu. – O wszystkim pomyślałam: lewe zaświadczenie ze szpitala, że ojciec jest chory, chyba sobie robił lifting jąder, żeby mu lepiej pracowały przy młodej żonce, twoje oświadczenie o gotowości opieki...

– Przecież byłem wtedy w Polsce!

– No to co?! Chwilowo nieobecny, a że chwila trwała ponad dziesięć lat, to kogo to obchodzi. Czas szybko leci, a podpis masz idiotycznie prosty.

– Aż wy, cholery! – mówi żartobliwie Ahmed, próbując objąć slaniającą się na nogach Samirę i wprowadzić ją do salonu.

Wchodzimy do środka. Jest cudownie chłodno i panuje przyjemny półmrok. Zapalamy jedynie małe kinkiety, parę świec i kadzidła. Wszyscy rozsiadamy się wygodnie i głęboko oddychamy. Samira jeszcze się trzęsie i trzyma kurczowo za rękę swojego męża. On gładzi jej obolałą głowę, którą złożyła mu na ramieniu. Malika przytula się do Muaida, swojego syna z nieprawego łoża, matka z Chadidzą i Miriam usiadły razem na jednej małej sofie i przytulają się do siebie. Po raz pierwszy widzę, żeby członkowie tej rodziny okazywali sobie czułość. Ahmed, teraz pan domu, obejmuje mnie ramieniem i obserwuje całą poszkodowaną gromadkę.

– Może mamy coś na specjalne okazje?! – pyta, figlarnie podnosząc brwi do góry.

– No pewnie. – Po raz pierwszy widzę szczerzy uśmiech na ustach matki.

Miriam stawia przed każdym piękny kryształowy kieliszek, sypie do srebrnych miseczek orzechy i chipsy i idzie do kuchni pogonić Matyldę w przygotowywaniu kolacji.

Matka przynosi litrową butlę z ciemnego brązowego szkła, bez etykiety, i oddaje ją w ręce Ahmeda, który rozlewa rubinowy nektar do kieliszków.

Czuję zapach wytrawnego wina i ślinka napływa mi do ust. Tak głębokiej i wyrazistej barwy jeszcze nie widziałam. Nie ma toastów, choć wszyscy wznoszą puchary do góry, patrząc sobie głęboko w oczy. Oni wiedzą, czego sobie życzyć i nie muszą tego wypowiadać. Muaid zapala papierosa, który nie pachnie tytoniem, Ahmed bierze od niego parę sztachów, Miriam i ja też palimy.

Czuję przyjemny szum w głowie i po raz pierwszy w tym domu naprawdę

się relaksuję. Nie myślę o jutrzejszym dniu i możliwych dalszych komplikac-

jach. Cieszę się, że Samira odroczyła swój wyrok, i jak Bóg da, może zagrożenie całkowicie zniknie. Teraz wszystko zależy od posunięć ojca.

Czy

będzie chciał wywlekać rodzinne brudy na widok publiczny, czy jest na tyle podłym człowiekiem? Przyszłość nadal jest niepewna, ale teraz przynajmniej

wiem, że w trudnych chwilach tworzy się tutaj rodzinny front, na którym można polegać, i to dodaje otuchy.

## Zdrada małżeńska

Co ty tu robisz? – dziwię się, widząc Ahmeda wczesnym popołudniem na progu naszej sypialni.

– Ale się ucieszyłaś na mój widok, ho, ho – mówi sarkastycznie. – Przeszkadzam w czymś? To może sobie gdzieś pojadę albo poszwendam się po mieście?

– Nie, nie o to chodzi – tłumaczę, obejmując go za szyję. – Zaraz przyjedzie po mnie Miriam. Dzisiaj mamy aerobik, nie pamiętasz?

– Miriam nie ma dzisiaj czasu, jakiś lekarz czy coś. Ja cię zawiozę.

– Taaa...

– Nie cieszysz się?

– Ale co ty tam będziesz robił przez półtorej godziny? A jeśli nie poczekasz, to jak ja wrócę?

– Zaraz obok mam coś do załatwienia, jakoś zejdzie.

– To świetnie! – teraz już naprawdę się cieszę. – Zobaczysz, jak tam jest fajnie. Może ty zacząłbyś chodzić? Sport jest dobry w każdym wieku – wygłaszam sentencję przeczytaną w jakimś magazynie fitness.

– Uważasz, że ja już jestem takim staruszkim? W każdym wieku, to znaczy nawet w podeszłym.

– No tak, ale do tego momentu mamy jeszcze sporo czasu...

– A może ja nadaję się tylko na rehabilitację? – próbuje się mnie czepiać.

– Ahmed, o co ci chodzi?

– Nic, nic. Szykuj się, bo się spóźnisz. – Odwraca się do mnie plecami, co ma oznaczać: rozmowa skończona.

Coś mnie niepokoi. Ahmed dziwnie się dzisiaj zachowuje, ale nie mam teraz głowy, aby to zgłębiać. Zaraz aerobik i już się cieszę na szaleńcze skoki

i wygibasy w rytm muzyki. Rekompensuje mi to trochę brak potańcówek i dyskotek.

Wrzucam rzeczy do torby i nagle orientuję się, że ostatnio wychodząc z klubu, Miriam zabrała moje adidasy do swojego plecaka. Było już bardzo późno i widocznie nie myślała, co robi, a ja stwierdziłam, że i tak zawsze jeździmy razem.

– Ahmed, pędzę do Miriam, bo spakowała do siebie moje buty, a ja nie mam drugiej pary. Oby ktoś był w domu, ale na wszelki wypadek wezmę zapasowe klucze, torbę zawsze trzyma w przedpokoju, tak że znajdę. Jestem za pięć minut. – Lecę jak po ogień, bo w zasadzie już jestem spóźniona. Szlag by to trafił! Od frontu zamknięte, idę więc od strony tarasu i drzwi kuchennych. Jakieś światelko migocze w środku. Otwieram drzwi i po cichu wchodzę. Dobrze, że świeci się mała lampka, bo nie znając rozkładu mieszkania, mogłabym coś potłuc i pouszkadzać sprzęty. Idę na palcach w stronę korytarza.

– Dlaczego tak musi być? – nagle dochodzi do moich uszu całkowicie zmieniony głos Miriam. – Hamid, powiedz! Dłużej tego nie wytrzymam!

– Takie mam szczęście – odpowiada mężczyzna. – Jak już się zakocham w kobiecie, to ona jest zajęta. – O nie! W co ja wdepnęłam? Jak stąd niepostrzeżenie uciec? Powiedzieć coś Ahmedowi czy Malice? Może lepiej nabrać wody w usta. Babska ciekawość pcha mnie jednak w stronę uchylonych drzwi. Wstrzymuję oddech.

– Ta sytuacja może się zmienić. Wszystko zależy od nas. – Widzę nagie ramię Miriam obejmujące umięśniony śniady tors trenera. Leżą na sofie w salonie, kpiąc sobie z możliwości przyłapania.

– Co ty, kobieto, możesz? Tutaj obowiązuje wielowiekowa tradycja – mówi z lekkim lekceważeniem i zniecierpliwieniem.

– Przecież istnieje coś takiego jak sądy, rozwody.

– Daj spokój! – Wyczuwam lekki niepokój w głosie naszego macho. – Chcesz kłopotów? Już i tak dość komplikujemy sobie życie i narażamy się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jakby teraz wparował tutaj twój mąż i nas zabił, dostałby maksymalnie pięć, może siedem lat więzienia. Zbrodnia w afekcie, niewierna żona – mówi to z autentyczną złością, jakby to on był tym



wagaczem. – Wiesz, po ilu by wyszedł na wolność? Góra po roku. A gdyby uznano to za fatwę, to jeszcze wszyscy by go wyściskali i szanowali do końca jego dni. Wiem coś o tym, bo mój kuzyn jest prawnikiem. Takie tradycyjne wyroki są całkiem częste.

– Ale na razie Mahmud jest na pustyni, a my jeszcze żyjemy i chcemy być razem. – Obawiam się, że nie jest to opinia obustronna, a biedna Miriam jest totalnie zaślepiona. – Trzeba więc działać! Mam w nosie pogardę otoczenia, ból i cierpienie, bo nie będzie większego niż obecne, kiedy nie mogę się z tobą widywać, nie możemy razem nigdzie się pokazać. Ukrywamy się jak zbiegowie! – wykrzykuje z drżeniem w głosie.

– Nie. Jak przestępcy – po raz pierwszy słyszę, żeby ten mężczyzna mówił coś na poważnie. – Jesteśmy nimi w oczach naszego prawa i w oczach Boga.

– Nie mów tak! Trzeba to zmienić, musimy mieć na tyle odwagi.

– A co z twoimi dziećmi? – używa mocnych argumentów, tak jakby chciał ją zniechęcić do podejmowania jakichkolwiek kroków. Jemu, choć sytuacja nie jest bezpieczna, zapewne dobrze w obecnym układzie.

– Dziećmi bardzo dobrze zajmuje się moja mama...

– Gdzie ty, kobieto, żyjesz, do jasnej cholery! – Słyszę jego nerwowe kroki, więc wciskam się w cień za drzwiami. – Muszę już iść – mówi oschle i powoli się ubiera.

– Nie, nie, kochanie! – błaga Miriam. – Przygotowałam pyszną kolację, wszystko, co lubisz. – Klęka przed nim i kładzie mu głowę na kolanach. – Już nie będziemy się zajmować takimi głupotami. – Rozpina mu spodnie. – Cieszymy się tym, co mamy, dobrze?

Widzę, jak poddańczo patrzy w oczy temu płytkiemu człowieczkowi, który bezczelnie ją wykorzystuje. On jeszcze udaje, że się broni, że nie chce tego wszystkiego, kiedy Miriam pochyla głowę nad jego męskością i słyszę odgłosy ssania i jęk rozkoszy. Czuję ciepło w dole brzucha i straszliwe podniecenie. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu, ale też wiem, że nie powinnam się tutaj znajdować. Po chwili Hamid sadza Miriam na swoim napęczniałym, wielkim penisie i zaczynają ostrą jazdę. Jej duże piersi kołyszają się w górę i w dół, a on chwyta je w swoje dłonie i mocno ściska, aż stają się sine. Gryzie jej brodawki, a Miriam wydaje z siebie jęk, drapie jego

plecy, zlizuje pot z szyi, ssie swoje palce. Jej pośladki głośno uderzają o jego uda. Ruchy stają się jeszcze gwałtowniejsze, a z jego gardła wydobywa się charkot. Bujne długie włosy Miriam przyklejają się do jej nagich spoconych pleców. Po chwili mężczyzna podnosi ją jak piórko, stawia przy sofie i atakuje od tyłu, wbijając się w nią z furią i całą swoją samczą siłą. Miriam ledwie trzyma się na nogach i nie tyle krzyczy z uniesienia, ile spazmatycznie wyje.

– *Jalla, baby, jalla.*

– Hamid klepie ją po nagiej miękkiej pupie.

Na koniec padają na dywan i jeszcze przez chwilę kotłują się jak zwi-  
erzęta, gryząc nawzajem, drapiąc i wydając nieartykułowane dźwięki. Wy-  
wracają przy tym sprzęty i są niesamowicie głośni. Jest to idealny moment na  
ucieczkę, bo teraz z pewnością niczego nie zauważą, nic nie byłoby w stanie  
im przeszkodzić. Biegnąc do wyjścia, słyszę brzęk rozbijanego szkła.

– Co tam robiłaś tyle czasu? – pyta Ahmed, siedząc w samochodzie na  
podjeździe.

– Nikogo nie zastałam – kłamię jak z nut. – Niestety, nie znalazłam adi-  
dasów, ale wejdę w tych trampkach, co mam. Jeden raz może nikt nie  
zauważy.

Wsiadam do auta i czuję wypieki palące moją twarz, nie mogę uspokoić  
serca i zmysłów.

– Masz gorączkę? Dlaczego jesteś taka czerwona?

– Biegłam, spieszyłam się – mówię, wsadzając trzęsące się ręce między  
uda.

– No, nie wiem. – Kręci głową z niedowierzaniem.

Wszystko opóźnia się na tyle, że kiedy wchodzę, większość uczestników  
zająć okupuje recepcję, pytając o trenerów. Oczywiście nikt nic nie wie, a na-  
jmniej panienska za ladą.

– Przyjdzie któryś w końcu, czy nie? My tu przecież tracimy czas!

W odpowiedzi dostają tylko miły bezrozumny uśmiezek. – *Insz Allah.*

– Najlepsza odpowiedź. Jeśli Bóg da, to któryś przyjdzie.

Śmieję się, gdy widzę rosnące zdenerwowanie cudzoziemców, którzy nie  
potrafią zrozumieć i zaakceptować takiego podejścia.

– Cześć, Docia. – W końcu mnie zauważyli. – Widziałas coś podobnego?!

Już pół godziny po czasie, a trenera nie ma! Żaden skurczybyk nawet nie zadzwonił! – Podchodzą do mnie i zaczynają się uściski i pocałunki, do których już trochę przywykłam.

Hamid raczej nie dotrze – chciałabym powiedzieć, ale robię tylko zabawną minę.

W tym momencie z hukiem otwierają się drzwi i wbiega Rahman.

– Sorrrrry – krzyczy. – Już na salę, co wy tutaj jeszcze robicie?!

Wszyscy zapominają o zdenerwowaniu i ruszają pędem do środka. Chciałam jeszcze zamienić słowo z Ahmedem, który stoi przy wejściu jak słup soli, lecz nagle Rahman chwyta mnie w pól i niosąc pod pachą, biegnie za pozostałymi. Piszczę i wierzgam nogami, czując się jak nastolatka z liceum. W ostatniej chwili zauważam stalowe spojrzenie mojego męża i jego zaciśnięte wargi.

– Jak tam się bawiłaś? – Ahmed stoi w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłam.

– Świetnie, spociałam się jak nigdy.

– Można już jaśnie panią odwieźć do domu?

– Pewnie, dzięki, że czekałaś. – Czuję się tak zrelaksowana i szczęśliwa, że nie docierają do mnie żadne złośliwości.

– Nie ma sprawy – mówi przez zaciśnięte zęby.

– Co ci jest? – pytam z uśmiechem, biorąc go pod rękę, jednak on odpycha mnie i pędzi przodem.

– Miałaś już chyba dość czułości jak na jeden wieczór – warczy, otwierając samochód.

– No co ty?! O co ci chodzi?

– O nic. – Rusza z piskiem opon.

– Ahmed, co się stało? Co cię ugryzło? – Przysuwam się do niego, usiłując położyć mu głowę na ramieniu i chwycić za rękę.

– Daj mi spokój! – krzyczy. – Teraz wiem, czemu tak pędzisz na ten fitness. Ścierwo!

– Co ty, do cholery, wygadujesz!? O co ci chodzi? O to, że przywitałam się z ludźmi? Takie tu panują zwyczaje! – krzyczę w jego stronę, żeby dobrze usłyszał.

– Ładne mi zwyczaje! Ha! – śmieje się ironicznie.

– Malika i Miriam też tutaj chodzą, twoje siostry, i też całują się z wszystkimi na przywitanie!

– Malika jest tutaj służbowo...

– Jak to służbowo? – Nic nie rozumiem. – Przecież ona pracuje w ministerstwie, a nie jako prezes klubu sportowego.

– Tak to! – krzyczy, obracając rozzłoszczoną twarz w moją stronę.

– Chcę wiedzieć! W końcu powiedzcie coś normalnie, otwarcie! – nie daję za wygraną, bo mam już dość tutejszych intryg i manipulacji.

– Przychodzą tutaj cudzoziemcy, którzy nota bene bardzo ciebie rajcują! Malika pracuje w ministerstwie spraw zagranicznych, więc tacy ludzie interesują ją zawodowo, zwłaszcza ci dłużej przebywający w naszym kraju. W końcu dotarło?!

– Miriam też tutaj ćwiczy. Jest Arabką, a jej mąż na to pozwala – podaję ostateczny argument, choć chyba nie najtrafniejszy.

– Nie żartuj sobie. – Ahmed wygina z pogardą usta. – Ona właśnie jest dowodem na to, że nasze kobiety nie powinny chodzić do takich miejsc. I nie udawaj znowu idiotki! – Uderza ręką w kierownicę, aż samochód niebezpiecznie skręca. – Przestań robić z siebie blond kretynkę, bo to mnie najbardziej wkurwia!

– Ahmed, czy ty nie widzisz, że jesteś śmieszny? – Patrzę na niego z pogardą i całkowitym opanowaniem. – Jesteś żaloszny.

– Ja jestem śmieszny?! Ty zdziro! – Uderza mnie na odlew w policzek.

– Za co, do cholery, za co? – pytam zszokowana.

– Ja tam stałem jak kretyn, a jakaś banda Niemców się z tobą obskiskiwała, a na koniec jakiś Arab nosił cię na rękach! Moją żonę, na moich oczach! Hańba! *Haram, haram!!!* – Osłaniam się przed drugim uderzeniem.

– Przecież widziałeś, że się wyrывałam. Nie chciałam tego, nie nadstawiałam się, nie prosiłam! – tłumaczę, bo w końcu do mnie dotarło, co się kroi i zrozumiałam, że jest źle. – Czemu jesteś zazdrosny bez powodu. Mnie

by w życiu nawet do głowy nie przyszło... Ahmed... – Zaczynam cichutko płakać. Tak dobrze się tam czuję, taka jestem zrelaksowana, a teraz oskarża się mnie o jakieś łajdactwa. – Przecież wiesz, że to nie w moim stylu. Znasz mnie. – Pochlipuję żałością.

– Teraz już nic nie wiem. Zraniłaś mnie i skompromitowałaś – mówi przez zaciśnięte zęby.

– Tak chcę chodzić na aerobik, to pozwala mi przetrwać. Wiesz, że nie mam żadnych koleżanek, nigdzie nie wychodzę, nie pracuję. Mam się po-grzebać żywcem?! – Kładę głowę na kolanach, nie mogę pohamować ogarniającej mnie rozpacz. Nie chce mi się żyć. To już koniec. – Sam to przecież wymyśliłeś... – używam ostatecznego argumentu.

– Widać nie wiedziałem, co robię.

Po ostatnim feralnym wyjściu do klubu nie zamieniliśmy z Ahmedem ani słowa. Następnym razem Miriam jak zwykle podjeżdża po mnie samochodem, a ja, nie pytając nikogo o zgodę, pakuję rzeczy i wychodzę. Przez całą drogę za wyjątkiem cześć i jak się masz, czyli rutynowego przywitania, nie mamy ochoty ze sobą rozmawiać. Ja straciłam do niej szacunek, ona chyba też nie darzy mnie już sympatią.

Mijają dni. Samira nadal mieszka z nami, a jej niby-mąż u siebie. Ambitna dziewczyna całymi dniami się uczy, ponieważ koniecznie chce dostać stypendium. Z taką opiekunką i sponsorką jak Malika jest to możliwe. Matki i Chadidży prawie nie widuję. Całymi dniami opiekują się dziećmi Miriam, Marysią i jeszcze jakimiś z sąsiedztwa, bo zawsze widuję na podwórku przynajmniej dziesięcioro dzieciaków. Malika również ostygła w swoich koleżeńskich porywach, ale nie wiem, czy ma to jakiś związek z fitnesssem, czy z jej zmiennym charakterem.

Dalej uczę się arabskiego. Już nawet jestem w stanie przeczytać gazetę z ogłoszeniami i co nieco w babskich pismach. Po długiej wewnętrznej walce zbliżyłam się też do komputera i pomimo fatalnego połączenia czatuję teraz w Internecie, jednak nie w celu nawiązania atrakcyjnych znajomości, lecz raczej znalezienia tutaj Polaków i jakiegokolwiek pracy. Samira całkowicie zapomniała o obiecanej mi pomocy, a ja sama boję się teraz wszystkiego. Poza tym nie mam środka transportu, a Ahmeda o nic nie chcę prosić. Zupełnie

wyleciała nam z głowy idea przeniesienia się na farmę. W obecnej sytuacji nie wyobrażam sobie tego, byłoby to już całkowite więzienie.

Pewnej nocy budzi mnie jakiś ruch i spostrzegam, że Ahmeda nie ma, choć jego miejsce jest jeszcze ciepłe. Gdzie on tak chodzi po ciemku? Poczekam chwilę, może pod osłoną nocy łatwiej nam będzie przełamać lody i znów zbliżyć się do siebie. Nadal tego chcę i na to liczę, bo przecież taki drobny incydent nie może rozbić małżeństwa, przeszliśmy o wiele gorsze rzeczy. Leżę dłuższą chwilę. W końcu zaczynam się niepokoić i postanawiam sprawdzić, co się dzieje. Może zwyczajnie przyrządza sobie jakieś smakołyki w matczynej kuchni albo ogląda ciekawy film na dole w salonie? Z chęcią mu potowarzyszę, bo ta samotność zaczyna mi doskwierać. Idę po ciemku, żeby nikogo nie obudzić. Wodzę ręką po ścianie wzdłuż schodów, lecz jakieś słabe światełko zaczyna powoli rozpraszać mrok. Dochodzi zza na w pół przymkniętych drzwi spiżarni. A nie mówiłam, że łasuchuje! Przyłapię go na gorącym uczynku – uśmiecham się pod nosem. Gdy jestem już blisko, słyszę dochodzące ze spiżarni przytłumione odgłosy. Nie jest sam...

– Hmeda, nie, proszę cię – słyszę błagalny szept Samiry. – To dawno minęło, to przeszłość, teraz jestem dorosłą kobietą, chcę wyjść za mąż... W zasadzie już jestem mężatką... Chcę mieć dzieci...

– Czy ktoś ci zabrania? – dziwnym głosem odpowiada mój mąż. – Niczego ci nie ubędzie, przecież robiliśmy to nie raz.

Wstrzymuję oddech i zamieram w bezruchu. O czym on mówi?

– Ale ja już nie chcę, nie mogę – w jej błaganiu słyszę rozpacz.

– Nie wydziwiaj, obracaj się, i to już – natarczywie żąda. – Mówię do ciebie! – nakazuje przez zaciśnięte zęby.

– Ja będę chora, byłam chora z tego powodu. – Samira tłumaczy się, szlochając. – Zostaw mnie, do cholery, masz przecież żonę! Czego ty jeszcze ode mnie chcesz!

– Twojej dupci, siostrzyczko.

– Cała rodzina złożyła się na to twoje pieprzone stypendium do Polski, żebyś tylko w końcu wyjechał i zostawił mnie w spokoju!

– Pewnie, pewnie...

– Chcesz mnie zajechać na śmierć!? – krzyczy, lecz jej głos zostaje stłumiony.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom i na palcach przybliżam się do szczeliny w drzwiach. Widzę mojego męża, który stojąc na ugiętych nogach wchodzi od tyłu w swoją siostrę, przygniecioną jego ciałem do starego drewnianego stołu. Odchyła się, macza rękę w stojącej obok beczce z oliwą, smaruje siebie i ponawia próbę. Wydaje przy tym zwierzęce, nieartykułowane dźwięki. Dziewczyna z rozrzuconymi długimi włosami próbuje się bronić, lecz jej ręce nie sięgają jego torsu, a szczupłe nogi, nie znajdując oparcia, konwulsyjnie drżą w powietrzu.

– Aaaa... – słyszę jej płacz, który przypomina żaloszny skowyt.

– O dobrze, tak dobrze, to rozumiem. – Ahmed dochodzi. – Grzeczna dziewczynka, o tak. – Głaszcze ją tłustą ręką po bujnych czarnych włosach.

Jeszcze gwałtowne ostatnie pchnięcie i całym ciężarem pada na delikatne ciało Samiry. Po chwili zadowolony wychodzi z niej i nadal pochylając się nad stołem, sięga do beczki z oliwą. Wyławia z niej jeden czarny owoc i ze smakiem zjada. Nie czekając, aż zostanie przyłapana, jak szalona rzucam się biegiem na górę. Serce dudni mi w piersi i nie mogę zebrać myśli. Wbiegam do sypialni, wskakuję do łóżka, nakrywam się cała włącznie z głową i drętwieję z przerażenia i obrzydzenia. Ta sytuacja mnie przerasta. Wszystkiego bym się mogła po nim spodziewać, ale nie czegoś takiego... Choć w zasadzie dlaczego nie? Mój Boże! Czy ja go w ogóle znam? Teraz czuam co noc i prawie każdej słyszę ciche skradanie się mojego męża, który znika na godzinę lub dłużej. Oczywiście nie pytam go o nic i udaję, że śpię. Za dnia chodzę jak struta i omijam go wzrokiem, bo nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy. To zaczęło się przed jego wyjazdem do Polski. Ale teraz, tak jak mówi Samira, ma mnie, żonę, z którą też mógłby znaleźć rozkosz. Już mu się nie podobam, nie pożąda mnie, postarzałam się, utylałam, spowszedniałam... Kiedy to do mnie dochodzi, jest mi jeszcze bardziej smutno. Po co ja się zgodziłam tutaj zostać, co ja teraz zrobię? Co za pazerna idiotka ze mnie! Napaliłam się na farmę, myślałam, że będę panią na włościach. A tu co? – gównno zawinięte w piękny kolorowy papierek, gównno, w które sama wdepnęłam, i to na własną prośbę.

Po kolejnej nieprzespanej nocy wczesnym rankiem wychodzę odetchnąć świeżym powietrzem do ogrodu. W cieniu w kącie, przy długim kamiennym stole, zauważam Samirę. Chwilę się waham, lecz w końcu kieruję się w jej stronę. Dziewczyna siedzi na miękkim plażowym fotelu. Na kolanach trzyma grubą książkę, lecz jej wzrok błądzi w próżni. Kiepsko wygląda – twarz popielata bez śladu zwykłego u niej rumieńca i zapuchnięte oczy. Włosy uczesała na gładko i upięła w skromny kok. Jak na nią, ubrana jest nietypowo – nie nowocześnie po europejsku, lecz w tradycyjną szarą długą arabską suknię. Wygląda jak zakonnica czy ascetka. Niemoc wyziera z całej jej postaci.

– Cześć, Samirka. – Jest mi jej niezmiernie żal i wstydę się za mojego męża.

– Blondi – mówi słabym głosem.

Przysiadam przy niej i biorę jej lodowatą dłoń w swoje ręce. Patrzymy sobie głęboko w oczy; ona jak zaszczuta, śmiertelnie zraniona zwierzyzna, ja ze smutkiem i litością. Rozumiemy się bez słów. Milczenie nam nie ciąży, wspieramy się uściskiem dłoni i swoją bliskością. Dwie nieszczęsne kobiety, obie w sytuacji bez wyjścia.

– *Salam* wszystkim. – Jak bomba do ogrodu wpada Malika.

Badawczo lustruje nas wzrokiem. Staje przed nami i zaciska usta, następnie delikatnie i z czułością, jak matka, gładzi Samirę po włosach. Na koniec podnosi za podbródek jej twarz do góry i ze smutkiem i boleścią wpatruje się w jej wymizerowaną buzię.

– Dobra – mówi po chwili, opierając obie ręce na stole. – Samira musi się przygotowywać do obrony, a jako że tutaj nie ma możliwości ani warunków, zabieram ją do siebie.

Biorę głęboki wdech i ze zdziwieniem kiwam głową.

– Coś nie tak, Blondi?

– Wszystko okej. Idealne rozwiązanie.

– Powiedzmy sobie szczerze: tymczasowe. – Obraca się na pięcie i pędzi w kierunku domu. – No, ruchy, dziewczyny! Pakujemy się. Czas nagli.



W jednej chwili rzucamy się za Maliką i bez zbędnych słów chwytny się ostatniej deski ratunku. W ciągu pięciu minut wszystkie rzeczy są już w pudłach i walizkach w bagażniku eleganckiego rządowego wozu.

– Teraz ty się trzymaj, mała Blondi – słyszę na pożegnanie z ust Samiry.  
– Takie życie. – Malika z goryczą wykrzywia wargi. – Damy radę, co, Dot? – Nie czekając na odpowiedź, wsiada do auta i rusza, a ja zostaję sama w tumanie kurzu.

Po tej rodzinnej interwencji, jeszcze tego samego dnia, Ahmed pakuje się i wyjeżdża. Nie wiadomo dokąd ani na jak długo. W końcu on nikomu nie musi się tłumaczyć ani prosić o pozwolenie.

– Cześć, Blondi – słyszę w słuchawce poważny głos Maliki. Co się stało, że sobie o mnie przypomniała?

– No co tam? – pytam niezbyt zachęcająco.

– Jestem u Miriam, zajrzysz?

– A do czego jestem wam potrzebna?

– A masz coś innego do roboty? – pyta ostro. – Nie chcesz, to nie, siedź w domu. – Odwiesza słuchawkę.

Co to za ton, do cholery. Jeśli ma zamiar traktować mnie jak Matyldę, to jej się to nie uda. Nerwowo kręcę się po mieszkaniu i nie mogę sobie znaleźć miejsca. Może coś się stało, może mnie potrzebują?

Przemykam truchcikiem pod ścianami budynków i wysokimi murami ogrodzeń i po chwili jestem już na miejscu. Otwieram drzwi i z impetem wpadam do domu Miriam.

– Cześć, dziewczyny! – krzyczę od progu. – Gdzie jesteście?

– Tutaj, tutaj. – Malika mówi przytłumionym głosem, wychodząc mi naprzeciw. Widzę krew na jej rękach i eleganckiej spódnicy.

– Chryste Panie, co się stało?! – pytam szokowana.

– Mały wypadek przy pracy – odpowiada, wbijając oczy w podłogę. –

Możesz przy niej chwilę posiedzieć? Jest w sypialni. Ja pojedę kupić resztę niezbędnych rzeczy.

Przechodzę przez zaciemniony wielki salon i wspinam się po schodach na górę. Dzieci oczywiście nie ma – są w szkole albo u matki. Dom zije pustką,

pachnie tu teraz lekami i środkami dezynfekującymi. Wchodzę do pokoju i widzę Miriam leżącą na łóżku z bladą, ściągniętą bólem twarzą. Podchodzę na palcach i siadam obok niej. Delikatnie biorę jej rękę, lodowatą i wilgotną od potu. Biedna dziewczyna.

– Chcę umrzeć – słyszę jej szept.

– Co ty mówisz, wszystko będzie dobrze – pocieszam ją, choć nie mam pojęcia, co tutaj zaszło.

– Malika mnie zniszczy...

– Tak, teraz zła Malika – słyhać syk zza drzwi. – Tyłek ci ratuję, ale ty uważasz, że pragnę twojej zguby! Boże, *Wallahi*, naprawdę nic nie warto robić dla tej rodziny! – bez skrupułów wrzeszczy na biedną chorą.

– Sama też dałabym sobie radę, prosiłam cię tylko o podwiezienie. – Miriam ożywia się i podpierając na łokciu, usiłuje się podnieść.

– Ładnie byś sobie poradziła! Ha! Całe mieszkanie było we krwi. – Teraz zauważam kropłówkę wiszącą na stelażu po drugiej stronie łóżka.

– Poroniłam i zabieg zrobiono by mi w każdej klinice.

– Taaak!?! – ryczy Malika, teatralnie wymachując rękami. One nawet na łożu śmierci potrafią urządzić karczemne awantury. Nie do zniesienia.

– Dziewczyny, dajcie spokój – proszę przyciszonym głosem.

– *Shut up!* – krzyczą zgodnie, obracając głowy w moim kierunku.

– Ta głupia dziwka, moja siostra – Malika kontynuuje, wtajemniczając mnie w szczegóły – uważa, że mogłaby pojechać na skrobankę do każdego szpitala ...

– To nie była skrobanka! Nigdy w życiu nie pozbyłabym się tego dziecka!

– Czyszczenie po poronieniu nie jest niczym innym jak skrobanką, dziecinko! A do śmierci tego ukochanego dzidziusia doprowadził twój kochaś, pieprząc cię bez umiaru.

– Ty...

– Ja wiem, co mówię! Dobrze, że spojrzałam w twoje krocze, zanim cię wsadziłam do auta! Było tam więcej spermy niż resztek nieszczęsnego dzieciaka.

– Bzdury! – Miriam nadal próbuje się bronić, lecz osłabiona pada na poduszki.

– Jedziesz do rejonowego szpitala w jednym z tradycyjnych krajów muzułmańskich i rozkraczasz się przed pierwszym lepszym ginekologiem. Nawet największy konował powie ci, że jeśli byłaś w ciąży, to nie należało się rżnąć jak bura suka. Włącznie z seksem analnym. Zaraz też będzie chciał wezwać na rozmowę edukacyjną twojego kochanego męża, bo przecież pani jest mężatką, i uświadomić go, żeby niegrzeczny chłopczyk już więcej tak nie robił.

– Daj spokój! – Miriam próbuje przerwać zenującą opowieść Maliki.

– Och! – kontynuuje bezlitosna siostra. – A gdzież to szanowny małżonek? Nie ma go? Od miesiąca nie było go w domu? To któż miłą panią, cnotliwą żonkę, tak wczoraj wybykał?

Nogi mi miękną i wydaje mi się, że zaraz zemdleję. Malika naprawdę ma jaja. Oby zawsze stała po mojej stronie.

– Ja od mojego męża i tak odchodzę – informuje nas Miriam zapłakanym głosem.

– A mogłabyś mi powiedzieć, dokąd? – Malika siada w nogach łóżka, bo nawet dla niej jest już tego za dużo.

– Nie wiem dokąd, ale wiem z kim.

– Aaaa, twoje mrzonki znają wszyscy. To tajemnica poliszynela. Kompromitujesz nie tylko siebie, ale i całą rodzinę! – znów podnosi głos.

– To już przeszłość! Teraz wszystko się zmieni...

– Co? Zostawisz rodzinę, dzieci i pójdiesz za tym złamasem na koniec świata.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich. – Jest całkowicie opętana. Należałoby odprawić egzorcyzmy i chyba właśnie Malika zamierza się za to zabrać.

– Ty idiotko! – ryczy, zrywając się na równe nogi. – A ja uważałam, że mam inteligentną i wykształconą siostrę. Kretynka, oślica, tumanica...

– Dość już! – Miriam prawie zrywa się z łóżka i wygląda na to, że za chwilę dojdzie do bijatyki.

– Jak mogłaś pozwolić sobie na romans z największym jebaką w stolicy?! On zalicza wszystko, co mu się nawinie pod rękę. Nie ma szacunku dla kobiet, skoro zabiera się nawet za mężatki, i to Arabki. Dlatego też nikt go nie szanuje, nawet koledzy mówią o nim z pogardą, a rodzina wiele by dała,

żeby się go pozbyć. Sami postawili mu dom, urządzili, żeby się tylko od nich wyniósł.

– To nieprawda! Jakieś nieporozumienie...

– Chyba wiem, co mówię! – ostro stawia sprawę Malika. – A gdy wasz romansik wyjdzie na jaw, to nawet jeśli twój mąż go nie zabije, co byłoby dla dobra ogółu idealnym rozwiązaniem, w najlepszym wypadku twój kochaś wylądjuje w rodzinnej wiosce na pustyni! I wtedy będzie mógł już dymać tylko i wyłącznie owce, no... czasami dla osłody wpadnie jakaś kózka.

– Chcesz na niego donieść? – pyta przerażona Miriam.

– Nie! Ty chcesz całe to bagno wywlec na światło dzienne! Ty chcesz doprowadzić do tego wielkiego nieszczęścia! Jestem przekonana, że on usiłuje się z tego wszystkiego wykręcić, choć z drugiej strony tak trudno odmówić zakochanej do szaleństwa kobiecie – mówi ironicznie. – A jeszcze trudniej odmówić sobie darmowego jebanka.

– Łzesz! – Miriam, mimo osłabienia, zrywa się z łóżka i usiłuje dosięgnąć włosów Maliki, która bierze zamach i siarczysty policzek odrzuca chorą do tyłu. Pada na poduszki wstrząsana gwałtownym szlochem.

– Jeśli twierdzisz, że on jest taki cudowny i kochający, i chce z tobą być do grobowej deski, to zaproś go dzisiaj do siebie. Niech przyjdzie i zobaczy cię, kiedy jesteś chora i cierpiąca, a nie tylko cudowna i gotowa do szaleństw. Zobaczymy, czy wyciągnie do ciebie rękę, czy zaraz po przyjściu zacznie się dokądś spieszyć.

– Nie muszę go zapraszać, będzie tutaj za godzinę lub dwie.

– My z Blondi, niestety, nie opuścimy twojego domu rozpusty, tak jak byś sobie tego zapewne życzyła – oświadcza Malika, wciągając mnie wbrew woli w rodzinne szambo. – Siądziemy sobie w garderobie i posłuchamy, co ma ci do powiedzenia, żebyś potem nie mogła koloryzować. Przypilnujemy też, żeby do czegoś złego nie doszło.

– Oszalałaś?! – Miriam wybałusza oczy i łapie powietrze otwartymi ustami.

– Nie, to ty jesteś szalona, a ja, niestety, jestem twoją siostrą i muszę cię ratować. – Malika rozkłada z bezsilności ręce. – Chcę tego czy nie! – Po tych słowach uderza się ze złością po udach. – Już trochę się rozruszałaś, więc ze

spokojnym sumieniem zostawiamy cię i idziemy posprzątać ten bajzel, który narobiłaś, aby twój kochaś, kiedy tutaj przyjdzie na kolejną schadzkę, nie brodził we krwi i szczątkach swojego dzidziusia – mówi przez ramię na odchodne.

Spociłam się, choć klimatyzacja chodzi na pełnych obrotach. Czuję się okropnie, boję się, mam wyrzuty sumienia, jakbym to ja sama narozrabiała.

– Jak do tego doszło? Co do tego doprowadziło? – pytam.

– W dupie jej się poprzewracało, i tyle – burczy Malika. – O czym tylko zamarzyła, miała, góra szmalcu, zero kłopotów, zero obowiązków.

– Niby powinna być szczęśliwa, cieszyć się życiem... Może chciała wyjść do ludzi, podjąć jakąś pracę? – Rozumiem ten problem.

– Gówno prawda! Ty myślisz, że ona chciała pracować, wstawać o siódmej czy ósmej rano i pędzić do biura?! Mahmud sam załatwił jej posadę u siebie w firmie. Pracując na pół etatu, zarabiałaby więcej niż ja za cały etat w ministerstwie, włącznie z moimi premiami. W końcu to branża naftowa.

– To już nic nie rozumiem. Ona mówiła zupełnie co innego.

– Odkąd jej odbiło na punkcie tego jebaki, zupełnie zatraciła rozeznanie między prawdą a kłamstwem, jawą a snem.

– Jeśli masz takie złe zdanie na temat tego faceta, to dlaczego ich ze sobą poznałaś?

– Zgłupiałaś czy co, nigdy nie robiłam za niczyją swatkę! Po prostu wzięłam ją ze sobą na fitness, bo żal mi było, że sama siedzi w domu. Poza tym chciałam, żeby jakaś inna Libijka chodziła na te zajęcia. Sama zbyt rzucałam się w oczy.

– Ty tam jesteś służbowo – gram va banque.

– Sprzątajmy – słyszę jednoznaczny odpowiedź.

W garderobie jest duszno, kurz unosi się nad nami białym obłokiem i obawiam się, że za chwilę zacznę kichać.

– Punktualnością to on nie grzeszy – szepcze Malika.

– Tak to jest – chcę powiedzieć „z wami”, ale w ostatniej chwili gryzę się w język.

– Jakież to żalosne. On sobie tutaj przychodzi jak do siebie. Sąsiedzi wszystko obserwują i już na pewno wzięli nas na języki.

– Przecież chyba robi to dyskretnie.

– Dyskretnie to siedzą wszystkie okoliczne sąsiadki w oknach, na balkonach lub tarasach i czekają tylko, żeby coś się wydarzyło. One tym żyją, nie mają nic innego do roboty.

Milkniemy. Czuję, jak pot spływa mi po plecach i wsiąka w bawełnianą bluzkę, ale nie tyle z gorąca, ile z nerwów. Słyszę jakiś ruch i chwytam Malikę za rękę. Miażdżymy sobie palce i wstrzymujemy oddech.

– *Hi, baby.*

– Przyszedł. Delikatnie uchylamy drzwi garderoby i widzimy postać pochylającą się nad Miriam. – Co z tobą? Na Allaha, co się stało?

– Wiesz, nie mówiłam ci, ale byłam w ciąży – próbuje tłumaczyć słabym głosem.

– Co?! Z kim?

– Jak to...?

– No tak! Pięknie! – słyhać panikę w jego głosie. – Jesteś mężatką, doświadczoną kobietą, a takie wiedzą, jak się uchronić przed wpadką – mówi obrażonym tonem.

– Ale jak cię widzę, to zapominam o wszystkim, w tym o antykoncepcji.

– Nie opowiadaj bzdur! – Hamid wścieka się już nie na żarty. – Ty chcesz coś na mnie zrzucić, obciążyć mnie.

– Nie, kochanie. Przecież ja cię nie obwiniam. Ja byłam szczęśliwa, nosząc twoje dziecko.

Mężczyzna nie ściąga nawet kurtki. Przysiada na brzegu łóżka i patrzy spode łba. Ściska palce, aż słyhać trzask wyłamywanych stawów.

– Przecież mówiliśmy ostatnio, że musimy zmienić tę sytuację, że tak dłużej być nie może – kontynuuje Miriam.

– No właśnie.

– Więc myślałam, że poczekam z poinformowaniem cię do czasu, aż coś postanowimy.

– A cóż my niby możemy postanowić. Sprawa jest jasna.

– Tak? Nie dla mnie, Hamid. – Miriam siada i usiłuje położyć głowę na jego ramieniu.

– Dajżeż już spokój, ile można! – krzyczy kochanek, skacząc na równe nogi. Czuję, jak Malika drży i zaciska szczęki.

– Nie rozumiem – płaczącym głosem mówi blada niczym ściana Miriam.

– Czego nie rozumiesz? Było przyjemnie i trzeba się z tego cieszyć!

– Co?

– Tak, trzeba żyć tym, co Bóg daje, cieszyć się chwilą i nie komplikować sobie życia.

– Jak to?

– Jesteś mężatką i cały czas cię przekonywałem, że powinnaś wrócić do męża, dzieci, nie zostawiać rodziny. Trzeba było słuchać, co się do ciebie mówi!

– Ale ja kocham ciebie... Ty też...

– Jakaś ty głupia! – wykrzykuje i zaśmiewa się ironicznie. Z rozbawienia aż klepie się rękami po udach, jednocześnie chodząc dookoła łóżka i kręcąc głową na boki. – Daj mi w końcu spokój i przestań mnie dręczyć! Czy muszę ci to tak dosadnie powiedzieć, bo inaczej nie zrozumiesz?!

– Hamid, nie mów tak, proszę. – Miriam próbuje wstać z łóżka, lecz pada na poduszki, nie wiadomo z osłabienia czy rozpacz.

– Kobieto, ja nie mam zamiaru sobie życia przez ciebie zmarnować albo wręcz skrócić – już przestał się kontrolować i mówi to, co naprawdę myśli. – Ten romans to był największy błąd. Na co mi to było?! – Chwyta się za głowę. – Co mnie podkusiło?!

– Hamid. – Miriam szlocha i nie jest w stanie wydusić z siebie nic rozsądnego. To oświadczenie ukochanego musi być dla niej strasznym ciosem.

– Tak mnie kusiłaś, tak mnie czarowałaś, chodziłaś za mną jak cień, że najuczciwszy by nie wytrzymał. Eh! – Macha z lekceważeniem ręką i obraca się w kierunku wyjścia.

– Ja ciebie podrywałam?! – zraniona kobieta nie wytrzymuje już tych oszczerstw. – Ja ciebie, ty gnoju!? Malika miała rację, jesteś skurwielem, niewartym, żeby nawet na ciebie splunąć. Ty mendo! – Miriam krzyczy na całe gardło.

– To Malika o wszystkim wie? – z paniką w głosie pyta Hamid. – Jak mogłaś?

– A jak ty możesz mi to robić, hę?

– Ty kurwo! Współczuję twojemu mężowi, że sobie wziął taką wywłokę!

Jakbym był na jego miejscu, tobym cię zabił! *Szarmuta, szarmuta!*

Miriam sięga po wielki kryształowy wazon stojący na szafce nocnej i ciska

nim w byłego kochanka. Szkło rozpryskuje się po całym pokoju, lecz nie trafia w cel.

– Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj, łajdaku! Przeklinam cię, oby ci Allah

wypłacił za twoje grzechy. On wszystko widzi i wie, kto jest czysty, a kto winny!

– Ty mnie Bogiem będziesz straszyć! – Teraz wydaje się bardziej przerażony, niż gdy usłyszał o wtajemniczeniu Maliki w sprawę. Jakież bogobojny człowiek!

– Klucze, oddawaj klucze! Już! – Miriam sięga po kubek będący w zasięgu

jej ręki. Kawa rozpryskuje się po ścianach.

– Nie dzwoń i nie błagaj! Pamiętaj! Dość! – krzyczy Hamid, rzucając pękiem kluczy w twarz Miriam. – Wściekła kurwa!

– Ty synu osła! Ty synu psa! Ty alfonsie! – najgorsze obelgi w arabskim stylu padają pod adresem wychodzącego, który ucieka, ani razu nie obejrzawszy się za siebie.

W końcu wychodzimy z szafy. I co tu mówić? *No comments.* Siadamy na łóżku i milczymy. Miriam nie płacze. Pustymi oczami patrzy przed siebie w przestrzeń. Obawiam się, że cała sprawa nie zakończy się tu i teraz. Byłoby to zbyt proste.



## Polska szkoła

A mogłoby być jak w raju. Spełniły się wszystkie moje marzenia, prawie wszystkie. Mam dobrą pracę, nie męczącą i nieźle płatną, cudownego, nadskakującego mi szefa, otaczają mnie życzliwi ludzie, mam przyjaciółkę od serca, Marysia rośnie jak na drożdżach, nie choruje, nie sprawia kłopotów i uwielbia przesiadywać ze mną w świetlicy, gdzie robi niesamowite postępy w nauce. Rodzina jest w miarę życzliwa i się nie narzuca, lecz on, mój mąż... Nie powinnam się zdręzczać, ale nie potrafię zapomnieć słów Ahmeda podczas naszej ostatniej kłótni i ostrzeżeń życzliwych mi ludzi. Co zrobić, żeby naprawić nasze stosunki, uczynić je szczerymi i otwartymi, zburzyć ten mur, który między nami wyrósł? Obecnie wszystko wygląda całkiem poprawnie, lecz łagodność mojego męża może być tym sygnałem, na który kazano mi uważać. Jest to bowiem, jak na niego, nietypowe zachowanie. Nagle przestał się złościć i wściekać, przestał być zazdrosny, wręcz sam popycha mnie w stronę towarzystwa, czasami zawozi mnie do pracy, kiedy indziej odbiera, zaczęliśmy znów razem wychodzić do restauracji i na zakupy, a nawet uprawiać seks. Może jestem przewrażliwiona, ale nie mogę uwierzyć, aby ktoś sam z siebie nagle do tego stopnia się zmienił. Czuję, że to wszystko jest jakieś nierealne i udawane.

– Mam czas, chodź, pojedziemy gdzieś – mówi Ahmed, całując mnie na powitanie pod szkołą.

– A dokąd? – dziwię się, bo zazwyczaj na złamanie karku gnamy do domu na obiad.

– Niespodzianka – oznajmia zagadkowo, a mnie serce zaczyna łomotać.

Droga nie zajmuje nam zbyt wiele czasu, zatrzymujemy się przy dużym placu niedaleko centrum i naszego domu.

– Wprawdzie Hassan załatwił ci już wszystko u swojego kuzyna, ale my też mamy rodzinę – oświadcza Ahmed, a ja nie wiem, o co mu chodzi. – Jesteśmy na miejscu, wysiadka – śmieje się, pomagając Marysi wypiąć się z fotelika. – Chodź do taty. – Podnosi córeczkę i mocno tuli ją do siebie.

Podbiega do nas młody człowiek i wylewnie wita się z Ahmedem, a następnie łamaną angielszczyzną ze mną.

– To Ibrahim, mój kuzyn, a to moja żona z Polski – przedstawia nas. – Ktoś tutaj chciał robić prawo jazdy, czy może się mył? – zwraca się do mnie.

– A?! – nic więcej nie jestem w stanie wyartykułować.

– To ja się pytam.

– Ahmed! – Nie panując nad swoim zaskoczeniem i ogromną radością, rzucam się na niego i zawisam mu na szyi. – Dziękuję! Kiedy zaczynam? Nie mogę się już doczekać. – Podskakuję i klaszczę w ręce jak mała dziewczynka.

– Jeśli nie umrzesz z głodu, możesz już teraz. – Ahmed śmieje się zadowolony. – My jedziemy do domu na obiad, daleko nie mamy, a po godzinie cię odbierzemy.

– Super, już chcę jeździć!

– Tylko nie porozbijaj wszystkich samochodów w okolicy, bo się nie wyplącę – niegroźnie pokpiwa sobie ze mnie.

Macham im ręką na pożegnanie i siadam za kółkiem zdezelowanego hyundaia. Nawet nie próbuję szukać w tej cudownej sytuacji zastawionej na siebie pułapki. Nie dajmy się zwariować, do cholery! Po prostu znów jest dobrze. Widać z Ahmedem tak już jest – ciągnęła huśtawka nastrojów.

– Baśka, Basieńka! – Następnego dnia rano wpadam do szkoły i biegnę prosto do pokoju nauczycielskiego.

– Co, pali się? – wita mnie ze śmiechem przyjaciółka.

– Ty sobie wyobrażasz, że wczoraj zaczęłam kurs prawa jazdy? – wyrzucam z siebie.

– Nic mi Hassan nie mówił – dziwi się. – To Ahmed dał ci w końcu twój paszport?

- Zapiisał mnie do szkoły swojego kuzyna – śmieję się uradowana.
- Pogratulować. Aż się nie mogę nadziwić, jaki spryciarz z niego.
- Czemu tak mówisz? Cały czas musisz szukać dziury w całym? –

Zaczyna mnie to denerwować. – Jak coś zrobi źle, to wiadomo, jest paskudny, ale jeśli dobrze, to dlaczego też go krytykujesz?

– Nikt się go nie czepia! Wierz mi, chcę tylko i wyłącznie twojego dobra. Niech ci się wiedzie, a wszystko co złe idzie w zapomnienie. Ludzie czasami błędzą, lecz najważniejsze, żeby w końcu wyszli na prostą. Mam nadzieję, że wy właśnie wkroczyliście na swoją ścieżkę szczęścia. *Mabruk!*

– Teraz już trochę lepiej. I muszę przestać szukać tych głupich znaków, którymi tak mnie nastraszyliście, bo inaczej oszaleję, a w tutejszym wariackowie nie chciałabym wylądować. – Obie wybuchamy śmiechem, lecz widzę cień smutku w oczach mojej przyjaciółki. Pesymistka!

Czas płynie spokojnie, bez większych zawirowań, i czuję się, jakbym żyła tutaj od zawsze. Znów jestem szczęśliwa i aż sama sobie się dziwię, jak szybko potrafię się pozbierać po niepowodzeniach. Kiedyś nawet Basia stwierdziła, że po mnie wszystko sływa jak po kacze i następnym razem nie ma zamiaru tak się o mnie zamartwiać. Mam nadzieję, że nie będzie już miała do tego okazji.

– Jak ci się pracuje w tej szkole? – pyta zaciekawiona Malika.

– Nawet nie masz pojęcia, jak się udało – mówię z uśmiechem na ustach. – Praca żadna, siedzę sobie z paroma dziećmiakami, rysujemy, gramy, czasami robię im jakieś ćwiczenia gimnastyczne, za co zresztą zostałam oficjalnie pochwalona.

– Ale rzadko cię teraz widuję na fitnessie – mówi z przekąsem.

– Nie mam czasu, ale to chwilowe. Muszę się tylko lepiej zorganizować.

Za to rano albo wieczorem ćwiczę w domu.

– Zuch dziewczyna – szczerze cieszy się Samira. – Nie zaniedbuj też rodziny, to znaczy nas. Powinniśmy częściej się widywać. Polskie koleżanki zapewne lepiej cię rozumieją i przypominają ojczyznę, ale my...

– Wy jesteście najważniejsze – mówię trochę nieszczerze. – Bez waszej pomocy na początku zginęłabym.

– Pamiętaj o tym. Rodzina to podstawa, choć czasami pozostawia wiele do życzenia. Ale co zrobić, nie wybiera się jej i trzeba zaakceptować taką, jaka jest. – Malika wypowiada same mądrości. – Tylko na rodzinie możesz polegać, prawda, Sami?

– Oczywiście, masz rację – odpowiada zagadnięta, lecz spuszcza wzrok i błednie.

– A ile zarabiasz? – Malika chyba przeprowadza śledztwo, a nie spotyka się ze mną towarzysko.

– Pięćset – zeznaję jak przed fiskusem.

– Jak na osobę po maturze, to całkiem nieźle.

– Dla mnie super. W Polsce jako świetliczanka w życiu nie dostałabym pięciuset dolców.

– Co?! Zielonych?! Myślałam, że dinarów. Ja w ministerstwie i to z doktorem tyle nie wyciągam. Toż to kpina, nasze biedne państwo całkiem pójdzie z torbami – wścieka się Malika.

– Nie z waszej kieszeni mi płacą – spokojnie tłumaczę, próbując zażegnać burzę. – To polska szkoła i pensje płyną z polskiego garnuszka.

– Jak tak, to mogą ci dawać nawet dwa kawałki – uspokaja się.

– Samirka, nic nie mówisz, co z twoją obroną? – zmieniam temat na, wydawałoby się, bezpieczniejszy.

– Kiepsko – odpowiada ze smutkiem. – Wiesz, trochę chorowałam i do tej pory nie mogę się pozbierać...

– Nie przesadzaj. – Malika nikomu nie da się roztkliwiać. – Pieścisz się ze sobą, i tyle. Gorsze rzeczy ludzie przechodzą i dobrze jest. Ty całe życie byłaś oczkiem w głowie tatunia i mamuni, to nie potrafisz twardo stąpać po ziemi.

– Cóż, do miesiąca powinnam być po wszystkim. Ale stypendium szlag trafił. – Samira lekceważy niemiłe słowa siostry, widać nie raz już je słyszała.

– Może uda się następnym razem – usiłuję ją pocieszyć.

– Widzisz! Tak trzeba myśleć, a nie od razu rozpaczać. Na pewno wyjedzie tuż po nowym roku.

– Świetnie! Do Kanady?

– Nie wiadomo. Jeśli będę dalej chorować, to przestanę się starać o wyjazd.

– Blondi, posłuchaj, gdzie i jak chce zorganizować ślub – podminowana Malika zmienia temat.

– Ojej, daj już spokój. – Samira powoli zaczyna mieć dosyć. – Miałyśmy sobie miło posiedzieć, poplotkować, zazerwać się, a ty tylko wszystkich rozliczasz i punktujesz.

– Dobrze, już kończę, ale muszę poinformować naszą przyszywaną siostrę o twoim superpomyśle. Powiem krótko: wesele ma być w domu dla garstki przetrzebionej rodziny i paru przyjaciół z uczelni.

– Tak też można – wyrażam swoją opinię. – Nie rozumiem wydawania kupy pieniędzy tylko po to, żeby popisać się przed ludźmi. Na pewno będzie kameralnie i sympatycznie.

Samira nic nie mówi, tylko wymownie kiwa głową w stronę Maliki, a ta sznuruje wargi i nerwowo zaczyna spoglądać na zegarek, na koniec zrywa się i wymaszerowuje z dumnie wypiętą piersią. Wiadomo, Malice nie należy się sprzeciwiać.

– Jak ty z nią wytrzymujesz? – ciągnę Samirę za język.

– A jak ty z moim bratem? – pyta, kończąc w ten sposób nasze miłe rodzinne spotkanie.

Nie ma szkoły bez dyskoteki. Dobrze pamiętam, jak wyglądała organizacja szkolnych imprez w naszym liceum. Dyskotekę przygotowywała grupka zapaleńców, nauczyciele wypinali się na wszystko, a dyrektor był wściekły, że musi wyrazić zgodę. Tutaj wygląda to zupełnie inaczej. Nie wiem, komu bardziej zależy na zabawie, młodzieży czy kadrze. Wszystko jest ustalone, omawiane i przygotowywane wspólnie. Na czele komitetu organizacyjnego stoi oczywiście Basia, a ja jestem jej przyboczną. Nauczyciele i rodzice przygotowują jedzenie, i to nie byle co, tylko normalne dania, jak na domowe przyjęcie.

– Słuchaj, ale przecież my nie będziemy się młodzieży płatać pod nogami – zdziwiona mówię do Basi.

– Ty to jeszcze jesteś dziecko, większe niż nasze nastolatki – śmieje się ze mnie. – Ta szkoła to nie tylko placówka edukacyjna, to taki dom polski. Dlatego też i my, dorośli, uczestniczymy w dyskotekach. Przyjdą jeszcze ludzie z ambasady, dyrektorzy firm, lekarze. To w zasadzie kolejne polonijne spotkanie. Młodzież będzie na piętrze, a starzy na parterze, nikt sobie nie będzie przeszkadzał. Okej?

Biegnę do domu jak na skrzydłach, chcąc powiedzieć Ahmedowi o imprezie. Oczywiście nie pamiętam już, jak skończyła się ostatnia i nic mnie nie niepokoi. Wtedy były inne czasy, a teraz są inne.

– Słuchaj, w ten czwartek w szkole organizujemy dyskotekę. – Wpadam do naszej sypialni.

– Dla młodzieży? Będziesz miała dyżur jako belfer?

– Nie, dla wszystkich! – wykrzykuję radośnie. – To takie kolejne polonijne spotkanie. Młodzież i starzy, tak tutaj podobno jest przyjęte, i wszyscy dobrze się bawią.

– No i co w związku z tym? – Marszczy czoło.

– Pójdziemy razem, prawda? Chyba nie jesteś zajęty? – pytam już mniej pewnie.

– Z tego co pamiętam, wszystkie nasze wspólne imprezy kończyły się fiaskiem, a jednej omal nie przypłaciłem życiem – wymownie wskazuje na całkiem już wyblakłą szramę na szyi.

– Nie przesadzaj, to zupełnie co innego. – Denerwuje mnie jego brak entuzjazmu. – To, czy będziemy się dobrze bawić, w znacznej mierze zależy od ciebie – docinam mu na koniec.

– Ty na pewno będziesz przeszczeniwa, bo wszystkie obleśne, spoczone samce będą się ślinić na twój widok...

– Co?! – wykrzykuję. – Znowu zaczynasz?! A ja myślałam, że mamy to już za sobą.

– Pobożne życzenie! Mam się cieszyć, że moja żona pokazuje cycki każdemu, kto tylko nosi portki?

– Co ty pieprzysz?! – nie wytrzymuję. – To może chciałbyś, żebyśmy chodziła w czarnej abai i chuście? Żadna z twoich sióstr tak się nie ubiera – podaje ostateczny argument.

– A czy one pchają się chłopom w ramiona, dają obcałowywać po rękach?

– Pleciesz jakieś straszliwe bzdury! Obrażasz mnie, ale nie bierzesz pod uwagę tego, że wyrażasz opinię o sobie samym. W końcu ty sobie wybrałaś taką żonę.

– Każdy może się pomylić – oświadcza spokojnie, a mnie zamurowuje.

– Nasze małżeństwo jest dla ciebie nieporozumieniem? To znaczy, że ostatnio znowu się zgrywałeś?

– Nie mam ochoty uchodzić tutaj za męża sadystę. Daję ci wolną rękę i zobaczymy, do czego cię to doprowadzi.

– Ty mi robisz jakieś testy? Próby?

– Już ci powiedziałem. Daję ci szansę...

– Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłam? Co ci złego zrobiłam, że tak mnie traktujesz?

– Nie będę się powtarzać, bo to staje się nudne. – Wykrzywia się pogardliwie. – Powiedziałem ci, co myślę o twoim zachowaniu i możesz to zaakceptować lub nie. Wszystko mi jedno.

Po tych słowach Ahmed narzuca kurtkę i zbiera się do wyjścia.

– A ty dokąd? Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. – Zastępuję mu drogę.

– Ja już skończyłem. Cześć. Baw się dobrze.

Dla mnie dyskoteka przebiega tragicznie. Jestem jedyną osobą upitą w sztok. Wieszam się na wszystkich facetach, wywracam się na parkiecie, wlewam w siebie hektolitry alkoholu i zamęczam wszystkich swoim bełkotem. Ten straszny wstyd ukróca Baśka, ładując mnie do samochodu Hassana, który zawozi mnie do ich domu. Po drodze puszczam przez okno dwa pawie, zalewam się łzami i smarkam w rękaw wyjściowej marynarki mojego przyjaciela. Zanim docieramy na miejsce, usypiam.

Ahmed znowu rzadko pokazuje się w domu. Jeśli nawet przychodzi, sypia teraz w gabinecie na parterze. Znów ze mną nie rozmawia. Dość krótko trwała odwilż w naszych wzajemnych stosunkach. Ponownie zaczynam się

niepokoić o nasze małżeństwo i zastanawiać nad celowością mojego pobytu tutaj. Nadal nie mam paszportu i nawet go nie zobaczyłam przy zapisywaniu się na kurs prawa jazdy, bo wszystkie formalności załatwił mój przebiegły mąż. Na koniec dostałam małą zalaminowaną tekturkę wypisaną po arabsku i wolno mi już prowadzić samochód. Jednak zastanawiam się nad jego kupnem, bo nie wiem, jak długo tutaj wytrzymam. Pensję zbieram „do skarpety” i chowam w najgłębszej szufladzie w garderobie. Jest to moje awaryjne zabezpieczenie, którego nigdy nie chciałabym użyć. Ciągle mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

– Dopóki nie zrezygnujesz z pracy i nie zamkniesz się w domu, on się nie uspokoi – wyjaśnia mi Samira. Szukam pomocy wśród jego bliskich, którzy w końcu znają go najlepiej. – Jakbyś jeszcze mu urodziła parę nowych bobasków, byłby wniebowzięty i dałby ci spokój – mówi z przekąsem.

– Samira, to niemożliwe. On cały czas twierdził, że jest przeciwny tradycyjnym zwyczajom i takiemu traktowaniu kobiet. Mówił, że dlatego właśnie ożenił się ze mną, bo chce mieć nowoczesną i kochającą się rodzinę.

– Kłamał i grał. On potrafi, ma to opanowane do perfekcji. Może i odpowiada mu bladolica żona, ale przeniesiona w nasze realia musi poddać się odwiecznym regułom. Przykro mi, Docia, ale taka jest prawda. Straszliwie wdepnęłaś.

– Nie mogę w to uwierzyć – oponuję. – Przecież...

– Ja też miałam nadzieję, że się zmienił – przyznaje smutno. – Tak wyglądało na początku, po waszym przyjeździe. Ale nic z tego, to nadal ten sam stary Ahmed, arabski samiec.

– I co teraz? – pytam bezradnie.

– Ja ci zawsze chętnie pomogę, ale nigdy nie zwracaj się ze swoimi wątpliwościami do Maliki. Ona jest taka jak mój braciszek. Tylko udaje nowoczesną i wyzwoloną, w głębi serca jest zagorzałą konserwatystką. Uważa, że to ona i tylko ona może być tym żeńskim wyjątkiem, który potwierdza regułę. Reszta powinna siedzieć w zamknięciu, zniewolona i upodlona przez męskich panów i władców.

– Przeróżasz mnie – szepczę.



– Docia, uważaj na siebie. Musisz sobie przemyśleć i uświadomić, co dla ciebie jest ważniejsze: czy miłość Ahmeda – bo kocha cię na pewno, ja to widzę – i wasze małżeństwo, czy niezależność i samodzielność.

– Skąd ty, młoda dziewczyna, masz taką życiową mądrość?

– Od zawsze musiałam balansować na linii, intrygować, kłamać i kombinować. Tutaj kobiety mają przechlapane. Również dziewczynki – kończy z westchnieniem i wymownie patrzy mi w oczy.

– Samira mówi, że jeśli nie zrezygnuję z pracy, to po moim małżeństwie – odbywam kolejną telefoniczną konferencję z Bašką. – Co mam robić? Poradź!

– Siostra zna go chyba najlepiej – mówi spokojnie. – Wydawało mi się, że każdego można zmienić, a przynajmniej trochę utemperować, ale on stanowi ciężki przypadek. Chyba nic z tego, musisz się podporządkować albo go opuścić.

– Ale ja go ciągle Kocham, tylko że teraz to tak bardzo boli – zwierzam się.

– Szkoda mi cię, Dorota. Pamiętaj, że nawet jeśli zamkniesz się w domu, będziesz mu rodzić co rok dziecko, wcale nie jest powiedziane, że kiedyś nie kopnie cię w tyłek. Przykro mi to mówić, ale swoim zachowaniem pokazuje, że cię nie ceni, nie wierzy ci, nie szanuje i...

– Tylko nie mów, że mnie nie kocha – przerywam gwałtownie. – Jak jest wszystko dobrze, to jest cudownym, czułym i oddanym mężem. I wspaniałym ojcem – dodaje.

– Jak jest dobrze. – Baška podnosi głos. – Lecz małżeństwo to nie bajka i idylla. Bywają ciężkie chwile, które trzeba przeżyć wspólnie. Jeśli on w takich momentach nie będzie cię wspierał, a wręcz przeciwnie, całą winę zrzuci na ciebie, to długo nie pociągniesz. Ale spróbuj, to twoje życie i nikt ci nie powie, co masz robić. Sama musisz dokonać wyboru, a przyszłość pokaże, czy był słuszny.

Zadumana schodzę na dół do gabinetu. Dobiegają stamtąd śmiechy Ahmeda i Marysi. Uchylam drzwi i obserwuję ich. Siedzą przed komputerem i grają w jakąś dziecięcą grę. Marysia siedzi mu na kolanach i bębni palcami po klawiaturze. Świetnie się bawią i nie widzą świata dookoła. Podchodzę na

palcach i obejmują ich oboje od tyłu. Ahmed wzdraga się, a Marysia aż podskakuje.

– Mama, przestraszyłaś mnie! – krzyczy wesoło, wygrażając mi palcem.

– Czy ktoś ma ochotę na racuchy? – zadają retoryczne pytanie, bo wiem, że je uwielbiają.

– Pewnie! – odpowiadają chórem. – Tylko skończymy etap.

– To ja zabieram się za robotę i czekam na was na górze. – Patrzę

Ahmedowi głęboko w oczy i widzę w nich żal i smutek.

Nie lubię tego wyrazu twarzy u niego. Od razu czuję się wszystkiemu winna i koniecznie chcę to naprawić. Na pewno nie dręczy mnie tak celowo.

Taki ma charakter. Kiedy zobaczy dobrą wolę z mojej strony, może stopniowo złagodnieje. Rzeczywiście, to moje życie i sama muszę je kształtować. Chcę być z tym mężczyzną i nie wyobrażam sobie, że miałabym mu porwać córkę i uciekać z nią przez zieloną granicę. Jak jakiś przestępca! On na pewno by mi czegoś takiego nigdy nie zrobił, bo przecież jest dobrym, tylko trochę trudnym człowiekiem.

Siedząc na naszym balkonie, wcinamy góry racuchów z jabłkami i popijamy je colą. Głośno mlaszczemy, wylizujemy zacukrzone palce i dla żartów bijemy się o ostatnie sztuki. Później opowiadamy sobie różne historyjki – Marysia relacjonuje, jak miło spędza czas w szkolnej świetlicy, ja porównuję to z moimi dziecięcymi doświadczeniami w Polsce, a Ahmed wspomina, jak był małym chłopcem i rozrabiał z siostrami. W końcu jesteśmy naprawdę razem, szczęśliwi, uśmiechnięci i zadowoleni. Tego chcę, to jest dla mnie najważniejsze i już dokładnie wiem, co muszę zrobić.

W nocy Ahmed jest najczulszym i najwspanialszym kochankiem. Robimy to godzinami, aż do białego rana, nic nie mówiąc, tylko patrząc sobie w oczy. Próbujemy z nich wyczytać naszą przyszłość, przed którą chyba oboje trochę drżymy. Lecz ja znów jestem pewna, że będzie dobrze, i podejmuję niełatwą decyzję.

– Słuchaj, to twoja sprawa, lecz ja uważam... – zagniewana Baśka zawieszę głos i zagryza wargi – że musisz zrobić tak, jak ci serce dyktuje.

Czuję, że nie jest to szczerą wypowiedź i doskonale wiem, że nie popiera mojego posunięcia. Jest to wbrew jej naturze, ona nigdy nie zrezygnowałaby, nigdy nie poddałaby się woli swojego męża, prędkiej by mu rozwalila głowę. Ale miała na tyle szczęścia, że trafiła na ugodowego i potulnego Hassana, ja natomiast mam mój egzemplarz i nic nie mogę na to poradzić. Chcąc spokojnie i w miarę szczęśliwie żyć, muszę zrezygnować z pracy i częstych kontaktów z Polakami. Trzeba się z tym pogodzić, choć bardzo mi przykro z tego powodu.

– Pani Doroto, dobrze sobie to pani przemyślała? – Dyrektor nie może uwierzyć, że ktoś dobrowolnie rezygnuje z takiej świetnej pracy.

– Tak – potwierdzam. – Robię to dla dobra mojej rodziny.

– Rozumiem, choć nie popieram – mówi zdenerwowany, jak zwykle w takim momencie podnosząc brwi do połowy czoła. – Cóż, każdy jest kowalem swego losu – kończy rozmowę i odwraca się do mnie plecami.

– Bardzo pana przepraszam, wiem, że zawiodłam oczekiwania, ale inaczej nie mogę – kajam się przed wyjściem.

– Nie będzie miał problemu ze znalezieniem kogoś na twoje miejsce. – Basia nie szczędzi mi swoich uwag. – Przechlapałaś sobie. Już nikt w żadnej polskiej firmie nigdy cię nie zatrudni. Jesteś niesolidna i wszyscy już wiedzą, że nie można na tobie polegać. Dzisiaj tak, a jutro inaczej.

– Co zrobić. Raczej już nie będę próbować.

– Wystarczy gorszy humor twojego męża, jego skrzywienie nosa, a ty już tańczysz, jak ci zagra – kontynuuje niezrażona. – Wybacz, Dorota, ale ktoś musi ci to powiedzieć. Jako twoja przyjaciółka chyba mam do tego prawo.

– Znam twoje zdanie, ale nie mam wyjścia.

– To może zabroni ci też spotykać się ze mną i w ogóle z kimkolwiek? Na to też pójdziesz?

– Ahmed w ogóle nie wie o mojej decyzji. On nie naciskał ani nie rozkazał, nigdy nawet nie wspomniał, żebym odeszła z pracy.

Basia wytrzeszcza oczy i krzywi się z dezaprobatą. Kiwa na boki głową i odchodzi do swoich zajęć. Będę jeszcze pracować do końca miesiąca, to znaczy przez dziesięć cudownych dni. Potem nie wiem, jak zapełnię czas. Nie

mam również pojęcia, jak wytłumaczę Marysi, że już nie będzie jeździć do świetlicy, z czego była taka dumna, i że nie będzie też miała żadnego towarzystwa. Po rozpoczęciu roku szkolnego dzieci Miriam i te z sąsiedztwa poszły do szkoły. Dom matki jest cichy i pusty. Może Ahmed pozwoli jej przychodzić do świetlicy lub zapisze ją do jakiegoś przedszkola? Pozostawiam to już w jego gestii, ja mam dość podejmowania decyzji, a potem wycofywania się z nich. Daję nam ostatnią szansę i jeśli moja rezygnacja z normalnego życia nie pomoże i nadal będzie między nami źle, to poddaję się.

Widać nie jesteśmy sobie pisani.

Wieczorem oznajmiam Ahmedowi, jakie podjęłam kroki. Z niedowierzaniem i uwielbieniem patrzy na mnie swoimi wielkimi błyszczącymi oczami.

Nagle zrywa się i wchodzi do garderoby.

– Mam coś dla ciebie – mówi, niosąc małe atlasowe pudełeczko. – Kupiłem już wieki temu, kiedy byłem poza domem i bardzo za tobą tęskniłem.

– To czemu...

– Nie było okazji, atmosfery, nic się nie układało – tłumaczy. – Tak się od

siebie oddaliliśmy, że bałem się, iż to już koniec.

Kłęką przede mną i otwiera etui. Nie mogę uwierzyć własnym oczom.

Nie

widziałam jeszcze czegoś tak pięknego. Ahmed wyciąga pierścionek z wielkim brylantem i zakłada mi go na serdeczny palec.

– Bardzo cię kocham, Dorociu – wyznaje szeptem. – Mam nadzieję, że nigdy w to nie zwątpiłaś. Czasami postępuję głupio i bez namysłu, ale pamiętaj, ten żar tutaj – kładzie rękę na swoim sercu – nigdy nie wygaśnie i nie

wygaśnie. Przenigdy.

## Koniecznie chłopak

Całe szczęście ramadan się skończył, a następny dopiero za rok. Od jakiegoś czasu dziwnie się czuję. Rano budzę się zlaną zimnym potem, to trzęsą mną dreszcze, to jest mi gorąco. W brzuchu przelewają się jakieś wody i bulgoczą bąbelki, więc chyba musiałam złapać amebę, powszechnego tutaj pasożyta. Nie chcąc denerwować Ahmeda, sama kupuję sobie pojemniczek i planuję po którymś fitnessie zanieść kał do analizy. Przychodnia jest tutaj na każdej niemal ulicy, tak że nie ma z tym kłopotu.

Ćwiczenia od jakiegoś czasu nie stanowiły już dla mnie problemu, więc dziwi mnie obecne osłabienie. Wydaje się, że nie ruszę ręką ani nogą. Często przed oczami mam mroczki, i to nie tylko podczas wysiłku, lecz również bez okazji. Zaczynam się mocno niepokoić.

Dzisiaj po aerobiku tak mnie mdli, że niestety wymiotuję w toalecie znajdującej się tuż przy szatni, a wszystkie dziewczyny, słysząc moje męczarnie, zaśmiewają się do rozpuku. Dziwna reakcja.

– *Mabruk, mabruk!* – Klepią mnie po plecach i patrzą przyjaźnie.

Nie rozumiem, czemu kiedy puszczam pawia, życzą mi szczęścia.

– Czemu *mabruk?* – pytam.

– No co ty, przecież jesteś mężatką i mówiłaś, że masz pięcioletnią córeczkę – dziwię się, cały czas mnie dotykając.

– Sześćioletnią – sprostowuję.

– Nie ma znaczenia, w ciąży już byłaś.

– Co macie na myśli?!

– Dziewczyno, nie bądź dzieckiem, po tobie od razu widać. Tak jest ze szczipłymi. Gruba to może nawet do siódmego miesiąca się nie przyznawać.

– Śmieją się.

– No dobrze, muszę już iść. – Gwałtownie wstaję, lecz chwieję się i szybko siadam. Skąd te zawroty głowy?

– Może nie płacz się dzisiaj sama po mieście, bo jeszcze gdzieś zaśląbniesz – ostrzegają mnie.

– Nie, nie, wszystko w porządku – uspokajam je. – To na pewno ameba. – Chciałabyś. – Uśmiechają się pod nosem. – Lepiej kup test ciążowy i witaminy.

Macham lekceważąco ręką i odwracam się do nich plecami.

– Dziewczyno, przecież to dopiero drugie, co się martwisz? – próbują mnie pocieszyć.

– Ale ja mam inne plany. – Po co ja im to mówię?

– Cóż, każda kiedyś miała plany. Takie życie. – Spuszczają smutnie głowy i rozchodzą się każda w swoją stronę.

Na świeżym powietrzu czuję się znacznie lepiej, lecz serce z niepokoju łomocze mi w piersi. A jeśli to prawda? Jeśli jestem w ciąży? Będę całymi dniami sama siedziała na naszej wsi, znowu utyję jak świnia i całkiem ugrzęznę w domu. Na kolejne długie lata albo na zawsze. Nie jestem do końca przekonana, czy chcę wieść taki tryb życia i czy potrafię poświęcić całą siebie w imię miłości do Ahmeda. Jeśli urodzi się drugie dziecko, nie będę miała szans na wyrwanie się stąd, już teraz jest to prawie niemożliwe. Wychodzę prosto na aptekę. Co za zbieg okoliczności. Cóż, kupię test, chociażby po to, aby się przekonać, że wynik jest negatywny. Na pewno tak będzie, przecież ja się w ogóle nie czuję jak w ciąży. Próbuję sobie przypomnieć, jak było przy Marysi, ale już mi to uleciało z pamięci. Pamiętam tylko gehennę, jaką przeszałam podczas porodu. Znowu mam zawroty głowy i robi mi się niedobrze. Bylebym nie zaczęła wymiotować na ulicy! Przysiadam na murku i biorę głęboki wdech. Tylko bez paniki. Muszę złapać taksówkę i jądę do mamy, albo do Maliki. Żadne z tych rozwiązań mi nie pasuje, ale z dwojga złego chyba jednak wybiorę pierwszy wariant. Taksówkarz co chwila zerka we wsteczne lusterko. Albo chce mnie poderwać, albo tak koszmarnie wyglądam.

– Pani powinna odpocząć, madam – mówi na pożegnanie. – Proszę na siebie uważać.

Usiłuję po cichu przemknąć przez część reprezentacyjną domu, a potem po schodach na piętro. Żeby tylko nikt mnie nie usłyszał – tak bardzo potrzebuję teraz ciszy i samotności.

– Dot, to ty?

– Tak, mamó. Idę do nas na górę trochę odpocząć.

– A co się stało, kochanie? – Już jest przy mnie. – Rzeczywiście marnie wyglądasz. – Patrzy z niepokojem i dotyka mojego czoła.

– To nic takiego. Nie wyspałam się i po intensywnych ćwiczeniach trochę mnie zemdlilo.

– No, no – nie chce uwierzyć. – A ja mam pyszny świeży rosółek, zaraz postawi cię na nogi.

– Dziękuję, mamó, ale...

– Jak nie chcesz jeść w kuchni, to przyniosę ci go na górę. A ty najlepiej weź chłodny prysznic, to zawsze pomaga.

I już jej nie ma. Może ma rację, posłucham jej rady. A potem położę się do łóżka i będę spała aż do przyjazdu Ahmeda.

Bulion bardzo mi smakuje. Czuję, jak rozgrzewa całe moje ciało. Matka przycupnęła na krześle i uważnie mnie obserwuje. Odkładam talerz i opadam na łóżko. Jak dobrze, jak cudownie, zaraz będę spać. O Chryste! Gwałtownie siadam, bo czuję, jak zjedzona zupa podchodzi mi do gardła. Mama ze zdziwieniem unosi brwi do góry, a ja szybko biegnę do ubikacji i z rykiem oddaję całą zawartość trzewi. Nie mogę przestać i strasznie się męczę. W końcu, ze zmoczonym ręcznikiem na szyi, wlokę się z powrotem do sypialni.

– *Mabruk*, córko, *mabruk* – szepcze matka, układając mnie w łóżku. – Wszystko jest w porządku, to tylko takie paskudne początki.

– Ależ mamó...

– Dobrze, dobrze, nic nikomu nie powiem. Ty też wierzysz w złe spojrzenie?

Nie dość, że życzysz mi szczęścia w moim nieszczęściu, to jeszcze uważa, że jestem tak samo przesądna jak oni wszyscy.

Zamykam oczy i zaczynam się zastanawiać. Przecież to niemożliwe, od lat regularnie biorę środki antykoncepcyjne. Niczego tak skrupulatnie nie pilnuję. No może raz zapomniałam je zażyć, kiedy przed ramadanem



pokłóciliśmy się z Ahmedem. Teraz sobie uświadamiam, że dwie ostatnie miesiączki też nie były takie obfite jak dawniej. Jutro z samego rana zrobię ten cholerny test, nie mam wyjścia. A jeśli... Łzy napływają mi do oczu i po chwili usypiam z rozpacz i wycieńczenia.

Stoję w łazience i patrzę na obsikany przed chwilą tekturowy pasek. Siadam na muszli. Wynik jest jednoznaczny, lecz ja nie mogę w to uwierzyć. Wyciągam następny test i powtarzam czynność. Wstrzymuję oddech i... to samo. No to pięknie! Jestem ugotowana! Do rozpacz dochodzi wściekłość. Najchętniej bym kogoś pogryzła.

– Marysia, co ty, do cholery, wyprawiasz z tymi płatkami – drę się, wchodząc do kuchni i widząc, jak moja córka, tak jak zresztą każdego ranka, paluszkami wyławia z mleka czekoladowe kulki.

– Jem śniadanko, mamuniu. – Patrzy na mnie niewinnie i nie przerywa zabawy.

– Ile razy ci mówiłam, że je się łyżką. Czy ty prymityw jakiś jesteś?

– Jestem. – Obawiam się, że nie rozumie tego słowa, bo nigdy go jeszcze nie słyszała.

– Zaczniij mnie słuchać! – Pochyliam się nad nią i wrzucam łyżkę do miseczki. – Mówię, jedz jak człowiek! Zrozumiano?!

– Zrozumiano – słabym głosem odpowiada Marysia i widzę, jak w jej czarnych oczkach zbierają się łzy.

– No to już, wiosłować! – Obracam się na pięcie i wychodzę ostudzić się na dworze. Za sobą słyszę cichutki płacz dziecka.

Widzę naszego gafira, nieźle opłacanego, który rozleniwiony siedzi na plastikowym krzeselku i wygrzewa się na słońcu. Bezczelność! Ja mam zamiatać i sprzątać podwórze, a jaśnie pan stróż będzie się relaksował?!

– Ej, ty! Chodź tutaj.

Niechętnie, jak na zwolnionych obrotach, zwleka się z krzesła i rusza w moją stronę.

– Bierz miotłę, worek na śmieci i posprzątaj tu! – krzyczę na niego i wymachuję rękami.

Po jego minie widzę, że jest oburzony. Z pogardą wydyma wargi, prostuje się i taksuje mnie wzrokiem.

– Pan mi nic nie mówił.

– Ja ci mówię, to masz robić.

– Ale pan mi nic nie mówił – powtarza bezbarwnym głosem.

Jaki uparty tępy mu! Nawet taki służący nie słucha kobiety, bo ona w tym społeczeństwie nic nie znaczy. Ale ja mu udowodnię, że w moim wypadku jest inaczej. Jeszcze mu w pięty pójdzie!

– Ahmed – natychmiast dzwonię. – Ten głupi stróż nie chce zamieść tarasu ani nic posprzątać – mówię po polsku.

– Taak...

– Twierdzi, że pan mu nie kazał, a panią ma w dupie.

– Niemożliwe. On cię bardzo lubi.

– Nie musi mnie lubić! – krzyczę, jakbym chciała, aby usłyszał mnie bez połączenia telefonicznego. – On ma mnie szanować i słuchać!

W słuchawce zapada grobowa cisza.

– Daj mi go do telefonu.

Oddaję gafirowi słuchawkę i słyszę po drugiej stronie linii nie tyle krzyk, ile jazgot. Arabskie gardłowe dźwięki przechodzą w charkot. Nic nie jestem w stanie z tego zrozumieć, ale efekt jest natychmiastowy.

– Sorry, madam. – Chciałby zabić mnie wzrokiem, ale usłużnie pochyła głowę i szurając nogami, zabiera się do pracy.

Na tym pustkowiu nie znajduję więcej ofiar. Mogę jeszcze zadzwonić do mojej mamy, z którą pokłócić się nie jest trudno, ale robię to najrzadziej jak się da. Ona wszystko krytykuje i mówi tylko o moim powrocie do Polski. Gdyby bidula wiedziała, że nie ma takiej opcji, bo nie mam ani paszportów, ani pieniędzy, ani możliwości, to chyba by zwariowała. Jedno jest pewne, że samodzielnie muszę połknąć tę żabę, którą sobie zafundowałam. Czuję się rozdarta. Nie do końca jest tak, że nie chcę tego dziecka. Zawsze marzyłam, by mieć dziewczynkę i chłopczyka, ale czas jest nieodpowiedni. Najpierw pragnę do czegoś dojść, ugruntować swoją pozycję, poczuć się pewniej i uwierzyć w miłość Ahmeda. Nawet nie jestem jego oficjalną żoną! Jakby mi

było mało dotychczasowych kłopotów! A mój mąż – nie mąż nawet nie wspomni o zalegalizowaniu związku. Czyżby traktował go tymczasowo?

Siadam na słońcu i wygrzewam się jak kot. Pozostaje mi tylko czekać i sprawdzić, jak zachowa się w tej sytuacji.

– *Szukran* – dziękuję za wynik, który dostałam dosłownie po pół godziny.

– *Mabruk* – mówi laborantka. Tak więc już nie muszę otwierać koperty i odcyfrowywać nagryzmołonej tam diagnozy.

Kobieta pluje przez ramię, aby nie zapeszyć, i uśmiecha się do mnie szeroko. Wzdycham smutno i raczej nie wyglądam na zadowoloną.

– Jeśli źle się czujesz, to nic się nie martw, po trzech miesiącach przejdzie – pociesza mnie. Nie dopuszcza nawet myśli, że mogę być niezadowolona z zaistniałej sytuacji. – Powinnaś się teraz przejść do lekarza – życzliwie doradza. – W naszej przychodni przyjmuje bardzo dobry ginekolog. I niedrogi.

– Mamy w rodzinie człowieka z branży, który na pewno mi kogoś poleci. Jeszcze raz dziękuję.

Powoli zmierzam do domu matki. Cóż, trzeba im będzie oficjalnie oznajmić „radosną” nowinę. Może jeszcze nie dzisiaj, gdyż chyba najpierw powinienam powiedzieć Ahmedowi. Podejmuję decyzję, że jakiś czas poczekam, bo nie wiadomo, jak sytuacja się rozwinie. Może nie donoszę? I co wtedy? Wstyd i usprawiedliwianie się przed wszystkimi.

Nudności przeszły w inną, może mniej nieprzyjemną, ale jeszcze bardziej uciążliwą niedyspozycję. Śpię całymi dniami i nie potrafię nad tym zapanować. Strasznie boję się o Marysię, żeby nie wpadło jej wtedy coś głupiego do głowy. Kiedy siedzę z nią w jej pokoju, usypiam na dywanie między zabawkami, a podczas oglądania telewizji chrapię w trakcie najciekawszych seriali. W kuchni słaniam się na nogach, raz usnęłam na stole z głową w obieranych jarzynach. Nic z tego nie rozumiem, jak chodziłam w ciąży z Marysią, byłam rześka jak skowronek... Już od miesiąca nie byłam na fitnessie, bo przecież się nie nadaję, a Ahmedowi tłumaczę to lenistwem. Od jakiegoś czasu wszystko przyjmuje ze stoickim spokojem i jest łagodny jak baranek. Niekiedy wychwytyuję jego lustrujący mnie wzrok, choć jeszcze

nic mu nie powiedziałam. Ale co tu dużo mówić – widać, że będę mamą: brzuch mi lekko wyduło, pępek wydobył się z dołeczka, w którym zawsze się chował, a piersi urosły chyba o cały rozmiar. Noszę szerokie T-shirty i jeszcze przez chwilę chcę poczekać z cudowną nowiną, bo nadal się boję, że poronię – przecież tak źle i dziwnie się czuję. Nie chcę nikomu sprawiać zawodu. Nie wiem też, jaka tym razem byłaby reakcja Ahmeda, choć nie oczekiwałabym żadnej typowej ani ogólnie przyjętej.

– Malika zabierze cię dzisiaj wieczorem na zakupowe szaleństwo – informuje mnie przez telefon. – Są niesamowite wyprzedaże, jak to zazwyczaj po Nowym Roku. Przyjedzie o piątej, w porządku?

– Tak, świetnie. Dawno jej nie widziałam.

– Nie chciała ci głowy zawracać – niezdarnie tłumaczy siostrę. – A poza tym wiesz, jaki wszyscy mają młyn przy zamknięciu roku rozliczeniowego.

Zastanawiam się, skąd niby miałabym to wiedzieć, ale nie dociekam.

– Mam jechać z Marysią?

– Tak, zostawicie ją u matki. Może tam nawet posiedzieć przez cały weekend.

– No, no, będziemy mieli wolną chatę – żartuję.

– Należy nam się. Co o tym myślisz?

– Mmmm...

Co on knuje? Denerwować się czy nie? Obecnie mam to w nosie. Kładę się w naszym małżeńskim łóżu, przyjmuję pozycję embriona i wtulam się w ciepłutki pled.

– Marysia, chodź do mamy – ostatnim tchnieniem wołam córeczkę i zasypiam.

– Gotowa?! – słyszę wołanie Maliki i serce zaczyna mi bić jak oszalałe.

Zaspałam. Gdzie Marysia?

– Już lecę! – krzyczę histerycznie, zrywając się na równe nogi.

Moje dziecko, gdzie jest moje dziecko? Nie zauważając w półmroku szwagierki, wpadam jak oszalała do sąsiedniego pokoju i potykam się o moje maleństwo, śpiące na dywanie wśród rozsypanych klocków lego.

– Aaa! – krzyczę i padam jak długa.

– Na Allaha, co ty wyprawiasz?! – Malika już jest obok i usiłuje pozbiierać mnie z podłogi. – Uważaj na siebie. – Patrzy z niepokojem i, o dziwo, nie jest zła.

– Przepraszam, zasnęłam – szepczę, trzymając się oburącz za dół brzucha. Nie mogę się ruszyć. Ból jest przeszywający i ledwo oddycham.

– Zamiast na zakupy, lepiej pojedźmy do mnie do kliniki. Powoli. – Ostrożnie podtrzymuje mnie pod ramię.

Oczywiście matka musiała jej już wszystko powiedzieć. I na pewno nie tylko jej.

– Za chwilę będzie dobrze. – Próbuję się podnieść. – Po co mi lekarz? Przecież się nie połamałam ani nie skaleczyłam – sprawdzam, czy coś wie.

– Nie bądź głupia. – Malika burczy już jak zwykle. – W pewnych sytuacjach bez pomocy medycznej się nie obejdziesz. – Patrzy mi głęboko w oczy.

– To może umówimy się innym razem, rano? – próbuję się wymigać. – Miałymy jechać na *shopping*, już się nastawiłam.

– Okej. Wszystko można połączyć. – Jakaż ona stała się ugodowa. – Mamy dość czasu na jedno i drugie. Lepiej ci już?

– Tak, zdecydowanie. – Uśmiecham się niepewnie i kieruję do sypialni, aby się przebrać.

Ależ ja jestem głupia. Przecież w końcu będę musiała im powiedzieć. Już nie mam siły ani ochoty dłużej tego ukrywać – muszę stawić czoło ich reakcji i przestać się bać. Przecież teściowa zachowała się cudownie.

Wsiadamy do auta i w milczeniu jedziemy do kliniki. Malika prowadzi mnie prosto pod gabinet ginekologiczny, a sama jedzie odwiedzić Marysię do matki.

– Chyba sobie poradzisz? – pyta z przekąsem. Teraz czuję się głupio, że jej nie powiedziałam. To już w końcu trzeci miesiąc.

Po godzinie mam pełno komputerowych wydruków, analiz krwi i moczu. Wielka koperta zawiera rejestr z USG wraz ze zdjęciem dziecka. Lekarz bardzo się starał, widać, że zależy mu na opinii szefowej.

– No i co? – wścibsko pyta Malika po powrocie. – Dziewczynka czy chłopiec?

– A jakie to ma za znaczenie? – dziwię się. – Dla mnie najważniejsze, żeby było zdrowe.

– Jakaś ty naiwna. Każdy facet chce mieć syna.

– Dobrze, wiem, ale to jest prymitywne podejście. W Polsce...

– Ile razy mam ci przypominać, że nie jesteś już w Polsce – mówி nieprzyjemnie. – Tutaj małżeństwo bez syna nie jest nic warte.

– No tak – odpowiadam z sarkazmem, wydymając pogardliwie wargi.

– Nie masz co się burmuszyć, takie jest arabskie życie. Mąż jako powód rozwodu może podać, że żona nie była w stanie obdarzyć go męskim potomkiem.

– Co za perfidia i zacofanie!

– Wiem – kiwa ze smutkiem głową. – Ale tak jest i my tego nie zmienimy. Na to trzeba pokoleń, no i oczywiście chęci.

Kieruję się do wyjścia. Już nie mam ochoty na żadne zakupy.

– Ty nie chcesz mi powiedzieć czy co? – Malika, podążając za mną, pyta już podniesionym głosem. – Tak jak robiłaś tajemnicę z ciąży. To jest taki polski zwyczaj? Mąż i rodzina dowiadują się o wszystkim w dniu rozwiązania? – kpi sobie ze mnie.

– Po pierwsze, na USG płci jeszcze nie było widać. Zdarza się. Po drugie, przez cały ten czas źle się czułam i bałam się, że mogę stracić dziecko. Więc wolałam nikomu nic nie mówić, żeby nie robić nadziei. A teraz odwieź mnie do domu, bo mam dość.

– Chcesz czy nie, musisz teraz jechać na zakupy. – Chwyta mnie za rękę i zabawnie zaciska wargi. – Inaczej Ahmed mnie zabije – mówi z udawaną rozpaczą.

– Niby czemu miałby to zrobić?

– Miałam ci sprawić przyjemność, rozweselić, rozerwać, a nie denerwować i wpędzać w depresję – śmieje się już pogodnie. – I nie przejmuj się tymi opowieściami o płci dziecka. Ahmed jest raczej światłym człowiekiem... powinien być, po tylu latach w Europie – zawiesza niepewnie głos.

Przyjeżdżamy pod nasz jasno oświetlony dom. Ahmed wybiega na taras.

– Dziewczyny, już się zaczynałem niepokoić – mówi z uśmiechem, widząc góry pakunków w samochodzie i nasze zadowolone miny.

– Nie żartuj. – Malika klepie go po plecach. – *Security service* działa.

– Jak tam, Dociu, zadowolona?

– Tak, ale jestem straszliwie zmęczona. – Rzeczywiście, najchętniej od razu poszłabym spać.

– *Szisz*, chciałam kupić dla ciebie witaminy. – Malika klepie się ze złością po udach. – Jutro podrzucę ci do biura – zwraca się do brata.

– Wchodźcie już, bo zimno.

– Ja lecę z powrotem. – Malika kieruje się do samochodu. – Zabierzcie tylko zakupy i już mnie nie ma. Daleka droga przede mną.

Wchodzimy do domu. Czuję jakieś wspaniałe zapachy.

– Czyżby ktoś upichcił coś pysznego? – dziwię się.

Ahmed obejmuje mnie i prowadzi do salonu. Stają jak wryta. W kominku płonie ogień, stół jest odświętnie nakryty i obficie zastawiony. Miłą atmosferę dopełniają kolorowe zapachowe świece.

– Mamy jakąś specjalną okazję? – pytam figlarnie, spoglądając na niego spod oka.

– Ty mi powiedz. Chyba już czas, jak myślisz? – mówi cicho, delikatnie mnie przytulając.

– Właśnie miałam taki zamiar. – Biorę go za rękę i siadamy na kanapie.

– Nie wiem wprawdzie, czemu dowiaduję się ostatni, ale nie będę wnikał. Na pewno masz swoje powody.

– Widziałeś, co się ze mną działo, nie chciałam cię rozczarować.

– Głuptas jesteś, myszeczko – mówi czule i delikatnie całuje mnie w szyję. Do pokoju ktoś wchodzi, a ja aż podskakuję.

– Madam – słyszę miły głęboki kobiecy głos.

W drzwiach kuchni stoi młoda ładna Murzynka.

– Czyżbyś już wziął sobie drugą żonę? – ze śmiechem pytam Ahmeda.

– Nie jest w moim typie – żartuje. – Potrzebujesz kogoś do pomocy i towarzystwa. Oto twoja osobista gosposia, Joice – przedstawia mi dziewczynę.

– Sądzę, że dokonałem dobrego wyboru. Ma świetne referencje, wcześniej

pracowała w rezydencji ambasadora. Mówi nie tylko w swoim narodowym narzeczu, ale również po angielsku i arabsku. Możesz nauczyć ją gotować polskie potrawy. I co, zadowolona?

– Jeszcze jak! Strasznie ci dziękuję. Teraz naprawdę potrzebuję pomocy w domu i opieki dla Marysi, kiedy śpię, a robię to przez większą część dnia. – Uśmiecham się zawstydzona.

– Nie martw się, wszystko minie.

Siadamy do suto zastawionego stołu i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wszystko mi smakuje. Z nieziemskim apetytem pochłaniam zas-traszające ilości jedzenia. Ahmed patrzy na mnie z czułością i podziwem.

– Uchyliłabyś rąbka tajemnicy, czy będziemy mieć chłopca, czy dziewczynkę? – szepcze przy deserze. To tak często zadawane pytanie zaczyna przyprawiać mnie o dreszcze.

– A co byś chciał? – badam ostrożnie.

– Córeczkę już mamy, czas na synka, dziedzica. – Śmieje się z wypiekami na twarzy.

– Jeszcze nic nie widać, dziecko jest za małe – tłumaczę. – Za miesiąc znowu zrobię USG, może wtedy... – zawieszam głos.

– Pewnie, pewnie – potakuje.

– Najważniejsze... – zaczynam nieśmiało – żeby było zdrowe. – Patrzę na niego z wyczekiwaniem, lecz on tylko spuszcza wzrok i ze zmarszczonymi brwiami kiwa głową.

– Basia, co tam u ciebie? – dzwonię do starej przyjaciółki, choć wstyd mi, bo od paru miesięcy nie dawałam znaku życia.

– O! Jestem pod wrażeniem! Nasza blond księżniczka przypomniała sobie o starej brzydkiej ropusze. No, no...

– Daj spokój, przepraszam – jęczę do słuchawki. – Jest mi strasznie głupio i przykro...

– No nie wiem – już łagodniej mówi Baśka. – Jak ci się żyje, pustelnico?

– Jakbyś zgadła. Przenieśliśmy się na farmę...



– Idiotka jesteś pierwszej wody – nie daje mi skończyć i znowu się na mnie denerwuje. – Tam to już będziesz mogła tylko wyć do księżycy. Spryciarz ten twój mąż, ale chyba ci to już mówiłam, nie?

– Przynajmniej jesteście u siebie...

– To wasze „u siebie” – przerywa rozwścieczona – macie chyba około stu kilometrów od jakiegokolwiek cywilizacji, czy się myłę?

– Tak jakby – odpowiadam z westchnieniem.

– Ty sobie, Dorota, sama organizujesz kłopoty. – Krytycznie cmoka jak stara Arabka.

– Dlaczego tak myślisz? Jest naprawdę dużo lepiej, zdecydowanie.

– Bo postawił na swoim. – Baśka śmieje się sarkastycznie. – Jezu, jakie ty dziecko jesteś! Tobie się wydaje, że podjęłaś decyzję, a przecież zostałaś do niej zmuszona. Miałaś inny wybór? He?

– Nie wiem, Basiu, ale teraz znów powoli zaczynam być szczęśliwa. Ja chcę być szczęśliwa, i to z tym właśnie człowiekiem, z nikim innym.

– No to świetnie, bylebyś jednak nie zapomniała, jak on potrafi się zachowywać i jak ciebie traktuje, kiedy coś jest nie po jego myśli – mówি ostro.

– Ja do ciebie dzwonię, chcąc mile pogadać i poplotkować, a ty najpierw mnie opieprzasz, a potem straszysz – mówię z żalem. – Czy po to są przyjaciółki?

– Jak uważasz – obrusza się Baśka. – Zawsze byłam wobec ciebie szczerą i w każdej sytuacji mogłaś na mnie liczyć. Ja jedynie wyrażam swoje zdanie, a jeśli różni się od twojego i nie możesz tego znieść, to przykro mi... – Odwiesza słuchawkę.

Biorę głęboki wdech. Jeśli stracę jedyną pokrewną duszę, to zginę. Kto mi pomoże, gdy nie dać Bóg, znowu coś się popsuje, kto poda mi pomocną dłoń? Malika? Aż przechodzą mnie dreszcze. Zdaję sobie sprawę, że moim jedynym przewodnikiem po tym nieznanym mi świecie jest Basia. Szczerą do bólu, lecz zaprawioną w boju i znająca libijskie realia. W dodatku zwyczajnie strasznie ją lubię.

– To co, będziemy się kłócić? – dzwonię ponownie i słyszę fukanie mojej rozmówczyni, która jednak podniosła słuchawkę.

– To zależy...

– Ale nie tylko ode mnie – zauważam. – Daj spokój, mam dla ciebie super-nowinę, gorącą ploteczkę.

– Aż się boję, ale już domyślam się, o co chodzi.

– Jestem w ciąży – wyznaję.

– *Mabruk* czy nie *mabruk*?

– Sama nie wiem, ale powoli zaczynam się cieszyć. To jak w tej piosence: chciałabym, lecz boję się.

– Chłopak czy dziewczuszka? – bez ogródek zadaje standardowe już pytanie.

– Ty mi powiedz, czemu wszyscy tak się tym interesują? Czy płęć jest ważniejsza niż zdrowie dziecka?

– Tutaj na pewno tak. Nawet najbardziej cherlawy wypierdek płci męskiej jest lepszy od pięknej i mądrej dziewczynki.

– W końcu może ktoś mi uczciwie wyjaśni, o co w tym wszystkim biega. Ja rozumiem, że każdy chłop chce mieć syna, dziedzica, ale bez przesady...

– Kobieto, dalej nie wiesz, gdzie żyjesz, i dlatego tak mnie wkurzasz! – podnosi głos. – Jak nie dasz mu syna, jego rodzina nigdy cię nie zaakceptuje, na zawsze pozostaniesz szarmutą, zwykłą dziwką, która dała dupy Arabowi.

Będą udawali, że jest inaczej, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji wypomną ci, że nie jesteś w stanie dać swojemu mężowi syna, przedłużyć rodu. Cała rodzina będzie mu truła, nazywała go impotentem i zmuszała, żeby udowodnił, że jest inaczej. Zaczną mu swatać młode Libijki, a on, dla świętego spokoju, w końcu się zgodzi. Ciebie zaś albo odeśle, dając ci rozwód, albo weźmie sobie drugą żonkę, oczywiście bez twojej zgody.

– Malika powiedziała mi to samo...

– Widzisz, kochanieńka, to bardzo poważna sprawa.

– A ty? – chwytam się ostatniej deski ratunku. – Przecież masz dwie córki!

– To powiedz mi, dlaczego ja, stara baba po czterdziestce zdecydowałam się na urodzenie jeszcze jednego bobasa?

– Bo chciałaś albo...

– Nawet mój nowoczesny i zeuropeizowany Hassan był nieszczęśliwy, że nie ma syna, nie mówiąc już o zakrojonych na szeroką skalę działaniach jego wrednej mamusi i nie mniej paskudnych siostrzyczek – oburzona Basia

przerywa mi w pół zdania. – Jestem przekonana, że gdybym nie dała mu chłopca, wcześniej czy później wzięłby sobie drugą żonę. Taka prawda! – wykrzykuje. – Nawet mój Hassan!

– I tak się akurat szczęśliwie złożyło, że przy trzeciej próbie się udało?

– Szczęściu trzeba dopomóc. Przez rok stosowaliśmy z moim dobrym, wyrozumiałym mężem specjalną dietę, łykaliśmy piguły i kochaliśmy się tylko w oznaczone dni.

– Boże! – wykrzykuję.

– Ale nie przejmuj się, jesteś jeszcze młoda, jak nie tym razem, to następnym – pociesza, słysząc przerażenie w moim głosie.

– Tak próbując, można się dochować niezłego przedszkola.

– Słuchaj, pocieszające jest, że Arab prędzej wypuści ze swoich łapsk córkę niż syna, więc jakby co...

– Toś mnie podtrzymała na duchu... – Wolałabym, żeby ta rozmowa się nie odbyła.

## Wizyta matki

Ósmy miesiąc ciąży dobiega końca, można więc powiedzieć, że jestem na finiszu. Noszony ciężar zaczyna mnie męczyć. Poruszam się powoli i niezdarnie. Dodatkowo upał daje mi się we znaki, bo tutejsze wczesne lato w pełni i rzadko kiedy temperatura spada poniżej trzydziestu stopni, nawet wieczorem.

Marysia natomiast cieszy się słońcem i ciepłem. Na zacienionym winoroślą patio rozłożyliśmy dla niej mały gumowy basen, w którym pluszcze się całymi dniami, oczywiście pod czujnym okiem Joice, która teraz jest już niezastąpiona.

– Załatwiłem wszystkie formalności. – Ahmed telefonuje z pracy. – Poparcie wizowe już powinno być w Warszawie, tak że twoja matka nawet jutro może jechać do ambasady.

– Świetnie, dziękuję ci – odpowiadam niezbyt radosnym głosem, bo nie wiem, czy mam się cieszyć, czy smuć na jej przyjazd.

– Dociu, wszystko będzie dobrze – wyczuwa moją niepewność.

– Trochę obawiam się jej postawy – zwierzam się. – Ona wszystko krytykuje. Pamiętasz, co wyprawiała w Polsce.

– Musisz nastawić się pozytywnie. Pomyśl sobie, że wszystko będzie cudownie.

– A jeśli nie?

– To odeślemy ją najbliższym samolotem do domu i z głowy. – Śmieje się.

– Do Polski latają wprawdzie tylko raz w tygodniu, ale może jakoś uda nam się przetrzymać te siedem dni.

– Masz rację, trzeba sobie wszystko poukładać w głowie. Zaraz oddam się medytacji, zacznę mruczeć pod nosem mantrę i zanim ona przyjedzie, będę tryskać optymizmem.

– Grzeczna dziewczynka, i o to chodzi.

– O mój Boże, ale ty utyłaś – tymi słowy matka wita mnie na lotnisku.

Spoglądam wymownie na Ahmeda, a ten z uśmiechem na twarzy wręcza jej kwiaty.

– Nie tak dużo, mam, jedynie czternaście kilo – już zaczynam się tłumaczyć.

– To chyba masz zepsutą wagę – stwierdza kąśliwie. – Jak ty wyglądasz, taka zaniedbana. Całkiem jak Arabka.

Teraz już widzę błysk złości w oczach Ahmeda, lekceważymy jednak jej słowa i kierujemy się ku wyjściu.

– Przynajmniej Marysia ma się dobrze. – Głaszcze naszą córeczkę po głowie. – Choć zrobiła się taka śniada, cały tatuś. – Wzdycha smutno.

– Mamy lato. Dziecko od rana do wieczora jest na słońcu, to się opaliło.

Matka uśmiecha się z przekąsem i kiwa z politowaniem głową. Po co ona tutaj przyjechała? Po co myśmy ją zaprosili?

– Mój Boże, jak tutaj jest gorąco. Nie da się żyć! – kontynuuje.

– Lotnisko jest klimatyzowane, upał jest dopiero na zewnątrz – informuje oschle Ahmed.

– Co? Wyście mnie tutaj ściągnęli po to, żebym chyba zdechła – oburza się.

– Może jednak jakoś przetrzymasz – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Idziemy do samochodu. Ja prowadzę Marysię i niosę bagaż podręczny, Ahmed męczy się z wielką walizą na kółkach, a matka wachluje się bukietem kwiatów i udaje zmęczoną. Dobrze, że lotnisko w Trypolisie działa już pełną parą, bo nie chcę nawet myśleć, co by to było, gdyby matka leciała przez Dżerbę, a potem jeszcze cztery godziny spędziła w samochodzie.

Po niespełna trzydziestu minutach podjeżdżamy pod farmę, którą zdążyliśmy w tym czasie ogrodzić wysokim na dwa metry murem. Jest świeżo otynkowany na ciepły pistacjowy kolor. Na szczycie, co parę metrów,

zamontowano okrągłe lampiony. Brama jest na pilota, a furtka oczywiście z domofonem. Teraz nie dostanie się tutaj żaden nieproszony gość.

– Ale zasięki – komentuje matka. – To koszary czy więzienie?

Pozostawiamy pytanie bez odpowiedzi. Podjeżdżamy pod taras, na który biegiem wypada oczekująca nas Joice.

– Witam starszą panią – mówi, przymilnie się uśmiechając.

– To i czarną służbę macie, no, no – zwraca się do nas, lekceważąc dziewczynę. – Nie dotykaj moich rzeczy, bo jeszcze poniszczysz! – wykrzykuje do Joice, usiłującej przenieść jej ciężkie bagaże. – Taka małpa to na niczym się nie zna. Przed chwilą spadła z drzewa.

– Mamo, opanuj się. Co ty wygadujesz? Do reszty zwariowałaś? – nie wytrzymuję i zwracam jej uwagę.

Prycha tylko i wchodzi do domu.

– Od tej strony jej nie znalazłem – szepcze mi do ucha Ahmed. – Chyba też będę musiał zacząć mrużyć mantrę.

– Lepiej rób rezerwację na najbliższy lot – odpowiadam z przekąsem, znacząco ściskając jego dłoń.

– Przygotowaliśmy dla ciebie przytulny pokoik. – Wprowadzam ją do środka i pokazuję drogę.

– Tę klitę nazywasz pomieszczeniem mieszkalnym? Ty tutaj całkiem zdziczałaś i zatraciłaś poczucie dobrego smaku – wyraża swoją opinię.

Nie wiem – śmiać się czy płakać. Zaczynam nerwowo chichotać.

– Jak się rozpakujesz, zapraszamy do salonu na obiad – lekceważę jej docinki, uznając to za najlepszy sposób na przetrwanie.

– Nie wiem jeszcze, czy chcę się rozpakowywać. Mam tutaj mieszkać, w tej wiejskiej chacie na odludziu? Nie podoba mi się to. Mogłaś mnie uprzedzić.

– Mówiłam ci, że mieszkamy na farmie...

– Ale opisywałaś to jak ósmy cud świata i raj na ziemi.

Ahmed z zadowoleniem słucha tych słów i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów patrzy na mnie z czułością. Może dobrze zrobi nam ta wizyta? Zrozumiemy, jaką cudowną jesteśmy rodziną i ile dla siebie znaczymy. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Bo dla mnie tak właśnie jest, to moje miejsce na ziemi. – Wycofuję się i zamykam za sobą drzwi.

Niech trochę ochłonie w czterech ścianach. Obracam się i wpadam prosto w objęcia Ahmeda. Mój wielki brzuch nam przeszkadza, ale nie na tyle, aby nie móc namiętnie się pocałować.

– Kocham cię – czule szepcze mój cudowny mąż.

– Ja ciebie też, choć to mało powiedziane. – Patrzę mu głęboko w oczy. Przytulamy się, gdy nagle mały człowieczek w moim brzuchu wykonuje mistrzowski kop.

– Gol! – krzyczy zachwycony Ahmed, czując uderzenie. – Będziemy mieć piłkarza w rodzinie.

– Albo piłkarkę – mówię przez ściśnięte gardło, ledwie mogąc wziąć oddech. Dostałam prosto w przeponę.

– Siądź na chwilkę. – Usiłuje mnie zaprowadzić do salonu i usadowić na sofie. – Wszystko w porządku? – pyta zaniepokojony.

– Chwileczkę, muszę złapać oddech. – Pochyliłam się do przodu i rozluźniam mięśnie brzucha.

– Dociu!

– Już dobrze. – Prostuję się i powoli wracam do siebie. – My sobie dość często gramy w piłkę nożną.

– To proszę zapraszać mnie na rozgrywki, a nie tak egoistycznie zachowywać wszystko dla siebie – znowu żartuje.

– Dobrze, będę cię budzić o świcie. Ranny ptaszek z naszego maluszka. Oby się to zmieniło, kiedy już przyjdzie na świat.

– Co się martwisz? Przecież zawsze mama ci pomoże – mówi rozbawiony.

– Ha, ha, ha.

Stół czeka nakryty, jedzenie gotowe, lecz matka nie zaszczycą nas swoją obecnością. Z głodu burczy nam w brzuchach, Marysia zjadła już zupę w kuchni.

– Idę ją zawołać – zwracam się do Ahmeda. – Mamo, obiad stygnie – krzyczę przez zamknięte drzwi.

– Nie chce mi się jeść – słyszę odpowiedź. – Odpocznę trochę.

– Nie wygłupiaj się i nie rób problemów od samego początku. – Nie wytrzymuję i wchodzę do środka.

Matka leży na łóżku i zakrywa twarz rękami. Ależ ona się postarzała.

– Mamusiu, proszę, zjedz coś, a potem do wieczora sobie poleżysz – mówię już delikatniej, siadam na łóżku i chcę ją objąć.

– Jeśli muszę, to wedle rozkazu. – Gwałtownie siada i omija moje wyciągnięte ramiona. Robi mi się niewyobrażalnie przykro.

Wszystko, co serwujemy na uroczysty posiłek, według matki jest niesmaczne, wręcz obrzydliwe, całkowicie do bani.

– Nie przejmuj się – podsumowuje. – Ty nigdy nie umiałaś gotować, ale jak ten biedny Ahmed to wytrzymuje? Współczuję ci, synku – zwraca się do niego.

Wbijam wzrok w obrus. Gdzie popełniłam błąd, co złego zrobiłam własnej matce, że jej wielka miłość do mnie przerodziła się w złość? Przecież rozstałyśmy się w Polsce w idealnej zgodzie i nawet płakałyśmy na lotnisku.

Jestem przygotowana na jej krytykanctwo i wrodzoną uszczypliwość, ale ona zaczyna wytaczać ciężkie działa i ma zamiar stoczyć tutaj batalię. Nie mam już na to siły.

– To może deser mamie zasmakuje. – Amed z niepokojem zerka na mnie i próbuje rozładować sytuację.

– Wątpię, ale jak muszę...

Joice wnosi półmiski ze schłodzonymi owocami: pokrojonymi w kostkę arbuzem i melonem, czarnymi i zielonymi winogronami oraz dojrzałymi figami.

– W końcu coś, czego nie ugotowałaś. Jest szansa, że będzie jadalne.

Na środku stołu triumfalnie ląduje posrebrzana patera z moim popisowym sernikiem wiedeńskim.

– Z cukierni, ma się rozumieć?

– Domowy, ma się rozumieć – podchwytyję jej styl, mocno już zdenerwowana i urażona.

– Wszyscy na wielkie uroczystości proszą Docie o upieczenie tego ciasta – chwali mnie Ahmed. – Teraz nikt z naszej rodziny nie chce już tłustych tortów od cukiernika.



– No, no, zobaczymy. – Nadstawia talerz, na który Joice nakłada jej wielki kawał sernika. – Tylko nie dotykaj mi tego tymi brudnymi paluchami! – krzyczy po polsku. – Jeszcze się czymś zarażę, oni wszyscy mają AIDS!

– Joice jest przebadana. Ma świetne referencje z poprzedniego miejsca pracy, to znaczy od ambasadora Niemiec. – Ahmed już nie wytrzyma.

Widzę, jak dziewczynie robi się przykro. Mogła nic nie zrozumieć, ale jedno słowo o międzynarodowym znaczeniu na pewno wychwyciła. Wybiega do kuchni, a ja za nią. Jeszcze mi brakuje, żeby odeszła.

– Madam – mówi, łkając zgięta w pół. – Przecież ja jestem zdrowa, ja nie jestem taka...

– Joice, nie przejmuj się, przepraszam cię w imieniu matki. – Otaczam ramieniem jej plecy i czuję, jak spociała się z nerwów.

– Dlaczego starsza pani mnie tak nie lubi? Bo jestem czarna? – pyta ze smutkiem.

– Moja droga. Nie wiem, co jej się stało, ale obecnie to ona nie toleruje nikogo, a najmniej mnie. Ciesz się, że nie rozumiesz po polsku, bo osiwiłaabyś, słuchając tego, co ona tutaj wygaduje.

Obie cicho się śmiejemy. Joice wyciera nos ścierką, dobrze, że nikt tego nie widzi, i jest już całkiem udobruchana. Zabiera się za porządki w kuchni.

– Posprzątam w salonie, jak starsza pani już sobie pójdzie, dobrze?

– Oczywiście, tak będzie najlepiej. Wszyscy musimy jej schodzić z drogi.

Wracam do „miłego” towarzystwa i widzę, jak mama ze smakiem przegryza melonem kolejny kawałek sernika. Sok cieknie jej po brodzie.

– Smakuje? – pytam.

– Melon może być, niczego sobie.

Ukradkiem dajemy sobie znaki z Ahmedem. Ja nadymam policzki, a on mruży oczy i delikatnie kręci głową na boki, prosząc, abym odpuściła i nie przejmowała się. Ma rację, szkoda nerwów.

– W piątek moja rodzina zaprasza na uroczysty obiad, wydawany specjalnie na cześć mamy – mówi Ahmed.

– Też gdzieś tutaj na wsi? – odzywa się miastowa.

– Nie, mieszkają w stolicy.

– To czemu wy jesteście na takim zesłaniu? – pyta złośliwie.

– Dorocie farma bardzo się spodobała. Zresztą to tylko tymczasowo.

– Nie wiem, co tutaj może się podobać? – dziwi się matka. – Ja bym na takim odludziu po dwóch dniach zwariowała.

Już ci to nie grozi, złośliwie stwierdzam w duchu.

– Chcesz sięść na ganku? Na pewno się ochłodziło – proponuję. – A może obejrzysz dom?

– Co tu jest do oglądania, tak jakbym stodołę obchodziła wkoło.

– Nie przesadzasz trochę? – Tracę resztki cierpliwości. – Lepsza ta twoja nora w betonowym bloku? Całe twoje mieszkanie ma tyle metrów ile nasz salon.

– Moje panie, zatem wypijmy herbatę na patio – przerywa Ahmed, a po wyrazie jego twarzy widzę, że zaczyna się denerwować.

Wstajemy, przechodzimy przez kuchnię i udajemy się do naszego ulubionego zakątka. Zapobiegliwa Joice usunęła basen Marysi i gruntownie wszystko wysprzątała. Z odnowionej małej fontanny na środku spływa woda, uspokajająco szemrząc i przyjemnie nawilżając i ochładzając powietrze. Zapach jaśminu odurza, a czerwone bugenwille nadają ciepła zimnemu kamienemu wystrojowi. Stół jest nakryty kolorowym obrusem, a na ławach rozłożone są puchate poduszki. Matka nie odzywa się ani słowem, lecz widzę, że dokładnie lustruje każdy szczegół. Czekam na kolejny cios.

– To co ja tutaj niby będę robić całymi dniami? – pyta w końcu.

– Będiesz mi towarzyszyć i bawić mnie miłą rozmową – kąśliwie odpowiadam. – Na pewno stęskniłaś się za swoją wnuczką Marysią, więc z chęcią będziesz się z nią bawić – kontynuuję.

– Może wesprze nas mama w zakupach rzeczy dla dzidziusia? – proponuje Ahmed.

– A mają tu jakiś stragan na sąsiednim polu buraków? – wyrzuca z siebie dalsze złośliwości.

– Często jeździmy do miasta, to niecała godzina drogi stąd.

– Dorota ma samochód? – Wie, że tak nie jest.

– Nie było takiej potrzeby, a zresztą w jej stanie niewskazane jest prowadzenie auta.

– Ale kiedy nie jest akurat w ciąży, to też nie może się nigdzie ruszyć, bo nie ma czym – podsumowuje matka.

– Świetnie dawaliśmy sobie radę – oponuję. – Ahmed, jadąc do pracy, zabierał mnie i Marysię. Mała spędzała czas z babcią, ja szłam na fitness, a potem do koleżanek lub w odwiedziny do krewnych. Takie eskapady trzy razy w tygodniu w zupełności nam wystarczały.

– No tak – niez mordowanie kontynuuje matka. – Ale Marysia niedługo powinna chyba pójść do szkoły, w Polsce już chodziłaby do zerówki, a noworodek nie nadaje się na ciągłe jazdy.

– Mówiłem mamie, że mieszkamy tutaj tym-cza-so-wo. – Ahmed wolno kładzie nacisk na każdą sylabę.

– Ty nie mów do mnie takim tonem, młokosie. – Matka podnosi głos i uderza dłonią o blat.

– Herbata, proszę pani. – Nieoceniona Joice przerywa drażliwą sytuację, która mogłaby bardzo niemiło zakończyć ten pierwszy wspólny wieczór. Uff!

– Dziękuję ci. – Specjalnie dotykam jej ręki, a ona odwdzięcza się troskliwym spojrzeniem.

Wypijamy w milczeniu Liptona i rozchodzimy się do pokoi.

– Kochanie, jadę do pracy, ale będę wcześniej – budzi mnie delikatnie Ahmed. – Śpij, jak najdłużej możesz, dla zdrowia fizycznego i psychicznego. Niech ona się tam sama zalewa żółcią.

– Dobrze, wcale nie chce mi się wstawać. Jest mi bardzo przykro.

– Nie przejmuj się – pociesza mnie. – Może to taki pierwszy poprzyjazdowy szok.

Sama nie wiem, kiedy zapadam w głęboki zdrowy sen. Budzi mnie z niego wrzask i płacz Marysi. Zrywam się na równe nogi, pędzę do kuchni i widzę jakieś zamieszanie na patio przy ponownie rozłożonym basenie.

– Co się dzieje?! – krzyczę przerażona.

– Madam, ja sobie ze starszą panią nie poradzę – skarży się mokra Joice. – Ona nie mówi w żadnym języku, nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Ale czemu Marysia tak wrzeszczy? – Pokazuję ręką w stronę mojej rozebranej do rosołu córki, która stoi w basenie i chlapie wodą na wszystkie

strony. Jest tak czerwona na twarzy, że wygląda, jakby miała udar. – Nigdy jeszcze nie urządziła takiej hysterii, co się stało? – zwracam się do matki, która splotła ręce na piersiach i krytycznie taksuje dziecko wzrokiem.

– Wariatka, na pewno po tatusiu. Taki arabski, wredny charakterek.

– Co zrobiła?

– Lepiej zapytaj, czego nie chciała zrobić? – syczy matka.

Wyciągam roztrzęsioną córeczkę z basenu, zawijam w kąpielowy ręcznik i mocno przytulam do siebie. Siadam na ławie i biorę ją na kolana. Czuję, jak trzepocze jej serce, a jej małym drobnym ciałkiem wstrząsa spazm.

– Może w końcu mi powiesz, co się stało?! – pytam matkę wściekła, bo ktoś skrzywdził moje dziecko.

– Tutaj tak przypieka słońce, że musi nosić czapkę albo kapelusz. Chce czy nie.

– A gdzie ty masz na tym zadaszonym ganku palące promienie, co? – pytam, wskazując wzrokiem gęstą winną latorośl nad nami. – Marysia nie lubi nakryć głowy, a każdy ma chyba prawo do własnego zdania. Jak się nie zna dziecka, to nie należy go do czegoś zmuszać. Można mu tym bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

– Patrzcie państwo, jaki pedagog się znalazł. Ja chyba mam większe doświadczenie od ciebie i lepiej wiem, jak postępować z krnąbrnymi bachorami.

– Bachorami?! – wykrzykuję oburzona. – Stęskniona babcia przyjechała, nie ma co!

– Świetnie ją wychowujesz! Ale co się dziwić?! Jak matka śpi do południa, a dzieckiem zajmuje się Murzynka z buszu, to tak to wygląda.

Po wypowiedzeniu tej kwestii odwraca się i znika za drzwiami swojego pokoju. Siedzę z otwartymi ustami i usiłuję złapać oddech.

– Spokojnie, madam. – Joice delikatnie poklepuje mnie po plecach. – Teraz pani musi myśleć o swoim zdrowiu i przyszłym dzidziusiu. Nie należy się denerwować.

– Nie lubię babci – szepcze po arabsku Marysia.

– Nie wolno ci tak mówić. Jakakolwiek by była, to zawsze jest twoja babcia, twoja rodzina.

– No to co? – Dziecko nie rozumie takiej argumentacji. – Babcia Sana’ a jest lepsza. Duuużo lepsza. Ona mnie kocha.

Nie mam już nic do powiedzenia, nie znajduję argumentów. Arabska babcia jest bardziej czuła, wyrozumiała i serdeczna od mojej własnej matki. Tak mi smutno.

– Jadłaś już śniadanie? – pytam Marysię.

– Pewnie, wieki temu. – Śmieje się i z powrotem wskakuje do basenu. Dziecko szybko zapomina i nie chowa urazy. Szkoda, że ja już jestem dorosła.

– A drugie śniadanie? – drażę, bo szukam towarzystwa do posiłku. – A lunch? – Śmiejemy się obie. – Przyniosę sobie jedzonko i siądę przy tobie. Może na coś się skusisz?

Cały czas do powrotu Ahmeda spędzam z Marysią, pluskając się w wodzie lub wylegając na bujanym wygodnym leżaku. Joice co chwila donosi nam napoje, owoce i różne smakołyki. Czuję, że teraz jest mi już całkowicie oddana. Matka zaszyła się w pokoju gościnnym i z niego nie wychodzi. Dzięki temu mamy spokój i całkowity relaks. Nie wiem, kto wpadł na ten głupi pomysł, żeby ją zaprosić. Teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia. Należy tylko mieć nadzieję, że szybko wyczerpią się jej złośliwości lub znudzi się na tyle, że sama zechce nas opuścić.

– *Darling, I’m home* – słyszę wołanie od drzwi. Marysia z piskiem radości pędzi w kierunku głosu. – Ale jesteś zimna i mokra – śmieje się Ahmed. – Uciekaj ode mnie, łobuziaro.

Razem wbiegają na podwórko całe zalane wodą. Najpierw ślizga się Marysia, a potem upada Ahmed.

– O Boże – wykrzykuję przerażona. – Czy wy, wariaci, chcecie się połamać?

Śmieją się mimo bólu i rozmasowują potłuczenia. Marysia biegnie do kuchni na ciepłą zupę, bo nagle poczuła się zmarznięta. Dochodzą nas stamtąd wesołe głosy, podśpiewywanie i tłuczenie garnkami i talerzami.

– No i jak tam? – pyta zaciekawiony Ahmed.

– Rano burza i od tego czasu nie wychodzi z pokoju.

- A o co tym razem poszło?
- Lepiej nie pytaj. Oszczędź sobie nerwów.
- Trochę zaczynam się obawiać wizyty u mojej matki – szczerze

przyznaje.

– O to się nie martw – pocieszam go. – Po pierwsze dom ją stłamsi i przybije. Po drugie nic nie będzie rozumiała, więc nie będzie miała nic do powiedzenia. A co najważniejsze, my będziemy tłumaczyć jej słowa, więc przy odpowiedniej cenzurze spotkanie będzie można nazwać nawet przyjacielskim.

W samochodzie matka siada na moim miejscu, zaplata ręce na brzuchu i zezłoszczona patrzy tępym wzrokiem przed siebie. Obserwuję ją. Mysie przerzedzone włosy ma przystrzyżone w modny małomiasteczkowy sposób – paż f la Kopernik z falkami wokół uszu. Sukienka o kroju z lat siedemdziesiątych, ze stylonu czy innego sztucznego materiału w kolorowe kwiatki, opina jej niezgrabne ciało. Ręce pokrywają brązowe wątrobowe plamy, skóra marszczy się i łuszczy. Jako jedyną biżuterię nosi rosyjski pierścionek z czerwonym oczkiem, który dostała od mojego ojca wieki temu. Będzie mocno odstawała od rodziny Ahmeda, i to nie tylko wyglądem. Pani nauczycielka z Polski, która u nas cieszy się szacunkiem, bo przepracowała za marne grosze ponad trzydzieści lat w szkolnictwie, poza granicami ojczyzny wygląda jak żebraczka i nie jest w stanie z nikim się porozumieć.

Podjeżdżamy pod wysokie ogrodzenie z wielką bramą, które w dniu przyjazdu zrobiło na mnie tak ogromne wrażenie. Wjeżdżamy do środka. Lampiony oświetlają podwórze, a przez okna wylewa się feeria światel z wnętrza budynku. Na schodach wiodących do domu stoi matka Ahmeda ubrana w piękną elegancką suknię o stonowanych barwach, sięgającą jej aż do kostek. Zanosi się na przyjęcie w wielkim stylu. Panie witają się ze sobą uprzejmie, lecz dość oziębłe. Moja matka wygląda jak służąca, która zaraz pójdzie do kuchni zmywać naczynia. Myślałam nawet, żeby kupić jej jakąś wyjściową suknię, ale bałam się zaproponować, gdyż obawiałam się wrogiej reakcji. Teraz sama przed sobą muszę przyznać, że jednak się jej wstydzę.

– Jak się masz, Dot? – Samira podbiega do mnie i bierze pod ramię. – Już ci musi być ciężko i jeszcze te piekielne upały. – Patrzy na mnie życzliwie.

– Może ty niedługo też będziesz chodzić z brzuszkiem. – Klepię ją po ręce i figlarnie się uśmiecham. Już dużo lepiej wygląda i wydaje się, jakby jej problem nigdy nie istniał. – Zdrowie ci wróciło i ślub już niedługo.

– *Allahu Akbar!* – dziękuję Bogu radośnie. – Cieszę się, że w końcu będziemy razem z Mahdim, ale nie mówiłam ci jeszcze najważniejszego.

– Co takiego? Ja zawsze dowiaduję się ostatnia.

– Dostaliśmy to wymarzone stypendium do Kanady! – wykrzykuje z piskiem i zaczyna podskakiwać jak mała dziewczynka.

– Poważnie!?! *Mabruk!* – Obejmujemy się i czule całujemy. Jest dla mnie jak siostra, której zawsze mi tak brakowało.

– Tak że planowanie potomka musimy trochę odłożyć. A zresztą ja mam dopiero dwadzieścia trzy lata! Dziewczyno, mam mnóstwo czasu. Po co się spieszyć?

– Święta racja. Nie ma co tak wczesnie rodzić dzieci, bo przekreślasz tym samym całą swoją przyszłość, karierę. Może nie tak dosłownie, ale na pewno plany i marzenia trzeba wtedy odłożyć na później. I niestety, często się zdarza, że się o nich zapomina. Albo musi się z nich zrezygnować...

– Nie mów tak, bo robi mi się smutno. – Samira czuje w moim głosie rozczarowanie. – Mama z chęcią zajmie się również twoimi dziećmi, zresztą jest ich tutaj tyle, że niedługo będzie mogła otworzyć domowe przedszkole. Jak urodzisz Ahmedowi syna, to może trochę się uspokoi i zmieni swoje podejście do pracujących żon i matek. Na pewno wszystko się ułoży, zamieszkać w końcu w mieście i będziesz szczęśliwa.

– Oj, Samirka, miła jesteś. – Kładę głowę na jej chudym ramieniu. – Brakuje mi kontaktów z ludźmi, koleżanek... przyjaciółki.

– To przyjeżdżam do ciebie w poniedziałek, na cały długi tydzień – obiecuje. – Wezmę ze sobą tylko laptopa i walizkę materiałów do tej mojej nieszczęsnej pracy magisterskiej. Teraz już jak najszybciej muszę ją napisać. Obgadamy wszystko z Ahmedem, dobrze?

– Cudnie, cudnie – cieszę się i z radości aż klaszczę w ręce.

Samira trochę zaciska zęby, wymawiając imię brata. Tutaj kobieta musi wiele znieść i nie dać nic po sobie poznać. Tego się już nauczyłam, aż za dobrze. Poza tym, co było – minęło.

– Co to za wesołe intrygi? – Malika zbliża się do nas krokiem królowej. Twarz ma poważną.

– Pojadę do Dot na tydzień, bo smutno jej bez koleżanki. Przecież pracę mogę pisać wszędzie, a zresztą została mi już tylko kosmetyka.

– Nawet na strychu czy w piwnicy? A może na ich polu kukurydzy, bo jedyny pokój gościnny, jaki mają, zajmuje aktualnie jej matka – stwierdza trzeźwo.

– Zapomniałam – mówię smutno.

– *Szisz*, ja też. Nie martw się, jak tylko wyjedzie, masz mnie jak w banku – obiecuje Samira.

– Pewnie, jeśli wyjedzie. – Malika śmieje się ironicznie.

– Nawet tak nie mów! – szepczę z przerażeniem.

– Tak daje w kość? – Obie się za nią oglądają. – Wygląda mi na taką – stwierdza Samira.

– To po co ją zaprosiliście?

– Nie wiem, po prostu ludzka naiwność. – Rozkładam bezradnie ręce i podchodzę do Ahmeda, aby odciążyć go w roli tłumacza.

Podano posiłek i zasiadamy do wielkiego stołu nakrytego najlepszą porcelaną. Nie musieli się tak starać, zwykła zastawa też zrobiłaby piorunujące wrażenie. Oczywiście zaproszono co najmniej dwadzieścia osób, krewnych i sąsiadów. Dzieciarni jest chyba drugie tyle. Brakuje mi Miriam, co chwilę rozglądam się dookoła, szukając jej wzrokiem.

Jeżeli chodzi o jedzenie, rodzina męża przeszła samą siebie. Wszystkie najlepsze arabskie dania serwują w wersji ekskluzywnej, to znaczy na platerach, fantazyjnie ułożone i pięknie ozdobione. Chyba musieli wynająć catering, albo przynajmniej kucharza z restauracji. Atmosfera jest sztywna, gdyż nie ma wspólnych tematów. Tłumaczenie każdego zdania też jest męczące i rozbija rozmowę. Matka siedzi jak trusia, a pozostałe towarzystwo szepcze między sobą. Pierwszy raz podczas przyjęcia jest tutaj tak cicho, nawet dzieci



nie wrzeszczą. Czuję się niczym na stypie i mam ochotę jak najszybciej się stąd wyrwać.

– Kupiliście już wyprawkę, chyba najwyższy czas? – Malika krzyczy przez cały stół.

– Jeszcze nie, w tym tygodniu się wybieramy – odpowiadam.

– Może pojedziesz z nami – proponuje jej Ahmed. – W końcu jesteś specjalistką od dobrych sklepów.

Malika czuje się mile połączona i nawet uśmiecha się półgębkiem.

– Nie znam się na salonach mody niemowlęcej, ale coś wymyślimy.

– Świetnie, to jesteśmy umówieni. – Oddycham z ulgą, bo z nią na pewno wszystko załatwimy.

Przebrnęliśmy przez deser i pijemy herbatę na tarasie. Zewsząd słychać cykady i otacza nas mój ulubiony zapach jaśminu. Próbuję się zrelaksować. Mama siedzi naburmuszona, ze spoconą twarzą, na której wykwitły czerwone plamy. Wygląda, jakby miała zaraz zwymiotować. Niestety, nie uprzedziłam jej, że tutaj nie jada się po kopiastym talerzu każdego dania. Teraz jest już za późno.

– To dla pani. – Teściowa na pożegnanie podchodzi do mojej matki z wielkim pudłem.

– Co to? Jak na odchodne chcą mi dać jeszcze trochę tych tłustych ciastek, to powiedz im, że mam dość. Na całe życie.

– Mamo, opanuj się. – Miażdżę w uścisku jej ramię. – Ona daje ci prezent. Tutaj panuje taki zwyczaj, że gość dostaje upominek.

– Chyba mają przewracane w głowie albo raczej za dużo pieniędzy. – Mamrocze pod nosem jakieś niby podziękowanie, chwyta za paczkę i nie oglądając się za siebie, schodzi po schodach.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się wielokrotnie. Albo na rzyganko, albo na oddychanie i mały spacer po poboczu autostrady. Droga zamiast czterdziestu minut trwa dwie godziny.

– Ładna mi rodzinka! – podsumowuje matka przed wejściem do swojego pokoju. – Chcieli mnie otruć, ale nie za mną te numery. Nie udało się! Ha!

– Mamo, po prostu... – zamyka mi drzwi przed nosem – za dużo zjadłaś! – krzyczę, żeby dobrze usłyszała.

Wieczorem centrum stolicy wygląda cudownie. Jest jasno jak w dzień, bowiem ulice oświetlają nie tylko neony, ale także liczne migające reklamy i światła sklepów. Markety i butiki pracują pełną parą, bo o tej porze jest największy ruch. Upał zelżał i każdy chce się wyrwać z domu, odetchnąć wielkomięską atmosferą.

– Co za tłumy, nie można się było wybrać kiedy indziej? – narzeka spocona matka.

– Już nie mamy zbyt wiele czasu – mówi Ahmed.

– To nie moja wina, że wszystko zostawiacie na ostatnią chwilę. Ja mam to teraz życiem przyplacić!? – fuka niezadowolona.

– Co jest grane? – pyta rozbawiona Malika, nie rozumiejąc konwersacji prowadzonej po polsku.

– Możesz się bez słów domyślić – mówię, wywracając oczy do góry. – Nie ma co się przejmować, realizujemy plan.

Wchodzimy do największego salonu w mieście oferującego wszystko dla milusińskich. Nie wiadomo, od czego zacząć. Na szczęście jest z nami Malika.

– Proponuję zacząć od zakupu największych sprzętów, a na koniec będziemy przebierać w drobiazgach, które zawsze można dokupić.

– Pewnie – oddychamy z ulgą, szczęśliwi, że nam pomaga.

– To co, wózek i łóżeczko? Chodźcie na piętro.

Naszym oczom ukazuje się wielka hala wypełniona po brzegi kolorowymi cackami. Trudno się będzie zdecydować.

– To w końcu może powiecie, wybieramy dla dziewczynki czy dla chłopaka? – Malika patrzy na nas. – Teraz to już chyba wyszło na USG?

– Raczej dla dziewczynki – mówię cicho.

– Chłopak następnym razem. – Ahmed ściąga wargi i smutno patrzy mi w oczy.

– Będziemy musieli nad tym popracować – śmieję się nienaturalnie.

– Dziewczynki są fajne, spójrzcie na Marysię – mówi Malika, wyrażając kobiecą solidarność.

Wybieramy wózek, który wygląda jak łunochod, wanienkę, kolorowe szafki i pudełka na drobiazgi, a w końcu stajemy w dziale z łożeczkami. Kręcimy się w kółko, bo na nic nie możemy się zdecydować.

– No już, wybierzcie coś – pospiesza nas Malika.

– Ale tego jest za dużo! – jęczę. – Wszystkie są takie piękne.

– Jak dla dziewczynki, to ja kupiłabym to – doradza nam w końcu i stajemy przed cudną kołyską z różowym koronkowym baldachimem.

– Mamusiu, patrz, jaka zabawa. – Marysia rozhuśtuje łożeczko. – Ja będę w nim bujać dzidziusia, ja! – wykrzykuje na cały sklep.

Zaraz pojawia się uprzejmy sprzedawca, który prezentuje atuty oglądanego przez nas wyposażenia. Spoglądam na cenę i włosy stają mi dęba, lecz Ahmed zakrywa metkę ręką.

– Bez obaw – mówi. – Nic się nie martw.

Przytulam się, kładąc głowę na jego ramieniu. Nie jest taki zły, jednak jakoś przelknął wiadomość, że i tym razem nie dam mu syna. Po prostu reaguje jak zwykły mężczyzna, bo przecież każdy chce mieć chłopca.

– No już dość tych czułości. – Malika odciąga nas od siebie. – Na to musicie jeszcze trochę poczekać.

– Malikaaa! – wykrzykujemy równocześnie.

Podejmujemy decyzję o kupnie różowej kołyski, a zadowolony ekspedient wypisuje nam numerki, widząc, że to jeszcze nie koniec zakupów.

– W tych firankach tylko kurz się będzie zbierał – za naszymi plecami słyszymy zrzędlivy głos matki. Są to jej pierwsze słowa od wejścia do sklepu.

– Co, co? – pyta rozbawiona Malika, orientując się po barwie głosu, że nie była to raczej aprobata.

Machamy lekceważąco i idziemy dalej. Zostają już tylko drobiazgi. Bierzymy koszyk na kółkach i każdy z nas wrzuca tam rzecz, która mu wpada w oko. Po chwili mamy już tego niemalą górkę. Przy okazji Marysia co chwile podrzuca nam jakiś drobiazg dla siebie. Malika kupuje jej elegancki garniturek, podobny do tych, jakie noszą dzieci w elitarnych szkołach w Anglii, wyjściową sukienkę z tafty i dwie pary skórzanych butów. Ja oczywiście bronię się przed tak drogimi podarkami.

– Dot, to już ciotka bez okazji nie może dziecku kupić prezentu? – ostro pyta Malika. – Nie przesadzaj z tą skromnością, na biednego nie trafiło. Uszczęśliwić dziecko to tak, jakby zrobić dobry uczynek. Allah się z tego cieszy.

Jak tak, to dobrze. Ahmed nie chce być gorszy od swojej siostry i wybiera dla Marysi wielką kolorową piłkę do ćwiczeń i wózek dla lalek.

– Będziecie razem z mamą i naszym nowym dzidziusiem jeździć na spacerzy – mówi do uradowanej córeczki, całując ją w rozpalony z emocji policzek.

– Super, super! – Skacze podekscytowana.

– Teraz na te wszystkie zakupy chyba musimy zamówić ciężarówkę – śmieje się Malika.

– Rzeczywiście, jak my się zabierzemy? – Chwytam się za głowę.

– Spokojnie, część wezmę do mojego auta – jak zawsze Malika znajduje rozwiązanie. – Jutro po pracy Ahmed podjedzie do mnie i spokojnie się zapakuje, a po południu wszystko już będziesz miała w domu.

Po wielu godzinach, umęczeni, lecz szczęśliwi i z dużo lżejszym portfelem opuszczamy centrum handlowe. Matka sunie za nami w milczeniu.

– To co, kto trochę zgłodniał? – pyta Ahmed. – Jedziemy na pizzę i szawormy?

– Tak, tak – rozlegają się okrzyki.

– Mamo, masz ochotę na coś smacznego? – Ahmed bezpośrednio zwraca się do teściowej, bo nie widać, żeby podzielała nasz entuzjazm.

– Na piechotę na wasze odludzie się nie dostanę, więc cóż mi pozostaje. Jadę tam, gdzie państwo każe.

– Nie przesadzasz trochę?! – Już nie wytrzymuję. – O co ci, do cholery, chodzi?! Nikt cię nie zmuszał do przyjazdu tutaj, więc czemu jesteś ciągle niezadowolona? – zmęczona, rozdrażniona i dotknięta do żywego krzyczę na całe gardło.

– Nie denerwuj się, nie warto – próbuje mnie uspokoić Ahmed.

– To ja czekam w restauracji. Zarezerwuję stół. – Malika wycofuje się z niezręcznej sytuacji. – Marysia, chodź ze mną, kupimy sobie wcześniej lody.

– Nie dość, że dokuczasz mi non stop, to jeszcze obrażasz mojego męża.

Przestań traktować nas jak gówno – kontynuuję.

– No tak, paniska się znalazły – odpowiada z sarkazmem.

Ahmed odchodzi do samochodu, a my stoimy na marmurowym dziedzińcu i nie przerywamy słownej potyczki. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić ani jej oszczędzać.

– Zamiast się cieszyć, że dobrze trafiłam, że mam męża z dobrej i bogatej – z naciskiem wypowiadam te słowa – rodziny, chodzisz naburmuszona jak zezłoszczone dziecko. Cały czas się wściekasz, więc może w końcu powiesz mi, co według ciebie jest nie tak?

Gdyby wiedziała o moich wcześniejszych problemach, to chyba by ją to tylko ucieszyło. Jednak dobrze, że zachowałam to przed nią w tajemnicy.

– Wyrwał cię ten Arab z domu rodzinnego – stwierdza z błyskiem nienawiści w oku.

– Co ty pleciesz?! Nikt mnie nie porwał, nie zrobił nic wbrew mojej woli! Ja po prostu wyszłam za mąż, szczęśliwie i z miłości. Wcześniej czy później musiało to nastąpić.

– Można się przenieść do innego miasta, ale żeby od razu taki kawał świata do dzikusów i brudasów – mówi z niesmakiem.

– To ty wyglądasz jak wieśniara, baba ze wsi i dziadówka – tracę nad sobą panowanie. – Porównując cię z rodziną Ahmeda, to o tobie można powiedzieć dzikus i brudas. Nawet nie jesteś w stanie porozumieć się w żadnym cywilizowanym języku!

– Znam może tylko jeden, ale za to dobrze i nie mówię: Kali chcieć, Kali jeść.

– A kto niby tak się wypowiada? Jak ty możesz określić czyjeś umiejętności, nawet nie umiając powiedzieć *How do you do?*!

Czuję siarczysty policzek wymierzony mi z wielką siłą. Chwieję się na nogach. Podbiegają do nas przechodnie. – Co się dzieje? *Fi muszkila?* Jakiś problem? Możemy jakoś pomóc? – pytają zaniepokojeni. Kręcę na boki głową i czuję, jak łzy zbierają mi się w oczach. Oddycham głęboko i usiłuję się opanować – nie dam jej tej satysfakcji i nie zacznę beczeć. Ahmed biegnie do nas i za chwilę otacza mnie opiekuńczym ramieniem.

– To już lekka przesada, zaraz jej oddam! – mówi po arabsku, żeby matka nie zrozumiała. – Nikt nie będzie bił mojej żony! – przechodzi na polski i mocno ściska ją za nadgarstek. – Pani teraz taksówką pojedzie do domu mojej matki, żeby sobie przemyśleć swoje postępowanie – zwraca się do niej lodowatym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Jest tam gościnny apartament,

który z pewnością będzie pani mogła zająć.

– Co, może poderżniesz mi gardło, ty terrorysto?! – Ahmeda zamurowuje,

jest całkowicie zaskoczony, podnosi brwi i otwiera usta. Spina się w sobie, jakby szykował się do skoku. Bez zastanowienia biorę pełny rozmach i strzelam prosto w spocony, otłuszczony policzek mojej matki.

Nagle przeraźliwy ból łapie mnie w dole brzucha, jakby chciał mnie od środka rozsadzić, przechodzi na dół pleców i opasuje mnie palącą wstęgą. Z jękiem zginam się wpół. Nie mogę oddychać.

– Do szpitala, Ahmed, na porodówkę, szybko – szepczę przez zaciśnięte gardło i padam na marmurową posadzkę.

## Głupkowany adorator

Moje życie w oazie Al Awainat u podnóża gór Akakus powoli wpada w rutynę. Chcę zreć, muszę pracować – prosta zasada. Ale praca tutaj to nie zabawa, to nie świetlica w polskiej szkole w Trypolisie czy sprzątanie ambasady.

Pobudka jest równo z kurami, to znaczy ze wschodem słońca. Potem rodzina udaje się do pokoju modłów i czci imię Allaha tak długo, aż przygotuję śniadanie. Dzieciaki kręcą się pod nogami, a ja usiłuję ich nie poparzyć ani nie rozdeptać. Boże, ile ci ludzie potrafią zjeść! I każdy co innego. Dorośli, przeważnie mężczyźni, maczają cienki chleb pita najpierw w oliwie, potem w mieszaninie ziół *za 'tar*, a na koniec w słonawym twarożku *lebneh*. Zagryzają to słodką cebulą, oliwkami i pomidorami, które tutaj stanowią rarytas i trzeba po nie jechać na *suk* aż do Ghat, większej oazy. Popijają to wszystko hektolitrami zielonej herbaty, do której parzenia jeszcze nie zostałam dopuszczona. Kobiety i dziewczyny zajadają się słodką wtirą, drożdżowym plackiem smażonym na głębokim oleju, polanym miodem i posypanym wiórkami kokosowymi. Czasami smarują ją po prostu dżemem i mlaszczą, wylizując kapiący po rękach tłuszcz. Dla młodzików nauczyłam się robić takie same placki, tylko z żółtym serem bądź jajkiem w środku. Dzieciaki pałaszują kuskus albo kaszę *burghul* zalane kozim mlekiem. Taka nasza owsianka. Przygotować wszystko na czas dla kilkunastoosobowej rodziny nie jest proste. Dlatego też wstaję przed wszystkimi. Codziennie budzi mnie dziadek, który rano uwielbia sikać na łonie natury i upodobał sobie miejsce koło mojego szałas. Co drugi lub trzeci dzień sprzątam dom – na szczęście nie jest tak duży jak nasze wille w stolicy. To mały parterowy baraczek z piaskowca ze wspaniałym widokiem z dachu, na którym wieszają się pranie, a przy

odrobinie szczęścia można sobie uciąć drzemkę. Panorama jest niesamowita. W dali widać wielki masyw górski, którego wierzchołki nie są spiczaste, lecz jakby ucięte nożem i można je porównać do potężnego, przysadzystego stołu. Ich barwa zawsze jest ciemna, nigdy się nie zielenią, a tutejsze dzieci straszy się mieszkającymi w nich dżinami.

Izby w domostwie są urządzone ascetycznie. Znajdują się w nich tylko niezbędne sprzęty, wykonane przez domorosłych lokalnych rzemieślników albo przez gospodarzy. Nigdzie nie ma luster. Najbardziej luksusowym pomieszczeniem jest sala modlitw. Jej środek zaścielają wyświechtane, poplamione dywany, pod ścianami leżą materace w kolorowych poszewkach, a w kącie pod oknem stoją telewizor, drewniane warcaby i dwie szisze. Mnie tam nie wolno wchodzić, bo jestem nieczysta.

W dni, kiedy nie pracuję w domu, wypasam owce i kozy. Został mi przydzielony nauczyciel i opiekun, bo samej nigdzie nie wolno mi się ruszyć. Tak jakby było dokąd uciec. Nie mam żadnego dokumentu i na najbliższej sztorcie, posterunku policji, których tutaj pełno, zostałabym zatrzymana i prawdopodobnie odesłana do więzienia lub zakładu karnego dla zdeprawowanych kobiet. Z dwojga złego lepsza już ta zacofana mała oaza i nieżyczliwy mi dom.

Moim opiekunem, czyli mahramem, jest osiemnastoletni Ramadan, niedorozwinięty chłopak, który jako pierwszy ośmielił się do mnie zbliżyć. Biedak tak się przejął swoją rolą, że nie odstępował mnie na krok. Jak mnie tutaj przywieziono, Ramadan wydawał mi się ni to dziewczyną, ni chłopcem, lecz przez zimę bardzo się zmienił. Rozrósł się w sobie, jego twarz stała się bardziej kanciasta, pokryta rzadkim ciemnym zarostem i trądzikiem, a długie włosy obciął mu dziadek nożycami do strzyżenia owiec. I wtedy, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, chłopiec przemienił się w mężczyznę. Od tej chwili zmieniło się też jego zachowanie. Sympatyczny, trochę opóźniony i nieśmiały wyrostek stał się obleśnym, zboczonym młokosem. Czuję, że będą z tego kłopoty, lecz niestety nie mogę go unikać, bo wszyscy już przywykli, że jesteśmy nierozłączni. Ramadan na terenie farmy zachowuje się jeszcze jako tako, łażąc tylko za mną, szurając nogami i wydając jakieś dziwne dźwięki. Ale kiedy idziemy wypasać owce i tylko trochę



oddalimy się od domostwa, zaczyna być coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. Cały czas szuka okazji, żeby mnie dotknąć, a potem obmacuje siebie. Chyba dopiero tej wiosny odkrył własną seksualność. Biedak prawie nie wyciąga ręki z szarawarów i onanizuje się, kiedy tylko się da.

To wypasanie owiec i kóz nie jest takie złe, jeśli porównać je z ciężką harówką w domu. Idzie się na najbliższą łąkę, na której już w maju nie ma ani jednej zielonej rośliny, siada się pod jakimś krzewem czy na wpół uschniętą oliwką i drzemie w upale, od czasu do czasu otwierając jedno oko i sprawdzając, czy zwierzaki nie są na tyle głupie, aby się zbytnio oddalić.

Polubiłam to chrzestowanie łamanych suchych traw w pyskach bydłek, które są całkiem sympatyczne. Szczególnie jedna mała czarna kózka jest jak mój piesek. Chodzi za mną, ociera się o moje nogi i zagląda mi w oczy. Siedzę rozleniwiona w miękkim piaszczystym dołku, a ona śpi najedzona z łąki na moim brzuchu. Od niechcenia gładzę jej aksamitne futerko, a ona fuka uszczęśliwiona. Marysia też tak lubiła się we mnie wtulać i podobnie wdychała ze szczęścia, kiedy gładziłam jej włosy. Nie mam już łez, aby je wylewać nad moją beznadziejną sytuacją i z tęsknoty za utraconymi dziećmi. Serce w mojej piersi umarło, ono już chyba nawet nie bije.

Nagle czuję jakby podmuch wiatru między włosami i otwieram nieprzytomnie oczy. Tuż nad sobą widzę przyszczatą twarz Ramadana, jego zaślinione wargi, które wygina teraz w jeszcze dziwniejszym grymasie niż zwykle.

– Ej, co ci chodzi po głowie, czego chcesz?! – krzyczę, a przerażona kózka skacze na równe nogi i ucieka. Chłopak odsuwa się, lecz klęka obok. Jego szerokie spodnie są opuszczone aż do kolan i moim oczom ukazuje się podniesiony, gigantycznych rozmiarów fallus, kapiący obrzydliwą, ciemnożółtą spermą. Głupkowaty chłopak nadal go podrzuca, czasami drapiąc się po słabo owłosionych, równie wielkich jądrach.

– Ty, Blondi, patrz, co ja mam, eee... – Śmieje się uszczęśliwiony, pokazując przy tym przegniłe próchnicą zęby.

– Na Allaha, Ramadan, tak nie wolno, *haram*, wielki *haram*! – wrzeszczy.

Puszczam się pędem w kierunku domu, choć jeszcze słońce nie oznajmia końca pracy. Jeśli nawet będą z tego kłopoty, to i tak mniejsze niż z tym

napalonym, szurniętym byczkiem. Może by tak komuś o tym powiedzieć, może zmienia mi mahrama albo w ogóle z niego zrezygnują? Przecież sama pustynia to więzienie, tyle że bez krat.

Czekam na świt jak na zbawienie. Kiedy słyszę ostatnią kroplę moczu spadającą na suchy piach koło mojego szałas, wychodzę z niego zgięta wpół.

- *Szabani*, dziadku, *fi muszkila* – szepczę w ciszy poranka.
- *Szinu?* – Przygarbiony mężczyzna podskakuje, tak jakby nie był świadom, że za każdym razem jestem świadkiem jego porannego rytuału.
- Mam wielki problem – wyznaję, nie patrząc mu w oczy, co ma być oznaką szacunku.
- Co znowu? – pyta zniecierpliwiony i chce odejść.
- Ramadan...
- Aaa, ten chłopaczyna. – Lekceważąco macha ręką.
- On już stał się mężczyzną.
- Eee tam, co ty opowiadasz, kobieto. Toż to dziecko.
- Ale nie w stosunku do mnie. On się obnaża, dotyka swoich narządów i chce czegoś ode mnie. – Teraz patrzy już ostro i czuję przez skórę, że o wszystko oskarżą mnie.

– Jak śmiesz! – Jego laska łąduje na moich plecach, ale odczuwalność bólu znacznie u mnie zmalała, więc bez mrugnięcia powieką zastępuję mu drogę.

– To prawda, najświętsza prawda. Na Allaha, przysięgam, dziadku. Zapytaj jego, on jest głupi, ale może dzięki temu uczciwy. – Następne uderzenie jest już łżejsze, jakby od niechcienia.

Przyspieszonym krokiem starzec kieruje się w stronę domu, a ja chowam się w moim szałasie. Potem przez długie godziny słyhać razy i wrzaski karanego Ramadana.

Całe lato mam święty spokój, tak jakby rodzina zapomniała o moim istnieniu. Skończyły się wszelkie domowe prace, a jedyny obowiązek, jaki mi pozostał, to wypasanie kóz i owiec, ale teraz na odległe pastwiska chodzę sama. Bez kontroli, bez opiekuna – może obawiają się, że komuś innemu również

mogłabym zawrócić w głowie? Zaczęłam też robić zakupy w miasteczku. Cieszę się, bo to mój jedyny kontakt ze światem, jedyna możliwość przebywania blisko autostrady, po której z zawrotną szybkością mkną ciężarówki, pick-upy i samochody osobowe. Jak do tej pory nikt nie zatrzymał się przy małym sklepie spożywczym, ale może kiedyś los się do mnie uśmiechnie.

Mój szalaś wygląda teraz całkiem inaczej. Owce i kozy zagnano do specjalnej zagrody, także lokal został do pełnej mojej dyspozycji. Posprzątałam i zamiotłam klepisko, a wodą noszoną ze studni zlewałam je tak długo, aż smród zwierzęcych odchodów prawie zniknął. Na koniec spryskałam wszystko chlorem, który tutaj służy do dezynfekcji. Gdy rodzina zauważyła moje porządki, zaczęła po kryjomu, w tajemnicy jeden przed drugim, znosić mi przydatne rzeczy. I tak dostałam rozpruty stary materac, pogryziony przez mole koc, poduszkę z pozbijaną watą w środku, starą oponę jako taboret i kawałek deski służący za stół. To już są nie lada luksusy, lecz kiedy przerażona swoim czynem nastolatka podrzuciła mi kawałek firanki, poczułam się prawie jak w domu. Później z pola zaczęłam znosić cienkie, giętkie patyczki, aby uszczelnić moją siedzibę przed następną zimą. Teraz już wiem, czego po tej porze roku można się tutaj spodziewać i muszę się jakoś zabezpieczyć, bo nawet przy minusowej temperaturze nie zostaną przecież wpuszczona do rodzinnego gniazda.

Obserwuję zmiany, które zaszły w moim ciele. Bogu dzięki, nie widzę twarzy, ale ręce i nogi wysuszyły mi się na wiór. Kości pokrywa cienka, spalona słońcem skóra, na której wykwitają znamiona i ślady po oparzeniach słonecznych, zadrapaniach i razach. Jestem chudsza niż kiedykolwiek. Po wszystkich przejściach moje niegdyś piękne blond włosy zaczęły wypadać garściami. Gdzieś pod przeczesującymi je palcami czuję tylko skórę, więc po zejściu z Ramadanem postanowiłam zrobić z nimi porządek. Już nikogo nie będą prowokowały! Pożyczyłam od dziadka nożyce, chyba jedyne w tym domu, i obciąłam się prawie do skóry. Teraz głowę przykrywam chustą, jak dobra muzulmanka, ale czynię to nie tyle z głębokiej wiary, ile aby chronić się przed słońcem i owadami. Jeśli ktoś zobaczyłby mnie przemierzającą miasteczko, zawiniętą od stóp po szyję w tradycyjny materiał, w chuście na głowie, plastikowych, wydeptanych kłapkach na nogach, o

twarzy spalonej na głęboki brąz, do głowy by mu nie przyszło, że to ja, Dot zwana Blondi, czystej krwi Europejka.

Najgorsze są ostatnie podrygi lata, kiedy atakuje ostatkiem sił, ale i najostrzej. Znam *gibli* z farmy czy Trypolisu, ale zanim tam docierało, pokonywało ponad tysiackilometrową odległość, więc znacznie już słabło. Na środku Sahary zaś, pod górami Akakus jest jego epicentrum. Tutaj powstaje i tu jego moc jest zastraszająco wielka, a potworny upał, który ze sobą niesie, wygrzebuje chyba z jakiegoś niewidzialnego pieca we wnętrzu ziemi.

Mimo wichury gospodyni z samego rana wysłała mnie na pastwiska. Ona chyba całkiem postradała zmysły! Co te biedne bydłatka mają niby tam jeść, kiedy wszystko już tak wyschło, że rozsypuje się w pył. Odbieram to oczywiście jako złośliwość pod moim adresem, ale pójdę i wrócę, dam radę. W ten sposób się mnie nie pozbędzie.

Przeważnie oddalam się od osady na parę kilometrów, chcąc poczuć choć odrobinę wolności, lecz dzisiaj już po pokonaniu parunastu metrów nic dookoła siebie nie widzę. Wiatr chłoscze mnie boleśnie, wbijając drobinki piasku pod powieki, do nosa i ust. Nie mogę oddychać, więc prawie całą twarz zasłaniam długą chustą, zostawiając tylko małą szparkę na oczy. Idę na pamięć, kierując się w stronę małego *wadi* ocienionego karłowatymi, lecz porośniętymi liśćmi oliwkami. Tam nawet latem biją spod porozrzucanych skałek anemiczne źródelka, więc jak na tę szerokość geograficzną, jest to teren całkiem nawodniony i zielony. Razem ze zwierzętami idziemy przed siebie, chcąc jak najszybciej znaleźć się w zacienionym głębokim wąwozie, którego ściany zniwelują przynajmniej częściowo uderzenia wichury. Z oczu i nosa cieknie mi gęsta maź w rdzawym kolorze, między zębami zgrzyta piach. Nagle, jak nożem uciał, siła podmuchów maleje, a po paru następnych krokach wręcz niknie. Można odetchnąć, choć nadal prawie nic nie widać i czuje się, jakby ktoś zawiązał wszystko w beżowy całun. Owce pobekują szczęśliwe, a kozy błyskawicznie zabierają się za oskubywanie półżywych oliwek. Uśmiecham się do siebie z zadowoleniem, jaka to ja jestem sprytna. Siadam pod niskimi gęstymi krzewami, słyszę kapanie niewidocznej wody i na słuch odnajduję źródelko. Wyciągam z kieszeni czerstwy placek, moczę

go i pakuję do ust, a następnie długo przeżuвам. Napelniwszy trochę zapad-

nięty brzuch, moszczę się w ciepłym piachu, znów zasłaniam twarz chustą i zapadam w drzemkę. Tak szybciej płynie czas i tak się regeneruje siły.

Instynktownie otwieram oczy, bo czuję czyjąś bliską obecność, tuż przy mnie, tylko jeszcze nie widzę, z której strony. Zaczajam się, sprężam w sobie. Nagle od tyłu zostaję chwycona za gardło i przyciśnięta do podłoża. Napastnik całą głowę ma owiniętą w turban, widać mu tylko czarne, wąskie jak szparki, płonące oczy. Siada na mnie okrakiem i usiłuje chwycić ręce, którymi rozpaczliwie wymachuję, ale nie jestem w stanie sięgnąć jego twarzy. Że też ciągle mnie to spotyka, że też właśnie ja muszę to przeżywać. Marnie widzę swoje szanse i już prawie znam scenariusz. Kiedy mężczyzna pochyla się, chcąc wyplatać swojego fiuta z szerokich, śmierzących łańców,

gwałtownie rzucam się i udaje mi się wyswobodzić rękę. Chwytam za wiszącą końcówkę turbanu i jednym ruchem go rozplątuje. Moim przerażonym oczom ukazuje się głupkowata twarz Ramadana, też jakby zszokow-

anego zaistniałą sytuacją. Jego wstyd trwa nie dłużej niż minutę, bo palące chłopaka chucie są silniejsze od wszelkich skrupułów. Z szaloną pasją zabi-  
era się do dzieła, a ja bezwolna i jakby martwa leżę pod jego ciężarem, nie mając już siły na walkę. Przez łzy wypływające z kąciaków oczu obserwuję wiry powietrza niosącego ze sobą tumany mialkiego piachu i kłęby wyschniętych, zbitych w kule cierniowych krzewów.

## Epilog

Ale się tutaj zmieniło, nie, Docia? – Mój mąż z podekscytowania aż podskakuje na siedzeniu koło kierowcy.

– Tak, tak, duża różnica. My też tutaj byliśmy wcześniej, pierwszy raz w latach osiemdziesiątych – potwierdza miły, czterdziestoletni mężczyzna.

– Wtedy to chyba, panie konsulu, na Gargareshu jeszcze kozy wypasali? – śmieje się Łukasz.

– Tak źle nie było, ale dość orientalnie, prawda, Tamara? – zwraca się do swojej żony, która zdenerwowana siedzi obok mnie z tyłu.

– Bez przesady, wtedy były inne czasy. Ale ty tutaj mieszkałaś później, prawda?

– Tak, koniec lat dziewięćdziesiątych i pierwsze lata drugiego tysiąclecia – przyznaję.

– Wtedy to już tutaj było nowocześnie – śmieje się. – Lepiej niż w niejednym polskim domu.

– Prawda, rodzina mojego libijskiego męża opływała w dostatek i luksusy.

– Tak, tak...

– Jedziemy na Gurdzi, teraz w tej dzielnicy mieszka pani była teściowa i tam widziano Marysię – przechodzimy do konkretów.

– Tak, zaprzyjaźniony detektyw, ten z włoskiej ambasady, ją odnalazł. Po śmierci Maliki matka wróciła z Ghany, lecz sama nie była w stanie utrzymać wielkiego domu w centrum i musiała go zamienić na mniejszy, w gorszej części miasta – tłumaczę, z zaciekawieniem rozglądając się dookoła.

– Tamto to była kamienica – z zachwytem mówi Tamara. – Podjechaliśmy i popatrzyliśmy sobie na nią z ulicy. Ale tam musiały być apartamenty.

– Niezłe – przyznają bez zbytniej euforii.

– Ta twoja szwagierka, która ci pomogła z młodszą córką, miała taki fer-  
alny wypadek? Niech to licho, młoda piękna kobieta i tyle lat leży jak  
roślina. Co za życie...

– Szkoda jej, naprawdę – przyznaje Łukasz, a ja gryzę wargi, wspominając  
nasze ostatnie spotkanie, tak jakby to było wczoraj.

– Jesteśmy już blisko. – Widzę, jak konsul zaczyna się denerwować. –  
Dorota, idziesz, jak najszybciej zabierasz córkę, do auta i jedziemy do am-  
basady. Ja wystawiam jej paszport tymczasowy i zawożę was do Tunezji.  
Bułka z masłem. Wieczorem pijemy szampana na Dźerbie. – Oddycha z ulgą,  
jakby już było po wszystkim.

Nie zdążyłam nawet zobaczyć starych kątów, spotkać się z Basią i jej  
rodziną, bo znów lepiej się nie afiszować. Jedyne, co musiałam, to odwiedzić  
Samirę w szpitalu.

Z sercem na ramieniu wysiadam z auta i kieruję się do parterowego domku  
przy ulicy. Strach ściska mi gardło. A jak mnie nie pozna? W tej samej  
chwili, jakby na zawołanie, z domu wybiega szczupła nastolatka w kolorowej  
chuście na głowie. Minęło ponad siedem lat, a ja i tak wiem, że to ona.

– Marysiu, Marysiu! – krzyczę głośno, lecz dziewczyna nawet się nie  
obejrzy. Czyżbym się myliła? – Miriam, *ja binti!*

– *Szinu?* – pyta niegrzecznie.

– Miriam, córeczko, nie poznajesz mnie? – pytam drżącym głosem.

Dziewczynę jakby замуrowało, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami  
i z niedowierzaniem kręci głową.

– To niemożliwe, ty nie żyjesz! – wykrzykuje ze złością po arabsku. – Tak  
mówił tata i ciocia Malika, i taka jest prawda. *Halas!*

– Ale stoję przed tobą i raczej nie jestem duchem. – Robię krok do przodu  
i wyciągam ręce, chcąc ją objąć.

– Tak nie można, tak nie wolno! – Wycofuje się przerażona w kierunku  
domu. – Nie ma cię całymi latami, zostawiasz mnie, porzucasz, a teraz sobie  
przychodzisz stęskniona?!

– Najpierw nie mogłam się z tobą skontaktować, a potem nie byłam w stanie cię odnaleźć – tłumaczę z sercem zaciśniętym z bólu.

– Trata tata – mówi jak dziecko. – Nie wierzę w to. Póki człowiek żyje, wszystko może.

– Nie zawsze to jest takie proste. Jednak postaram się wszystko ci wytłumaczyć. Chodź teraz ze mną, wrócimy do domu, do Polski. Będziemy miały dość czasu na rozmowy i wtedy na spokojnie wszystko ci opowiem.

– Co?! – krzyczy zszokowana, aż ludzie na ulicy przystają i zaczynają nas obserwować.

– *Miriam, fi muszkila?* – z otwartego okna słychać zaniepokojony głos. Podnoszę oczy i widzę siwą głowę matki Ahmeda. Długo patrzymy na siebie, lecz ona pierwsza opuszcza wzrok i kryje się za okiennicą.

– Mamo, wybacz, tak bardzo cię kochałam i tak bardzo potrzebowałam... Ciebie nie było, za długo ciebie nie było... – szepcze rozgoryczona Marysia.

– Teraz jest już za późno. Tutaj jest moja rodzina, moi bliscy, mój dom i moja religia. Nie mogę tego wszystkiego zostawić, nie mogę ich opuścić. Kilka lat później...

– Łukasz, otwórz drzwi, ja mam mokre ręce – krzyczę z kuchni w stronę salonu.

– Ja, kobieto, też coś robię, masz bliżej.

– Oczywiście, jak zawsze – wzdygam, ale wcale mnie to nie złości. – Darusia, przypilnuj przez jedną minutkę Adasia, zaraz wracam.

– Dobra, dobra – nastolatka odpowiada z uśmiechem, obejmując brata ramieniem. – Ależ komuś się pali. Przecież nikogo się nie spodziewamy.

Wychodzę na podwórze i jak wata okleja mnie upał Rijadu. Boże, co za klimat, jak my tutaj żyjemy?

– *I am coming!* – wołam, słysząc następny dzwonek.

Ze złością na taką nachalność nieproszonego gościa gwałtownie otwieram metalową bramę i staję jak wryta. Na chodniku przed domem stoi młoda Arabka o zadziwiająco jasnej karnacji, w czarnej chuście na głowie i długiej do ziemi abaji.

– Kto to? – słyszę za sobą głosy Łukasza i Darin.

– Dzień dobry, mamo... W końcu cię odnalazłam...



## Podziękowania

Największe podziękowania należą się mojemu mężowi Igorowi, za zainteresowanie mnie Orientem, wprowadzenie w jego kulturę i zwyczaje i umożliwienie wieloletniego pobytu w krajach arabskich, które od samego początku mnie zafascynowały i spowodowały, że połknęłam orientalnego bakcyła. Uwielbiam życie w tych stronach, odurzający zapach prażonej kawy i przypraw, nawoływania muezina na modlitwę oraz wiecznie świecące słońce. Dziękuję mu również za wyrozumiałość, kiedy podczas pisania *Arabskiej żony* więcej czasu spędzałam przy komputerze z moimi bohaterami niż z nim.

Specjalne podziękowania należą się mojej najlepszej przyjaciółce w Libii, Ewie El-Khatrush, która otworzyła przede mną swoje serce i dom, najlepszy i pełen ciepła polski dom w Trypolisie. To ona ciągnęła mnie po wąskich tradycyjnych uliczkach suku i Gurdzi, wprowadzała w tajniki targowania się i ośmielała do kontaktów z jakże życzliwymi Libijczykami. Ona nauczyła mnie gotować kuskus i piec buriki, przy których snuła opowieści rodem z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Stała się nieocenionym źródłem wielu informacji i historii, które wplotłam w moją powieść. Wielkie ukłony dla Alego, męża Ewy, który jest wspaniałym człowiekiem i żywym przykładem na to, że dialog muzułmańsko-chrześcijański jest możliwy. Jego nowoczesność i tolerancja jako męża i ojca jest zadziwiająca i życzyłabym takiej niejednemu chrześcijańskiemu mężczyźnie.

Dzięki moim libijskim przyjaciółkom Fatmie i Sanie, które zaufały mi, poznałam tę stronę życia w tradycyjnych rodzinach arabskich, która nie widzi światła dziennego. To one opowiadały mi mrożące krew w żyłach historie, które opisałam w *Arabskiej żonie*. Ich szczerość mnie szokowała i czasami nawet nie chciałam więcej słuchać i poznawać szczegółów tragicznych losów kobiet i podłych zachowań mężczyzn.

Szczególne podziękowania należą się mojemu agentowi Zbigniewowi Kańskiemu, który od początku we mnie uwierzył i uznał, że *Arabska żona* to strzał w dziesiątkę. To on dodawał mi otuchy i zagrzewał do pisania książki. Dzięki niemu będzie można już niedługo poznać dalsze losy wykreowanych przeze mnie bohaterów.

**Arabska žena**

**Spis treści**

Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

Prolog

Emir z Arabii

Urodziny

Love, love, love

Wesele po polsku

Problemy i problemiki

Odwiedziny u arabskiej rodzinie

Wyjazd tylko na wakacje

Pierwsze wrażenie

Koło gospodyń arabskich

Uroczysta kolacja

Farma

Życiowa decyzja

Arabska codzienność

Środki utrzymania

Wesele

Wyrok na Samirę

Fitness

Zdrada małżeńska

Spotkanie z Polonią

Nowe przyjaciółki

Opieka ambasady

Polska szkoła

Życie na wsi

Przeprowadzka

Ramadan

Koniecznie chłopak

Odwiedziny

Wizyta matki

Narodziny Darin

Upadek dwóch wież

Saharyjska zsyłka

Niebezpieczna wiara

W bydłęcej zagrodzie

Głupkowaty adorator

Kuzyn z AIDS

Ucieczka

Epilog

Podziękowania

Karta redakcyjna

Copyright © Tanya Valko, 2010

Projekt okładki  
Sylwia Tymkiewicz

Zdjęcie na okładce  
© Laila Jihad

Redaktor prowadzący  
Marek Włodarski

Redakcja  
Katarzyna Pawłowska

ISBN978-83-7648-741-0

Plik wyprodukowany na podstawie: *Arabska żona*, wyd.

I,

Warszawa 2010

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)